

PRZEPIS NA POLSKĘ

JAKIEJ PRZYSZŁOŚCI CHCĄ KATOLICY,
A JAKIEJ ICH WROGOWIE

PISZĄ MIĘDZY INNYMI:

PROF. LEGUTKO, GÓRNY, CHMIELEWSKI, KRATIUK, JENDRZEJCZAK,
ZIEMKIEWICZ, PROF. BARTYZEL, PROF. KORNAŁ, KWAŚNIEWSKI



PCh24.pl
POLONIA CHRISTIANA

SPIS TREŚCI

ŁUKASZ KARPIEL	
Wstęp	5
JERZY KWAŚNIEWSKI	
Polska – nowy fundament	8
RAFAŁ ZIEMKIEWICZ	
Gra o Polskę	22
PROF. MAREK KORNAŃSKI	
Polska między sąsiadami. AD 2025	32
ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ	
Nieodrobione lekcje z historii	38
ROZMOWA Z PROF. JACKIEM BARTYZELEM	
Jak zrozumieć królowanie naszego Pana?	54
ROZMOWA Z PROF. PAWŁEM SKRZYDLEWSKIM	
Do czego Polakom konstytucja?	64
ROZMOWA Z MARCINEM PALADE	
Czy Polska stanie się własnością Polaków?	72
KRYSTIAN KRATUŁ	
Polska? Ale po co?	81
PAWEŁ CHMIELEWSKI	
Konstytucja w imię Boga	97
ROZMOWA Z GRZEGORZEM GÓRNYM	
Wojna kulturowa oznacza w istocie walkę duchową	111
DR MARCIN JENDRZEJCZAK	
Monarchia dla Polski	121

AGNIESZKA STELMACH

Strategie rozwoju Polski w obliczu wojny dekarbonizacyjnej
i powrotu „zasad westfalskich” 134

ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM SKIBĄ

Czy wciąż grzeszymy tak samo?
Ksiądz Skarga wzywa Polaków do pokuty 185

MARCIN AUSTYN

Edukacja, aborcja, związki partnerskie. Rewolucja nie odpuści...
My tym bardziej! 201

JEŚLI PRZEGAPIŁEŚ NA PCH24.PL...

Wybrane publikacje

ALEKSANDER PISAREK

Pies – złoty cielec liberalnego społeczeństwa 207

ALEKSANDRA GAJEK

Prawda o „psieku” budzi wściekłość. Bardzo dobrze! 214

ANNA DUBANIOWSKA

Duchowy analfabetyzm młodych – jak mówić o wierze,
gdy utraciliśmy jej język? 221

O. ATANAZY WOJTAL

O karze śmierci i aborcji. Jaka jest prawda? 226

KRYSTIAN KRATIUK

TSUE i ordynarne przepychanie kolanem rewolucji 234

Szanowni Czytelnicy,

Oddajemy w Państwa ręce trzeci numer *Kwartalnika PCh24* – pisma, które od początku powstawało nie z redakcyjnej rutyny, lecz z wewnętrznego przekonania, że w polskim życiu publicznym brakuje dziś głosu, który nie tylko komentuje rzeczywistość, lecz stara się wejść głębiej. Który ma aspirację, by odbudowywać duchowy i intelektualny fundament, na jakim przez stulecia wznosiła się nasza cywilizacja. Pracując nad kolejnymi numerami *Kwartalnika PCh24*, coraz mocniej widzimy, że potrzeba takiej perspektywy nie maleje – przeciwnie, staje się coraz bardziej nagląca.

W poprzednich tomach mierzyliśmy się z tematami, które często budzą emocje i nieporozumienia, ale właśnie dlatego wymagają rzetelności i odwagi. Pisaliśmy o chrześcijańskim syjonizmie, o którym w debacie publicznej mówi się rzadko i zwykle powierzchownie. Zaś w obliczu mnożenia popularnych nurtów tzw. „historii ludowej” podjęliśmy próbę przywrócenia należnego miejsca rzetelnym badaniom historycznym. Te doświadczenia utwierdziły nas w przekonaniu, że w Polsce naprawdę istnieje zapotrzebowanie na refleksję zakorzenioną – nie w intelektualnej modzie, lecz w tradycji, która nas wszystkich przerasta swą wielkością, ale jednocześnie zobowiązuje.

Obecny numer jest dla nas szczególny. Postawiliśmy bowiem w nim pytanie, które towarzyszyło nam od dawna: jaka ma być Polska przyszłości – i na czym ma zostać zbudowana? Nie chodzi o listę reform ani o techniczne projekty ustaw. Te zawsze są wtórne wobec odpowiedzi na kwestie bardziej zasadnicze: kim jest Polak, jaką rolę w życiu społecznym pełni moralność, co oznacza pamięć historyczna i czy prawo naturalne wciąż ma dla nas znaczenie. Dlatego tytuł *Przepis na*

Polskę nie jest tylko zabiegiem literackim. To próba powrotu do elementarnych składników życia narodowego – takich, które nie poddają się koniunkturze politycznej, ponieważ wynikają z prawdy o ludzkiej naturze oraz z chrześcijańskich korzeni naszej kultury.

Odchodzący Rok Pański 2025 w sposób szczególny sprzyjał takiej refleksji. Był to czas wspomnienia tysiąclecia koronacji Bolesława Chrobrego oraz stulecia encykliki *Quas Primas*. Gdy pracowaliśmy nad trzecim numerem *Kwartalnika PCh24*, mieliśmy poczucie, że te dwie daty otwierają przed nami nie tylko perspektywę historyczną, ale również duchową. Koronacja Chrobrego nie była li tylko aktem politycznym. Wyrażała przekonanie, że Polska jest wspólnotą zakorzenioną w określonym porządku wartości, a jej istnienie nie jest dziejowym przypadkiem. Z kolei *Quas Primas* przypomina, że żaden projekt polityczny – nawet najbardziej ambitny i sprawnie zorganizowany – nie utrzyma się, jeśli odetnie się od prawdy o najwyższej władzy Chrystusa. Zestawiając te wydarzenia, dostrzegamy oś, bez której trudno zrozumieć nasze dzieje: naród trwa wówczas, gdy wie, komu zawdzięcza swoje istnienie i jaka prawda wyznacza kierunek jego wierności.

W tym numerze oddajemy głos badaczom różnych dziedzin – historykom, filozofom, teologom oraz analitykom życia społecznego. Każdy z nich, z innej strony, dotyka sprawy fundamentalnej: jakie siły budują, a jakie niszczą wspólnotę polityczną. Teksty te pokazują, że współczesne kryzysy – erozja więzi rodzinnych, problemy wychowawcze, kulturowy chaos młodego pokolenia, presja ideologii narzucanych z zewnątrz – nie są zjawiskami od siebie oderwanymi. Łączy je jedno pytanie: czy wciąż uznajemy istnienie obiektywnego ładu moralnego oraz prawdy o człowieku.

Nie ukrywamy, że perspektywa tego numeru jest konserwatywna. Rozumiemy jednak konserwatyzm nie jako ucieczkę w przeszłość, lecz jako trzeźwe uznanie, że bez zakorzenienia w tradycji – religijnej, moralnej i kulturowej – społeczeństwo staje się bezradne wobec własnych błędów. Jeśli Polska ma pozostać wspólnotą realną, nie może

przyjąć wizji człowieka jako istoty samowolnie konstruującej własną naturę. Nie może także wyrzec się pamięci historycznej w imię „dostosowania się” do trendów płynących z zewnątrz. Naród, który zapomina, skąd pochodzi, zaczyna dryfować – a dryf ten kończy się zwykle podporządkowaniem cudzym projektom.

Mamy nadzieję, że ten numer pomoże Państwu dostrzec głębię polskich dziejów – ich wewnętrzną logikę, w której to nie przypadek, lecz wybory moralne decydują o przyszłości. Bardzo zależy nam na tym, by teksty tu zebrane nie pozostały jedynie lekturą „do odłożenia na półkę”. Chcielibyśmy, aby stały się impulsem: do rozmów, badań, sporów oraz inicjatyw, które będą służyć nie tylko diagnozie, lecz także odbudowie tego, co naprawdę istotne.

Z takim pragnieniem przekazujemy Państwu trzeci numer *Kwartalnika PCh24*. Niech będzie on zaproszeniem do pracy mającej wymiar zarówno intelektualny, jak i duchowy – pracy nad zrozumieniem Polski, nad obroną ładu moralnego oraz nad tym, by przyszłość naszego narodu była zakorzeniona w prawdzie, a nie w ideologiach, które już przeminęły. Bo „przepis na Polskę” – jak coraz wyraźniej widzimy – zaczyna się nie w gabinetach polityków, lecz w sumieniu człowieka, w pamięci wspólnoty i w wierze, która nadaje sens całości.

Łączę wyrazy szacunku i wdzięczności

Łukasz Karpiel

Redaktor naczelny Kwartalnika PCh24.pl

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



POLSKA – NOWY FUNDAMENT

Rządy liberalnej koalicji pogrążyły w głębokim kryzysie najważniejsze instytucje państwa. Rząd odmawia uznania dla niekorzystnych dla siebie wyroków Sądu Najwyższego, nie stosuje się do postanowień Trybunału Konstytucyjnego. Za cenę bezprecedensowych ustępstw gospodarczych i politycznych kupuje sobie poparcie zagranicy. Polska wdraża bezkrytycznie i bez oglądania się na masowe protesty rolników politykę Zielonego Ładu. Przyjmuje bez zawahania pakt migracyjny i sprzyja reformie UE skierowanej ku powstaniu jednolitego i scentralizowanego państwa Europa. Na cztery wiatry rozpędzono wielkie projekty inwestycyjne, a przynoszące wcześniej zyski państwowe przedsięwzięcia popadają w ruinę.

Przeciwnicy rządzących są ścigani przez politycznie zależną prokuraturę, sądami zarządzają bezprawnie nominowane kliki, media publiczne przejęto siłą, organizacje społeczne są prześladowane. Rządowa propaganda próbuje przykryć swe niepowodzenia radykalnymi projektami: zaprowadzaniem cenzury politycznej pod maską „zakazu mowy nienawiści”, cenzurą mediów elektronicznych pod pozorem wdrażania regulacji europejskich, podważeniem polityki rodzinnej przywilejami dla związków homoseksualnych, atakiem na nauczanie religii w szkołach, powszechną dostępnością aborcji i gorszącą, obowiązkową seksedukacją w szkołach.

Niezliczone diagnozy potwierdzają pogarszający się stan całej gospodarki, postępującą zależność od zagranicznych podmiotów, odpływ inwestycji. Ich symbolem staje się odstąpienie rządu od ambitnych planów wielkich inwestycji strategicznych, które – dobrze poprowadzone – stanowiłyby lokomotywę rozwoju krajowych przedsiębiorców i łańcuchów dostaw, a także wieloletnie źródło pozyskiwania kapitału. Cywilizacyjny upadek, spowodowany bezmyślnym zaprzęgnięciem radykalnych ideologii w rządową politykę, powoduje

narastający opór społeczeństwa, którego korzenie nazywa się zacyfowaniem, a wiarę – zbędnym programem nauczania.

Gdy Stany Zjednoczone szykują się do hucznych, spektakularnych obchodów dwustu pięćdziesięciolecia państwowości, w Polsce milenium koronacji pierwszego króla zostaje pominięte przez władze i jest wspominane jedynie wysiłkiem społecznym.

Jaka powinna być nasza odpowiedź na postępujący upadek? Nadzieje konserwatywnego odrodzenia pokładane są w odnowionej koncepcji państwa odrzucającego przebrzmiałe formy epoki socjalistycznej centralizacji. Państwa stawiającego na inicjatywę obywateli i ich wspólnot, szanującego prawa nienaruszalne i stroniącego od wspierania modnych ideologii. Potrzeba nam państwa suwerennego i chroniącego podstawowe wolności obywateli, a jednocześnie ograniczającego przestrzenie swej władzy i skutecznego w precyzyjnie ograniczonych przestrzeniach.

Właśnie dlatego, pisząc o rozwiązaniach konstytucyjnych, inaczej niż większość komentatorów nie skupiam się na rozwiązaniach technicznych i ustroju organów centralnych. Skądinąd wiemy przecież, że bez względu na konstytucyjne mechanizmy władzy, *demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm* (Jan Paweł II, *Centesimus Annus*, p. 46). Na pytanie zatem o sposób naprawy państwa odpowiedź jest prosta i brzmi: *upragnione tak bardzo odrodzenie społeczne wyprzedzić musi odnowienie ducha chrześcijańskiego, utracone nędznie na wielu miejscach przez tylu ludzi w życiu gospodarczym, inaczej wszystkie wysiłki będą daremne i budować się będzie nie na skale, lecz na lotnym piasku* (Pius XI, *Quadregesimo Anno*, p. 127).

Czy zatem nie warto przed powszechnym odrodzeniem obyczajów dyskutować o poprawie ustroju? Warto. Bowiem *państwo nie jest tylko stróżem porządku prawnego, lecz wszystkimi siłami dążyć powinno do tego, by „za pośrednictwem systemu praw i urządzeń... sam ustrój i zarząd państwa przyjął dobrobytowi tak powszechnemu, jak jednostkowemu”* (Pius XI, *Quadregesimo Anno*, p. 25). Jednak i tutaj nie zaczynamy od rozpalających

komentatorów i dziennikarzy debaty o relacji kompetencji premiera i prezydenta, czy od sposobu powoływania sędziów, lecz od wyznaczenia filarów, na których musi być zbudowana cała nawa państwowa. A należą do nich: zasada subsydiarności i płynące z niej – zasada domniemania wolności, ochrony rodziny i własności, a także zasada ochrony praw nienaruszalnych.

W tym eseju pokrótce przedstawię te filary, posługując się fragmentami z szerszego opracowania Instytutu Ordo Iuris pt. „Polska. Reaktywacja”, do którego lektury gorąco każdego zachęcam (raport dostępny jest pod adresem: PolskaReaktywacja.pl).

Zatem, zaczynamy.

SILNE PAŃSTWO? W TYM WYPADKU MNIEJ ZNACZY WIĘCEJ

Uruchomiona po wyborczym zwycięstwie Donalda Trumpa deregulacja administracji federalnej jest wojną o odzyskanie wolności i samostanowienia obywateli oraz ich wspólnot, a zarazem śmiertelnym zwarciem z potężną grupą beneficjentów biurokracji. Wcześniej podobną walkę rozpoczął, ze spektakularnymi gospodarczymi efektami, prezydent Argentyny Javier Milei. Wzrost zatrudnienia w gospodarce połączony ze spadkiem inflacji zostały nagrodzone przez wyborców zwycięstwem partii prezydenckiej w wyborach parlamentarnych, wbrew pohukiwaniom i propagandzie globalnych ośrodków. Można zakładać, że pozytywne efekty postawienia na przedsiębiorczość, wolność i własność – przy uwolnieniu państwa od nawisu ideologii gender, a także zwykłej, niewydolnej biurokracji – stwarzają doskonałe warunki do ewangelizacji poprzez promocję katolickiej etyki pracy oraz społecznej odpowiedzialności biznesu, którego nie wyręcza już na taką skalę państwo ze swym niewydajnym i antyrodzinnym systemem opiekuńczym.

Rozważając niezbędny zakres ambitnej reformy Polski, warto odwołać się do powtarzanych przez wszystkie strony politycznych zmagania zapowiedzi „wzmocnienia państwa” i przeciwstawić je realizowanemu od lat w rzeczywistości programowi jego... powiększania.

Dotychczas postulat „silnego państwa” niezmiennie prowadził do podwójnej patologii. Z jednej strony, do nieustannego rozrostu biurokracji obsługującej kolejne obszary państwowej ingerencji w aktywności obywatelskie, takie jak przedsiębiorczość, obrót gospodarczy, a nawet w edukację, kulturę i sport. Z drugiej strony, w efekcie niejasne było, co jest rzeczywistym celem aktywności państwa i jakie są konkretne wskaźniki oceny jego skuteczności. Z tego zaś wynika nieefektywność zaangażowania środków publicznych, nieustanne eskalowanie nakładów i niekończąca się spirala wydatków.

Rosnące podatki oraz niewydolność biurokracji (chronicznie niedofinansowanej, lecz nieustannie puchnącej) hamują samorządność, kreatywność i przedsiębiorczość Polaków. Wzmacniane od lat oczekiwania rozwiązań w postaci rządowej interwencji i „rządowych” (czytaj, publicznych) nakładów, podważa sens samoorganizacji obywateli w zrzeszenia branżowe, profesjonalne, zawodowe. Co więcej, ten sam mechanizm uderza w samorządy terytorialne. Te, zamiast dysponować środkami swoich mieszkańców, wraz z rozrostem sfery funkcji publicznych stają się coraz bardziej zależne od rządu, którego udział w finansowaniu władzy lokalnej przerasta przychody stanowiące pochodną finansowego sukcesu obywateli. Innymi słowy, wsparcie aktywności gospodarczej lub obywatelskiej swych mieszkańców ma dla samorządu mniejsze znaczenie niż realizacja rządowych i unijnych polityk, częstokroć stanowiących wyraz tymczasowych mód ideologicznych.

Płynie z tego oczywisty wniosek, że postulat „silnego państwa” skutecznie zrealizować może jedynie rząd świadomy zasady, w myśl której „kto wiele chwytą, słabo ściska”. Paradoksalnie zatem, „silne państwo” wymaga ograniczenia obszarów swego oddziaływania, tak by ograniczone środki wywarły istotny efekt, a zarazem ich pozyskanie nie stanowiło nadmiernego ciężaru nałożonego na obywateli, ich kreatywność i przedsiębiorczość.

Rzecz w tym, że raz zajętych przestrzeni biurokracja bez walki nie odda, a rzesze beneficjentów niewydolnego aparatu państwowego

stają się z czasem znaczącą siłą polityczną, mającą odrębne interesy. Po pierwsze zatem, potrzebny jest precyzyjny i zrozumiały dla wyborców klucz, wedle którego dokonywana będzie selekcja pól działalności państwa, przeznaczonych do głębokiej deregulacji. Klucz ten podpowiada nam zawarta w Konstytucji RP, jak i wspólna całemu Zachodowi zasada pomocniczości, stanowiąca także fundament społecznego nauczania Kościoła:

*ustanawiamy Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej jako prawa podstawowe dla państwa oparte na poszanowaniu wolności i sprawiedliwości, współdziałaniu władz, dialogu społecznym oraz **na zasadzie pomocniczości umacniającej uprawnienia obywateli i ich wspólnot** (Preambuła Konstytucji RP).*

POMOCNICZOŚĆ – KATOLICKA KONSTYTUCJA DOBREJ ADMINISTRACJI

Warto prześledzić trwające już blisko 150 lat wołanie Kościoła o implementację zasady pomocniczości. Rozpoczęte jej przypomnieniem i zdefiniowaniem przez Leona XII w encyklice *Rerum Novarum* (p. 28):

Prawo wymaga, żeby ani jednostka, ani rodzina nie była pochłaniana przez państwo; jest więc rzeczą słuszną, by i jednostka i rodzina miała swobodę działania, jak długo nie zagraża dobru powszechnemu lub nie wyrządza krzywdy bliżniemu. Niemniej obowiązkiem rządów jest czuwać nad społeczeństwem i nad jego częściami składowymi.

Konkretne wskazówki dodał do tego Pius XI w *Quadrogesimo Anno* (p. 81):

Sprawy zatem niniejszej wagi i zabiegi skądinąd zbyt drobiazgowo powinna władza państwowa pozostawić niższemu zespołom. Tym swobodniej, usilniej i skuteczniej sprosta tym zadaniom, które do niej wyłącznie należą, ponieważ ona jedna je wykonać zdoła: kierownictwem, nadzorem, przynaglaniem, powstrzymywaniem, stosownie do poszczególnego wypadku i potrzeby. Niech więc kierownicy państw będą przekonani, że im doskonalej hierarchiczny porządek z zachowaniem

pomocniczej interwencji państwa panuje wśród rozlicznych zrzeszeń, tym wybitniejszy będzie i autorytet społeczny i społeczna działalność, tym lepszy i szczęśliwszy był państwa.

Gdy dzisiaj mówimy o zasadzie pomocniczości, wskazując na jej przywołanie w Preambule Konstytucji RP, najczęściej cytowana jest definicja zawarta w encyklice Jana Pawła II *Centesimus Annus* (p. 48), stanowiąca jak łatwo dostrzec naturalne podsumowanie rozważań poprzednich papieży:

zasada pomocniczości, która głosi, że społeczność wyższego rzędu nie powinna ingerować w wewnętrzne sprawy społeczności niższego rzędu, pozbawiając ją kompetencji, lecz raczej winna wspierać ją w razie konieczności i pomóc w koordynacji jej działań z działaniami innych grup społecznych, dla dobra wspólnego.

Kościół od początku jasno także przestrzega przed patologiami, jakie rodzi naruszenie zasady pomocniczości, a które przedstawiałem także we wcześniejszej części tego opracowania:

*Chcieć więc, żeby władza świecka przenikała swym rządem aż do wnętrza domu, jest błędem wielkim i zgubnym. Z pewnością jeśli się jakaś rodzina znajdzie w wielkich trudnościach i bez rady, że sama z nich się wyzwolić nie może, jest rzeczą słuszną, by jej w tych ostatecznościach państwo udzieliło pomocy; rodziny bowiem są częstkami państwa. Tak samo, kiedy w obrębie czterech ścian domu przyjdzie do poważnego podeptania praw wzajemnych, niech wówczas władza państwowa odda każdemu, co mu się należy; będzie to nie pochłanianiem praw obywatelskich, ale ich obroną i wykonywaniem słusznej, a powinnoj opieki. (*Rerum Novarum*, p. 10).*

Interweniując bezpośrednio i pozbawiając społeczeństwo odpowiedzialności, państwo opiekuńcze powoduje utratę ludzkich energii i przesadny wzrost publicznych struktur, w których – przy ogromnych kosztach – raczej dominuje logika biurokratyczna, aniżeli troska o to, by służyć korzystającym z nich ludziom. Istotnie, wydaje się, że lepiej

zna i może zaspokoić potrzeby ten, kto styka się z nimi z bliska i kto czuje się bliżnim człowieka potrzebującego (Centesimus Annus, p. 48).

Wbrew zatem prostackim zarzutom, że ograniczenie państwa musi prowadzić do wprowadzenia odpłatności wszystkich świadczeń i usług istotnych dla dobra wspólnego, widzimy wyraźnie, że chodzi tutaj o racjonalne ograniczenie administracji, delegację zadań mniejszym wspólnotom i samorządom oraz wykorzystanie samoregulacyjnych właściwości rynku tam, gdzie zdążył się już ukształtować.

Zresztą, sama Konstytucja RP ogranicza wiele z najdalej idących pomysłów redukcji kompetencji rządu. Publiczne finansowanie opieki zdrowotnej, edukacji, a – w pewnym zakresie – nawet kultury narodowej, może być jednak połączone z mechanizmem rynkowym. Takim instrumentem jest chociażby bon edukacyjny, właściwie wyliczone koszyki świadczeń medycznych czy strategiczny wybór wąskiego zakresu instytucji kultury finansowanych przez rząd wyłącznie w celu zachowania narodowej tożsamości, pamięci historycznej i chrześcijańskiego dziedzictwa, którym Konstytucja poświęca szczególną uwagę w Preambule.

Na marginesie tych rozważań należy podkreślić, że ustawa zasadnicza nie wymaga szerszej Rady Ministrów niż ta składająca się z Prezesa Rady Ministrów, Ministra Obrony Narodowej, Ministra Spraw Zagranicznych i Ministra Sprawiedliwości. Praktyka podpowiada konieczność powołania Ministra Finansów, właściwego do spraw budżetu, polityki finansowej i podatków. Natomiast członkostwo w Unii Europejskiej stwarza szerokie obszary odpowiedzialności, które dotyczą tradycyjnych zadań ministrów rolnictwa, spraw wewnętrznych, transportu, zdrowia, polityki społecznej, konkurencji i środowiska. Zapewne szereg tych zadań mógłby być realizowany przez Ministra Inwestycji Strategicznych, Ministra Zdrowia, Ministra Polityki oraz Ministra Solidarności Społecznej, w którego resorcie złożone zostałyby wszelkie zadania związane z publicznym finansowaniem usług i świadczeń dla ludności. Nie bez racji Donald Trump dla realizacji śmiałego planu przebudowy administracji powołał specjalny

resort, który w polskim porządku konstytucyjnym mógłby być kierowany przez Wicepremiera ds. Dobrej Administracji. Wszak prawo do dobrej administracji zostało jasno zapisane w Karcie Praw Podstawowych UE. Zatem, dziesięcioosobowa Rada Ministrów? Wydaje się to osiągalne.

Dla tak odchudzonej administracji publicznej, przed którą postawione zostaną wąskie, precyzyjnie określone cele i wskaźniki, trzeba będzie przygotować zawnaz kadry (to zadanie realizujemy od lat, ale teraz należy wysiłki w tym kierunku zintensyfikować). Profesjonalne, patriotyczne, suwerennościowe i zdolne do niezależnego myślenia, a zarazem obyte z rozwiązaniami wprowadzanymi w szeregu państwa świata i ich efektami – rząd odnowionej Ojczyzny będzie potrzebował takich właśnie ludzi, bo żadna reforma nie będzie skuteczna, jeżeli nie rozpocznie jej wymiana kadr. A najlepszą reformę zniszcza stare kadry, skrycie lub otwarcie, aktywnie lub biernie torpedujące wysiłki reformatorów.

Dzisiaj ludzie zdolni do realnej naprawy państwa czekają na uruchomienie w prężnie rozwijającym się trzecim sektorze, do którego zaufania nie miał konserwatywny rząd, przywykły do ręcznego sterowania i pełnego nadzoru. Te osoby i środowiska są jednak rozpoznane dzięki latom doświadczeń Instytutu Ordo Iuris, stanowiącego zaplecze merytoryczne i organizacyjne dziesiątek organizacji społecznych i branżowych oraz ich federacji.

Rząd traktujący poważnie zasadę subsydiarności nie porzuci także żadnego z obszarów swej poprzedniej aktywności, bez jednoznacznego określenia mechanizmów i podmiotów, które będą skuteczniej realizować oddane im zadania, przy jednoznacznym przypisaniu im właściwych źródeł przychodów – czy to wskazując na konieczność w pełni rynkowej działalności, czy to zezwalając na korzystanie w tym zakresie z systemu danin lokalnych.

POMOCNICZOŚĆ BUDUJE NA WOLNOŚCI

Jeśli nowa reforma ma być skuteczna, musi zerwać z tradycją pogłębiania – w imię korekty po poprzednikach – kontroli rządu nad obywatelami. Musi zatem przyjąć od początku pewien zestaw założeń, chroniących państwo przed dalszą deformacją i upadkiem. Żaden z zaprezentowanych pomysłów nie pada tutaj po raz pierwszy, jednak ich zgromadzenie i poddanie pewnym zasadom porządkującym, jak zasada pomocniczości i ochrona praw niezbywalnych, ma przekształcić szerokie spektrum postulatów w fundament rozwojowy konkretnego programu naprawy państwa.

Na szczególną uwagę zasługuje postulat ochrony wolności. Ta w systemie demokratycznym podlega od lat erozji wskutek trzech równoległych procesów: rozrostu biurokracji, fałszywej pokusy bezpieczeństwa i politycznej poprawności.

Nieograniczonemu puchnięciu biurokracji towarzyszy od lat nieustanne ograniczanie przestrzeni wolności jednostek, rodzin i wspólnot. Armia urzędników i pęczniejąca sieć organów administracji z natury swojej dążą do objęcia własnym nadzorem i regulacją kolejnych obszarów ludzkiej aktywności. Najczęściej pod hasłem bezpieczeństwa. Wraz z narastającą złożonością przepisów branżowych, administracja sama dyktuje nowe regulacje – bowiem ani politycy, ani obywatele nie są w stanie biegle poruszać się gąszczu systemu.

Bezpieczeństwo jest także motorem napędowym drugiego z procesów zniewolenia. To nieustannie ponawiający się scenariusz emocjonalnego szantażu, następującego po każdym niemal incydencie patologii, którego ofiarą pada dziecko, ale także po każdej katastrofie naturalnej lub bolesnej stracie nieostrożnych inwestorów. Natychmiast stajemy się wówczas świadkami politycznego wyścigu na aktywność i obietnice ustawowego zaradzenia powtórzeniu się podobnego ryzyka w przyszłości. Beneficjentem wyścigu zawsze zostaje biurokracja, a ofiarą pada kolejny odcinek wolności.

Tymczasem jej ochrona wymaga wcześniejszego zaakceptowania, że wiąże się ona z ryzykiem. Zresztą, zniewolenie nie niesie ze sobą bezpieczeństwa, a jedynie jego ułudę. Do stopniowego zniewalania prowadzi w demokracji opisana powyżej ścieżka wiodąca od jednego wstrząsającego incydentu patologii do drugiego. Emocje biorą górę, politycy kapitalizują napięcie, wyborcy kupują obietnicę bezpieczeństwa w zamian za kolejne ograniczenie swobody.

Na równi z ułudą bezpieczeństwa, wrogiem wolności jest fałszywa wrażliwość na prawdziwy lub wyimaginowany dyskomfort mniejszości. To w imię ich dowartościowania i ochrony, często w ramach neomarksistowskiej doktryny nowego proletariatu, odbierana jest wolność słowa, prasy i mediów, wolność gospodarcza i wolność akademicka. Zapomnieniu ulega oczywista prawda, że wolność jednych musi wiązać się z jej znoszeniem przez innych, o ile nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla ich praw podstawowych lub dla dobra wspólnego.

Sprzeciw wobec cenzorskich praktyk mediów społecznościowych i właścicieli mediów tradycyjnych, podobnie jak nacisk na pluralizm w przestrzeni publicznych uniwersytetów, to wstęp do zapewnienia realnie wolnego rynku, istniejącego dopiero w warunkach wolności wymiany informacji.

W związku z eskalacyjną naturą omówionych procesów zniewolenia, żadne ustawowe ograniczenie wolności – w tym również gospodarczej – nie powinno mieć charakteru trwałego, a jego ustawowe przedłużenie powinno być poprzedzone parlamentarną i publiczną oceną zasadności utrzymania wyjątku od wolności.

I nie ma tu żadnej różnicy, czy mówimy o regulacjach ograniczających swobodę prowadzenia działalności gospodarczej, czy o przepisach sanitarnych na czas pandemii, a nawet ustawach z zakresu prawa budowlanego. Wszystkie powinny podlegać okresowej rewizji, nie tylko pod kątem efektywności i niezbędności, ale także ze względu na zasadność ich przyjmowania na poziomie ogólnokrajowym – bo

przecież zasada pomocniczości to także postulat, by tam, gdzie to tylko uzasadnione, cedować regulacje na poziom samorządów.

Z tej samej zasady płynąć musi ograniczenie wszelkich wymogów formalnych wobec przedsiębiorczości, które uznać trzeba za równoważne z zamachem na wolność działalności gospodarczej.

Wszelkie przepisy międzynarodowe – w tym normy obowiązujące Polskę w okresie przynależności do Unii Europejskiej – które stanowią ograniczenia wolności, powinny być obowiązkowo wdrażane w formie jak najmniej obciążającej i jak najbardziej elastycznej. Ponadto, zawsze na czas określony. Wszelka zaś wątpliwość musi być interpretowana na korzyść obywatela czyniącego użytek ze swej naturalnej wolności.

NIE MA WOLNOŚCI BEZ WŁASNOŚCI

Własność jest fundamentem wolności osobistej i politycznej. Wspólnota obywateli pewnych nienaruszalności swej własności i prawa do jej bezpiecznej akumulacji w naturalny sposób staje się rzecznikiem stabilnej i rozważnej polityki. Przyjęcie ochrony własności za fundament polityki państwa pozwala szybko przeciąć niebezpieczne dywagacje nad administracyjną kontrolą własności, podatkami od posiadania (w tym także katastralnym). Należy z niego wywodzić także odpowiedzialną politykę unikania inflacyjnego łupienia obywateli wskutek realizacji nieodpowiedzialnych obietnic bez finansowego pokrycia w przychodach budżetowych.

Wszelka ingerencja w swobodne wykonywanie prawa własności musi być obwarowana nadzwyczajnymi wymogami formalnymi oraz koniecznością uzyskania jednoznacznie przeważającego poparcia społecznego, stanowiącego wyraz zrozumienia dla szczególnych okoliczności i realnego zagrożenia dla dóbr wyższego rzędu.

Przywrócenie ustrojowego poszanowania własności pozwala uchronić naród przed konsekwencjami błędnego postrzegania własności jako wartości względnej i należącej do porządku stanowionego;

wartości, którą można łatwo ograniczać, przeobrażać, a nawet zastępować własnością czasową lub wspólną. Kwestionowanie własności sprzeciwia się naturze człowieka i społeczności ludzkiej, prowadzi do szkody pracowników, zagraża rodzinie i prowadzi do społecznego rozstroju (Leon XIII, *Rerum Novarum*).

POMOCNICZOŚĆ WYRASTA Z POSZANOWANIA RODZINY

Wszelkie ograniczenie rządu i cała zasada pomocniczości zaczynają się od zasady autonomii życia rodzinnego. Nic też dziwnego, że zasada ochrony życia rodzinnego stanowi fundament systemu praw człowieka, tak w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, jak i w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Konstytucyjne wskazanie na szczególny status rodziny w ustroju Rzeczypospolitej został podkreślony poprzez umieszczenie zasady ochrony rodziny, małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, macierzyństwa i rodzicielstwa – w rozdziale I Konstytucji definiującym Rzeczpospolitą. Rodzina stanowi zatem pierwszą ze wspólnot składających się na organizację państwa polskiego. Wyróżniającą się jednak wobec gminy, powiatu, województwa czy innych zrzeszeń tym, że jest niezbędna dla trwania narodu oraz tym, że jest wcześniejsza od samego państwa, które nie ustanawia jej, a jedynie rozpoznaje jej naturalną funkcję i potwierdza jej ochronę.

Podobnie zatem jak w przypadku praw podstawowych, wszelkie ograniczenie autonomii rodziny wynikać musi z kolizji, jaka zachodzi pomiędzy samorządnością rodziny a co najmniej równorzędnymi prawami podstawowymi. Żadne inne przesłanki nie mogą upoważnić władzy publicznej do dyktowania rodzinie sposobu jej funkcjonowania, metod i treści wychowawczych oraz sposobu życia.

Wraz z ochroną własności, wolności sumienia i pierwszeństwa wychowawczego oraz edukacyjnego rodziców, prymat rodziny stanowi zawiązek społeczeństwa obywatelskiego. Zabezpiecza też realizację kluczowego dla wolnego społeczeństwa zadania rodziny – niezależnego od państwa i rządu wychowania młodych Polaków na samostanowionych obywateli zdolnych podjąć się odpowiedzialności za dobro

wspólne Ojczyzny. Rola państwa i innych wspólnot, w tym szkół i samorządów, pozostaje wyłącznie subsydiarna i akcesoryjna wobec zadań rodziny.

Z zasady prymatu rodziny wynika także jej niezbędne upodmiotawianie prawne, rozpoznanie i uprzywilejowanie małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Ostatecznie, stanowienie wszelkiego prawa powinno poprzedzać rozpoznanie wpływu projektowanych regulacji na rodzinę i ograniczenie tych z nich, które prymat i autonomię rodziny mogłyby ograniczać.

Ostatecznie też, z konstytucyjnej pozycji rodziny jako jednostki organizacyjnej narodu i państwa wynika zasadność skierowania ku niej bezpośredniego wsparcia ze strony wspólnot wyższego rzędu, dla zapewnienia realizacji funkcji przekraczającej jej własny potencjał. Zasada pomocniczości w kontekście rodziny wyrażać się będzie nie tylko w wymaganym konstytucją zapewnieniu pokrycia kosztów wybranej przez rodziców edukacji dzieci, ale szerokiej polityki rodzinnej, przede wszystkim kulturowej, a także społecznej, której celem jest wzmocnienie pozycji rodziny, dowartościowanie jej roli społecznej oraz umocnienie motywacji do posiadania potomstwa i rozwijania więzi rodzinnych.

POSZANOWANIE DLA PRAW NIENARUSZALNYCH

Fundamentem zgody społecznej musi być zamknięty i spójny z systemem wartości wspólnoty katalog praw człowieka, rozumianych jako przyrodzone, niezbywalne i nienaruszalne prawa podstawowe. Filarami tej struktury są: prawna ochrona życia, wolność sumienia, ochrona autonomii życia rodzinnego, ochrona własności i wolność słowa. Ograniczenie któregośkolwiek z tych fundamentalnych praw nie jest nigdy możliwe na poziomie rozwiązań generalnych i ustawowych, a jedynie w kwestiach indywidualnych, gdy prawo to koliduje w danej sytuacji z prawem co najmniej równego rzędu.

Tak wzniesiony gmach praw podstawowych realizuje podstawowy, konstytucyjny postulat wywiedzenia praw i wolności w pierwszej

kolejności z godności ludzkiej, pierwotnej wobec całego prawa stanowionego, którego rolą jest jedynie skuteczne zabezpieczenie nienaruszalności praw z niej wypływających.

Jednoznaczne sformułowanie stanowczej polityki rządu i państwa, skupionej na ochronie wąskiego katalogu praw podstawowych, jest wyrazem zasady pomocniczości. Pozwala skupić ograniczone środki na ochronie najważniejszych gwarancji. Dalsze generacje praw, o stosunkowo niższej wadze, podlegać mogą ochronie norm prawa karnego, ale przede wszystkim ich ochrona może być dochodzona z inicjatywą stron w ramach procesu cywilnego.

PO CO TE ROZWAŻANIA?

To wszystko daje ogólny tylko obraz rozważań nad nowym ustrojem państwowym. Z jednej strony, może służyć pracom nad fundamentami nowej konstytucji. Musimy mieć jednak pełną świadomość, że o ile przyjęcie nowej ustawy zasadniczej jest planem przyszłym, niepewnym i uzależnionym od politycznych kompromisów, to praca, której fragmentem jest ten artykuł, daje nadzieję na realną zmianę na innym także poziomie.

Szczegółowe bowiem opracowanie filarów sprawiedliwego ustroju może już niebawem znaleźć zastosowanie w praktyce nowego rządu, który zechciałby na podstawie obowiązujących już zasad konstytucyjnych budować na właściwym fundamencie. Może także stanowić inspirację dla kolejnych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. To na ich barkach złożona jest przecież obecnie władza dokonania wykładni ustawy zasadniczej w sposób integralny z zawartym w preambule konstytucji odrzuceniem relatywizmu i deklaracją poszanowania *prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna*, jak również z konstytucyjnie wyrażoną wdzięcznością *za kulturę zakorzenioną w chrześcijańskim dziedzictwie Narodu*.

 WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

GRA O POLSKĘ

„Przez ostatnie cztery lata świat zmienił się bardziej, niż przez poprzednich trzydzieści” – napisał Aleksander Stubb, prezydent Finlandii, na łamach prestiżowego amerykańskiego pisma „Foreign Affairs”. Jego artykuł ukazał się kilka dni przed publikacją przez Departament Stanu USA nowej, oficjalnej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. Oba teksty zmierzają w tym samym kierunku i na wielu poziomach się uzupełniają. Nie powinno to dziwić, bo Finlandia i osobiście Stubb, obok Włoch i ich premier Meloni, są wyraźnie wskazywani jako najbliżsi europejscy sojusznicy Ameryki. Widać to było po pierwszej, bezpośredniej rozmowie telefonicznej Trumpa z Putinem, kiedy to prezydent USA zadzwonił, aby niezwłocznie poinformować o jej przebiegu szefową Komisji Europejskiej, prezydenta Francji, premiera Wielkiej Brytanii, kanclerza Niemiec, oraz właśnie prezydenta Finlandii i premier Włoch. Do Polski wtedy nie zadzwonił, choć można mieć nadzieję, że by to uczynił, gdyby prezydentem był już wtedy Karol Nawrocki.

Nowa strategia bezpieczeństwa narodowego USA wzbudziła w kręgach eurokracji i polityków „prounijnych” szok, bo potwierdziła rzeczy, które prezydent i wiceprezydent USA mówią publicznie już od dawna, rzeczy powszechnie znane i oczywiste – wspomniany szok jest więc wiele mówiącym symptomem syndromu „odjechanego peronu”, na który cierpią europejskie elity. Przede wszystkim, USA stwierdzają, że Europa nie jest dziś dla nich równorzędnym podmiotem polityki międzynarodowej. Przeciwnie, Amerykanie diagnozują, że Europa stoi na krawędzi cywilizacyjnej zapaści. Aby USA mogły traktować ją jak poważnego partnera – czego, deklarują, bardzo chcą, ale nie za wszelką cenę – musi odstąpić od planów centralizacji pod sztandarem lewicowej ideologii i oddać decydujący głos współtworzącym ją narodom, uporać się z „deficytem demokracji”, zmienić politykę migracyjną i porzucić szaleństwo „klimatyzmu”, które wtrąca

ją w gospodarczy kryzys, oraz znieść inne biurokratyczne bariery dla rozwoju gospodarczego.

Amerykanie nie straszą, po prostu stwierdzają fakt: jeśli tego nie zrobicie, wypadacie z gry. Co jednak dla nas w tym dokumencie najważniejsze, sygnalizuje on „plan B”. Wskazuje na fakt, iż szczególne stosunki powinny USA mieć z krajami Europy Środkowej i Wschodniej. Nie jest to stwierdzone wprost, ale jasno wynika z omawianego tekstu, że jeśli zachodnia część kontynentu nie zdoła wyrwać się z ideologicznego szaleństwa, to Ameryka powinna szukać partnera w tym, co my nazywamy „trójmorzem” – krajach, które mają większą dynamikę gospodarczą niż Niemcy i Francja, a zarazem, w przeciwieństwie do nich, są Ameryce przyjazne.

Jeśli chodzi o zasadnicze cele strategiczne, które postawiła sobie Ameryka, to są one dwa. Pierwszym jest wewnętrzne wzmocnienie siebie samej: powrót na maksymalną skalę do taniej energii z paliw naturalnych i atomu, reindustrializacja, zatrzymanie niekontrolowanej migracji oraz nowa polityka finansowa i nowa rola dolara w globalnym obiegu gospodarczym. To nas nie dotyczy, może poza punktem ostatnim. Natomiast punktem wyjścia do wszelkich rozważań nad przyszłością Polski jest cel globalny. Jest to budowa „nowej równowagi świata”. Chodzi o takie przekonstruowanie globalnego porządku, aby „urealnić” w nim pozycję Stanów Zjednoczonych, to znaczy zwolnić je z przerastającej ich obecne siły roli „światowego żandarma”, w taki sposób, aby po światową hegemonię nie sięgnęły Chiny.

Wspomniany na wstępie Aleksander Stubb nazywa to „budową nowej symetrii”, teoretycy używają też czasem pojęcia „wielobiegunowości”. Wszyscy jednak poważni teoretycy zgodni są z tym, od czego Stubb swój artykuł zaczyna, i co jednoznacznie wynika z nowej amerykańskiej strategii bezpieczeństwa: że „dotychczasowy liberalny porządek świata umiera”. Umiera – i nie da się jego zgonu powstrzymać. Można co najwyżej nie przyjmować faktów do wiadomości. Ale samo to, jak uczy historia, nie zapobiega katastrofie, a jedynie potęguje jej skutki.

Jak zatem stworzyć nową symetrię, tę „wielobiegunowość” świata, która jest dla Zachodu jedynym ratunkiem przed całkowitym upadkiem i podbojem przez wroga cywilizację, nie znającą pojęć „praw człowieka i obywatela”, chrześcijańskich zasad miłosierdzia i sprawiedliwości ani żadnych naszych wartości? Wymaga to przekonania do uczestnictwa w przedsięwzięciu, jak to nazywa prezydent Finlandii, „mocarstw średniej wielkości”. Jeśli dostaną one od USA i innych państw Zachodu godziwą ofertę i przyjmą ją, jeśli w odpowiedni sposób przekonuje się ONZ, Światową Organizację Handlu, system finansowy i giełdowy – rzecz się uda. Jeśli nie, marny los, zarówno nasz, jak i, w dalszej perspektywie, owych „średnich” mocarstw.

Jako najistotniejsze dla budowy nowej światowej równowagi „mocarstwa średniej wielkości” wskazuje Stubb między innymi Indie, Brazylię, Meksyk, Nigerię, RPA, Turcję oraz Arabię Saudyjską. Charakterystyczne, że nie wymienia Niemiec ani Francji, ani też, jak nakazywałaby europoprawność, traktowanej jako jedno państwo Unii Europejskiej.

Nie wymienia też Rosji ani Polski.

W obu wypadkach – z tego samego powodu: ponieważ przyszłość obu tych krajów jest niejasna. Jedno, co można o niej powiedzieć, to że „albo oni, albo my”. Jeśli Rosja będzie zyskiwać na sile – my będziemy słabnąć, aż do upadku. I odwrotnie: silna Polska oznacza upadek Rosji oraz jej sojuszników, w tym szczególnie dla nas ważnych Niemiec. Jedno z dwojga.

Budowniczości nowego, wielobiegunowego świata starają się być przygotowani na oba te warianty.

Zacznijmy od pierwszego, któremu ze wszech sił powinniśmy zapobiec. USA próbowały odciągnąć Rosję od sojuszu z Chinami, oferując jej status sprzymierzonego z Ameryką mocarstwa regionalnego; była to istota „resetu”, którym kusił Kreml Barack Obama. W styczniu 2022 wydawało się, że administracja Bidena ostatecznie dopięła

swego – znakiem zawartego dylu była amerykańska zgoda na budowę Nord Streamu 2. Miesiąc później okazało się, że Putin wciąż uważa, iż dostał za mało – we wspólnej deklaracji z prezydentem Chin, Si Dżinpingiem, wypowiedział wojnę „złotemu miliardowi ludzkości” (czyli cywilizacji Zachodu) w imieniu pozostałych miliardów, które, wedle tej ideologii, Zachód okradł i wykorzystał w poprzednich wiekach. Ich kosztem budował swój dobrobyt, dziś zaś jest ich najlepszym prawem wymierzyć za to pomstę na potomkach krzywdzicieli i zmusić ich do zadośćuczynienia. Krótco potem rosyjskie wojska wkroczyły na Ukrainę. Putin liczył oczywiście, że będzie to wojna błyskawiczna, i gdyby w istocie spacyfikował kraj w kilka dni i osadził w Kijowie marionetkowe władze, i Europa, i Ameryka musiałyby się zgodzić dać mu jeszcze więcej niż zamierzały. Ale stało się inaczej – stół rokowań został wyrzucony i Putin uparcie odmawia ponownego zajęcia miejsca przy nim, nad czym najusilniej pracują Niemcy, opierający wszystkie swe nadzieje na przyszłość na rosyjskich surowcach i dostępie do rosyjskiego rynku.

Oferta dla Rosji nadal leży na stole – i nietrudno się domyślić, że, podobnie jak za czasów Roosevelta, Churchilla i Stalina, ceną oferowaną za przejście na stronę Zachodu jest oddanie jej kontroli nad Europą Środkową. Na szczęście Rosja od tak dawna nastawiona jest na konfrontację z Zachodem, a zarazem z każdym miesiącem wojny tak bardzo uzależnia się od Chin, że wymarzony przez Obamę zwrot jest coraz mniej prawdopodobny. Przebieg najnowszych rozmów pokojowych, w których Trump skłonny był iść na ustępstwa sięgające granic rozsądku, przekonał zapewne obecną administrację, że Rosji od Chin odciągnąć się nie da.

Ameryce pozostaje zatem tylko plan B: udzielenie pomocy „Trójmorzu” tak, aby koalicja państw „wschodniej flanki” dorosła do statusu „mocarstwa średniej wielkości” i stała się strategicznym partnerem USA w regionie, szachującym zarówno Rosję, jak i powiązane z nią wspólnymi interesami i dążące do sojuszu Niemcy i Francję. Dokładnie to, o czym pisałem w książce *Wielka Polska*.

Powinniśmy zrobić wszystko, aby podchwycić tę ofertę i wykorzystać szansę na zbudowanie takiej koalicji, aby następnie, dzięki niej, „wylewarować” pozycję Polski do rangi „średniego”, czy też „regionalnego” mocarstwa. Wymaga to przyspieszenia polskiego rozwoju gospodarczego i umiejętnego, strategicznego pokierowania nim.

Jakie mamy w tej sytuacji atuty? Po pierwsze – położenie. Pilnym zadaniem jest przechwycenie i zagospodarowanie przepływów strategicznych na osiach wschód-zachód i północ-południe. Polskie porty mają lepsze warunki naturalne od niemieckich, z natury są więc bardziej od nich konkurencyjne. We wrześniu 2025 otwarto na przemysłową skalę tzw. drogę północną z Chin do Europy. Rzecz bardzo znacząca, że armator kontenerowca „Istambul Bridge”, który przepłynął ją pierwszy z pełnym ładunkiem (zabiera on około 5000 tzw. TEU, czyli około 190 tysięcy metrów sześciennych ładunku) za port docelowy w tym eksperymencie wybrał nie Hamburg ani Rotterdam, ale Gdynię. A gra warta jest świeczki: przez Antarktydę, która otwiera się dla wielkich statków dzięki ociepleniu klimatu, transportowiec z Chin płynie do Europy ponad dwa razy krócej niż przez Kanał Sueski, co przekłada się na ogromne zyski. Po należytej rozbudowie, która jest obecnie celowo wstrzymywana przez rząd Tuska – terminal kontenerowy w Świnoujściu, „rurociąg północny” z Trójmiasta do petrochemii płockiej, spławność na całej długości Odry, jako najtańszego połączenia Szczecina i Świnoujścia z południowymi krajami „Trójmorza”, Polska staje się tranzytowym mocarstwem.

Drugim źródłem polskiej gospodarczej potęgi mogą być dochody z Centralnego Portu Komunikacyjnego. Ta inwestycja, ważna także z punktu widzenia wojskowego (duży port lotniczy cargo to możliwość szybkiego przerzutu znacznych sił wojskowych z ciężkim sprzętem), to kolejne miliardy rok w rok wprost do polskich kieszeni. Uzupełnieniem muszą być linie kolejowe – nie tylko osławione „szprychy” CPK, ale także magistrale północ-południe, łączące polskie porty z czarnomorskimi. Idealnie, gdyby udało się też – jak swego czasu marzyło się Gierkowi – uczynić żeglowną Wisłę i połączyć ją z żeglugą na Dunaju. Otworzy to Polskę także na południową nitkę

„jedwabnego szlaku”, przez państwa środkowoazjatyckie, Turcję, Morze Czarne i kraje bałkańskie (dodatkową geopolityczną korzyścią byłoby wyrwanie Węgier ze strategicznej zależności od surowców rosyjskich, która warunkuje obecnie politykę Orbana). Last but not least, warunki naturalne Polski, w większości nizinnej i płaskiej, predestynują nas do tego, aby przejąć większość połączeń światłowodowych.

Nie trzeba chyba bardziej udowadniać, że w nadchodzących latach przepływ towarów pomiędzy Azją a Europą będzie rósł, podobnie, jak i tego, że będzie rosło zapotrzebowanie na moce telekomunikacyjne. Wyścig do podziału tego tortu już trwa – swoje odpowiedniki CPK budują już Niemcy i Węgrzy, ci pierwsi nie ustają też w staraniach, aby szlak lądowy z Chin przez Białoruś i Polskę zastąpić alternatywą: transport lądem do Petersburga, stamtąd do portów niemieckich i z nich do wszystkich zakątków kontynentu. Ale to Polska właśnie ma tu największe naturalne przewagi, które predestynują nas do skonsurowania największej części rynku przewozów. Jest to dla wszystkich tak oczywiste, że – wbrew obawom laików, do których zręcznie odwołuje się antypolska propaganda rządzącego obozu – nie potrzebujemy nawet żadnych szczególnie znaczących środków budżetowych na inwestycje. Perspektywa tych biznesów jest tak kusząca, a ilość wolnego kapitału inwestycyjnego w zachodnim świecie tak wielka, że w zasadzie wystarczą tu jedynie gwarancje rządowe i obligacje. Tak naprawdę potrzeba tylko woli.

Jej jednak w tej chwili nie ma. I dopiero w świetle powyższego staje się oczywiste, jak straszliwą szkodą jest dla Polski to, że w chwili, gdy tworzą się zręby „nowej symetrii” wielobiegunowego świata (proszę spojrzeć, jaki spłot wzajemnie się równoważących, globalnych interesów wytworzy realizacja zarysowanych wyżej planów) rządy w Polsce spoczywają w rękach formacji całkowicie podporządkowanej idei „sfederalizowanego (w istocie, przeciwnie: scentralizowanego) państwa europejskiego”, na bazie obecnej, niemiecko-francuskiej „starej unii”. Formacja, która z tej przyczyny blokuje wszystkie powyższe inwestycje, a zarazem, wprowadzając chaos totalnej wewnętrznej wojny postnomenklaturowych „elit” przeciwko tej części społeczeństwa,

która postrzegają one jako gorsze, „nieeuropejskie” i „zacofane”, i ściągając do pomocy przeciwko niej „Europę”, osłabia Polskę do granic zdolności zachowania elementarnych atrybutów suwerenności.

Nie miejsce tu na szczegółowe szkicowanie stojących przed wyzwoloną z uzależnień „państwa europejskiego” i liderującą Trójmorzu Polską wszystkich możliwości. W *Wielkiej Polsce* napisałem, że powinniśmy dążyć do sytuacji, w której na wschód od Bugu wszyscy chcieliby z nami handlować, wszyscy trzymaliby pieniądze w polskiej walucie, w polskich bankach, szukaliby pracy w polskich przedsiębiorstwach i przysyłaliby do nas swoje dzieci na studia. To się może stać pod trzema warunkami. Po pierwsze, Polska musi być włączona sojusz, dający gwarancję jej stabilności – a wobec ogłoszonego już w nowej amerykańskiej strategii zmierzchu NATO w jego dotychczasowym kształcie, o upadającej UE nie mówiąc, taką gwarancję może dać tylko bilateralny sojusz z USA, który wydaje się w interesie obu stron. Po drugie, Polska musi być w oczach Białorusi i Ukrainy Zachodem, imponować swym poziomem życia, rozwojem, dynamiką. O to jestem spokojny, zwłaszcza wobec naszej niezwyklej przedsiębiorczości, pracowitości i gospodarczego optymizmu, będącego swoistym dziedzictwem tradycyjnej polskiej „ułańskiej fantazji”. Wreszcie, po trzecie – Polska musi być silnym, sprawnym i dobrze rządzonym państwem.

I tu diagnozujemy, bez wątpienia, nasz najslabszy punkt. Silne państwo jest ostatnim, co by leżało w naszej tradycji i co by się nam udawało. Przeciwnie – od czasów rozbicia dzielnicowego, z krótką przerwą na rządy pierwszych Jagiellonów, naszą specjalnością jest raczej życie w ustrojowym rozgardiaszu, w którym brak dobrych procedur i skutecznych instytucji nadrabiamy improwizacją i bohaterskimi wzmoczeniami. Moment założycielski Polski współczesnej zaś, jakim była nieformalna umowa o podziale, i w efekcie przekazaniu władzy, zawarta w Magdalence przez komunistów z lewicowo-liberalną częścią opozycji pod egidą USA i państw Zachodu, wniósł, jako jeden z warunków tej umowy, paraliż państwa na wszystkich szczeblach – tak, aby nie mogło ono, nawet gdyby opozycja chciała swych zobowiązań nie dotrzymać, zapobiec uwłaszcczeniu nomenklatury

i stworzeniu przez nią rządów oligarchicznych na wzór „republik bananowych”: państwa niby demokratycznego i niby wolnorynkowego, ale...

Innymi słowy, tak bardzo nas irytujące „państwo z dykty” nie jest skutkiem klątwy niebios, lecz zostało stworzone w takiej właśnie, bezsilnej i bezwładnej formie, celowo. Jest to państwo, które z całą pewnością opisanych wyżej możliwości nie wykorzysta. Tak, jak straciło już grafen i błękitny laser, a teraz traci jeszcze perowskity, tak samo może stracić i porty, i linie kolejowe, i porty lotnicze, pozwalając, by wszystko to – jak w krajach afrykańskich czy właśnie „republikach bananowych” – przejęły, wraz z zyskami z nich, firmy obce, z ewentualnym, korupcyjnym udziałem mniejszościowym lokalnych kacyków–oligarchów. Nie wątpię, że jeśli Tusk utrzyma się u władzy na dłużej, czeka nas taki właśnie scenariusz.

Najpilniejszym warunkiem budowy Wielkiej Polski, zdolnej wykorzystać dziejowe szanse, jest więc gruntowna reforma państwa polskiego, nie „zmiana władzy”. Doświadczenie ostatnich ośmiu lat, kiedy to „obóz patriotyczny” miał i większość w obu izbach parlamentu, i prezydenta, i Trybunał Konstytucyjny, i państwowe media oraz spółki skarbu państwa, i nic trwałego z tego nie wynikło, dowodzi, że nie da się Polski naprawić bez zmiany konstytucji.

Konstytucja ta, powstała jako chwiejny traktat rozejmowy kończący tzw. wojnę na górze (myślę o tzw. Małej Konstytucji, której ustrojowe zapisy potem podniesiono do rangi konstytucji właściwej, owijając w wątek mniej lub bardziej populistycznych deklaracji) wprowadziła bowiem w Polsce kuriozalną dwoistość władzy wykonawczej. Prezydent pochodzi z powszechnego wyboru, a więc ma mandat silniejszy od premiera, ale ma tylko możliwości blokowania tego pierwszego i psucia mu roboty. W dodatku konstytucja ta – kompletny bubel! – tworzy fikcyjną hierarchię osób w państwie, w której ponad premierem stoją marszałkowie Sejmu i Senatu, choć premier, jako ten, który kontroluje większość parlamentarną, każdego z nich może zmienić na pstryknięcie, tymczasem oni jego – nie.

Uważam, że najbardziej właściwą formą rządów byłyby dla Polski rządy prezydenckie, wzorowane na systemie amerykańskim. Prezydent, wybierany w wyborach powszechnych, pełni funkcję premiera – tworzy rząd (administrację), powołując na ministrów kogo tylko uważa i odwołując ich, jeśli uzna to za stosowne, bez pytania kogokolwiek o pozwolenie. Tym samym to on sam ponosi pełną odpowiedzialność przed wyborcami za skutki rządów. Odpada całe niszczące kraj partyjniactwo, dzielenie się resortami, stołkami i spółkami skarbu państwa według „koalicyjnego” klucza, a potem skiełczenie „my chcieliśmy, ale koalicjant nie pozwolił”. Powiedzmy sobie otwarcie: partie się Polakom nie udały i poza samymi partyjniakami nie znam nikogo, kto by był gotów ich bronić. Co zaś do wspomnianych „spółek skarbu państwa” to w ogóle należy to pastwisko „klasy politycznej” zlikwidować i rozpuścić wszystkie te „rady nadzorcze” i zarządy służące do dojenia publicznych pieniędzy. W strategicznych przedsiębiorstwach państwo może realizować interes publiczny za pomocą mechanizmu „złotej akcji”, albo tworząc po prostu przedsiębiorstwo państwowe, podległe stosownemu ministerstwu.

Drugą oczywistą patologią III RP jest podporządkowanie władzy ustawodawczej władzy wykonawczej. Podobnie jak w USA, należy wprowadzić u nas zakaz łączenia stanowisk w rządzie (administracji) z mandatem poselskim lub senatorskim, i surowo zakazać rządowi przygotowywania projektów ustaw. Stanowienie prawa musi pozostać wyłączną prerogatywą parlamentu. Wreszcie, trzecia z najpilniejszych reform, to głęboki reset wymiaru sprawiedliwości i stworzenie zupełnie nowych struktur, opartych na jednej zasadzie: by zostać sędzią, trzeba przejść demokratyczną weryfikację, to znaczy zostać sędzią wybranym. Nie przez żadną „nadzwyczajną kastę” decydującą, kogo sobie dokooptuje, tylko przez wyborców. To też wzorzec amerykański, sądzę bowiem, że mental naszych narodów jest bardzo podobny.

Tyle na początek, dalej pójdzie już samo w kierunku przejścia z zarządzania urzędniczego, wzorowanego na zaborczych czynownikach, które przeniosła do teraźniejszości Polska sanacyjna i PRL, na

zarządzanie korporacyjne, oparte na określaniu zadań i rozliczania z ich wykonania. Jest tu do wykonania szereg drobniejszych, ale również ważnych posunięć, na czele z likwidacją uznaniowości decyzji urzędniczych (jeśli spełnione są takie a takie warunki, taka a taka decyzja musi zostać wydana w takim a takim terminie – i kropka) oraz wprowadzeniem zasady osobistej odpowiedzialności urzędnika za szkody wywołane decyzją rażąco sprzeczną z prawem.

Jak doprowadzić do tej zmiany? Nie łudźmy się – potrzeba rewolucji. Czy też, odwołując się do bardziej w polskiej tradycji, powstania. Może ono odbyć się pokojowo, przy urnach wyborczych. Gdyby po zwycięstwie Karola Nawrockiego, PiS i Konfederacja były w stanie sformułować powyższe idee w formie wezwania do przyspieszonych wyborów i wezwać do głosowania na koalicję „resetu konstytucyjnego” czy porwać naród dla idei Wielkiej Polski, byłibyśmy już teraz w zupełnie innym miejscu. Niestety, moment zmarnowano – przeważały niskie, partyjniackie kalkulacje, w których interes Polski okazał się mniej ważny, niż nadzieja na kilka mandatów więcej w przyszłym Sejmie. Na szczęście rzeczywistość przyspiesza, i prędzej czy później zmusi polityków do działania. A jeśli nie, to tych, którzy nie zrozumieją wymogów „nowej symetrii”, po prostu zmiecie.

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



POLSKA MIĘDZY SĄSIADAMI. AD 2025

1.

W roku 1979 Stefan Kisielewski napisał doniosły tekst zatytułowany *Czy geopolityka straciła znaczenie?* i ogłoszony drukiem w podziemnym naonczas czasopiśmie „Res Publica”. Twierdził w nim, że na postawione w ten sposób pytanie odpowiedź może być tylko jedna – przecząca. Z całą odpowiedzialnością można dziś powiedzieć, że geopolityka wciąż kształtuje położenie państw w sposób przemożny. Polski dotyczy to w szczególności. Lecz jeszcze istotniejsze pytanie dotyczy innej sprawy. Czy geopolityczne położenie może ulegać zmianie?

W XX wieku można było mieć wrażenie, iż położenie Polski ulega pewnym przeobrażeniom. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Juliusz Mieroszewski stworzył „koncepcję ULB”, czyli współpracy Polaków z narodami Ukrainy, Litwy i Białorusi, uznając w ten sposób, że bez wyzwolenia tych narodów spod panowania Sowietów już nigdy nie będziemy mieli Polski naprawdę wolnej. Z kolei imperium bolszewickie nie ma przed sobą przyszłości i ulegnie rozpadowi. Polska nie będzie miała tego imperium za sąsiada na wschodzie, ostaną się natomiast narody sukcesyjne dawnej Rzeczypospolitej (litewski, ukraiński i białoruski). Sąsiedztwo z Niemcami również wydawało się ulegać znaczącemu przeobrażeniu, skoro zjednoczone Niemcy stały się filarem ponadnarodowego tworu, jakim jest Unia Europejska. Miały więc powstać Niemcy „europejskie”; nie te, które wielokrotnie działały przeciwko nam w przeszłości.

Jak się jednak okazało, Unia Europejska to system utrwalający kontynentalną przewagę Niemiec. Uchwalony w plebiscycie powszechnym *Brexit* jest zresztą potwierdzeniem dotkliwego kryzysu formy integracji europejskiej, jaką oferuje dzisiejsza Unia. Tymczasem aspiracje Berlina, aby uszczęśliwić słabsze narody Europy, bynajmniej nie

gasną. Dotyczy to zwłaszcza Polski. Narody „ULB” – mówiąc językiem Mieroszewskiego – uzyskały własne państwa, doniosłym faktem jest zwłaszcza emancypacja polityczna Ukrainy. Ale jej niezawisły od Rosji byt państwowy nie jest jeszcze czymś przesądzony; walka wciąż trwa. Mimo gospodarczej słabości, w Europie Wschodniej rośnie jednak znaczenie Rosji postsowieckiej. Pod rządami Putina państwo to usiłuje wszakże odzyskać stanowisko, jakie utraciło wskutek zejścia ze sceny dziejowej Związku Sowieckiego.

I tak oto stajemy wobec pytania, gdzie dzisiaj leży Polska. Czy odpowiedź musi brzmieć tak, jak zawsze: między Niemcami a Rosją?

Pozycja Polski w stosunkach międzynarodowych zależy, oczywiście, od naszej pozycji na wschodzie Europy. W zarządzaniu Unii Europejskiej głos Polaków nie może nigdy równoważyć głosu Niemiec albo Francji, zwłaszcza jeśli te państwa kroczą razem.

Wydawało się, że po załamaniu się ZSRR, Polska zyska określone możliwości oddziaływania na Rosję, w duchu jej okcydentalizacji. Mieroszewski pisał nawet, że „pewne uzachodnienie Rosji jest naszym historycznym zadaniem”. Marzenia te – którym ulegał przede wszystkim Jerzy Giedroyc – ostatecznie nie spełniły się. Z naszej strony nie istnieje żadna, nawet potencjalna, możliwość istotnego wpływu na ewolucję sytuacji w Rosji.

Dążenia Rosji wyrażają się w idei odbudowy geopolitycznego porządku, jaki zapewniało istnienie ZSRR. Występuje tu myślenie kategoriami „stref interesów”. Polska ma pozostać w jednej z nich; to naturalny stan rzeczy. Jest zresztą sprawą oczywistą, że upadek Ukrainy w rezultacie toczącej się wojny przyniesie żądania zarówno w sprawie wycofania z Polski i innych państw Europy Środkowo-Wschodniej wojsk NATO, jak i likwidacji infrastruktury militarnej. Takie plany już nieraz się pojawiały, choć nie stawiano ich – póki co – w kategoriach ultimatum. Jeśli jednak to żądanie osiągnie skutek, Polska pozostanie bezbronna, skazana tylko na własne siły zbrojne.

Losy wojny rosyjsko-ukraińskiej będą miały dla Polski ogromne znaczenie. Do najbardziej prawdopodobnych scenariuszy należy narzucenie Ukrainie pokoju na warunkach rosyjskich. Nie dysponujemy żadnymi środkami wpływu na proces negocjacyjny. Działa tu, w sposób wręcz klasyczny, mechanizm decydowania o sprawach mających istotny wpływ na nasze losy, bez naszego udziału.

Wielkim (być może największym) zagrożeniem jest proces budowy europejskiego superpaństwa, który już trwa. Powodzenie tego procesu oznacza upadek wszelkich nadziei na jakąkolwiek samodzielność naszego państwa w stosunkach międzynarodowych. Mówiąc wprost, siły zewnętrzne chcą przejąć nasze terytorium i gospodarzyć się na nim jak u siebie, pozostawiawszy geograficzną nazwę Polski jako jedyny ślad jej istnienia.

Unia Europejska działa jako organizm ideologiczny. Jest bowiem główną siłą sprawczą pochodzenia lewicy przez instytucje, w celu przemiany świata. Zawiodły kalkulacje. Nie uda nam się zablokować tego procesu od wewnątrz, czyli przez koalicję państw członkowskich, które nie życzą sobie lewicowego pochodzenia.

Groźnie działa chociażby jurysdykcja tzw. TSUE. Ostatnio ujawniło się to w wyroku o obowiązku uznania przez wszystkie państwa członkowskie tzw. małżeństw homoseksualnych, o ile oczywiście taki związek zawarto w jednym z tych państw. A przecież nie ma na to żadnych podstaw w podpisanych przez Polskę traktatach.

Nie trzeba dodawać, że próby narzucenia rygorystycznych norm klimatycznych godzą w nasz przemysł. Traktat Mercosur z 1991 roku zagraża, i to śmiertelnie, polskiemu rolnictwu. Grozi nam to perspektywą dużego bezrobocia, nie wspominając już o niemałych trudnościach wewnętrznych.

Podporządkowując się dyktatowi Brukseli, niestety nie możemy liczyć na to, że w zamian otrzymamy jakiegokolwiek wsparcie na wypadek konfrontacji z Rosją. Obiegowa teza liberalna, według której

„budując pozycję Polski w Unii Europejskiej, jesteśmy silniejsi” – nie działa, chociaż jest powtarzana co najmniej od referendum akcesyjnego w 2003 roku.

Ogromną trudnością polityki polskiej jest konieczność prowadzenia zmagania na dwa fronty; tak trzeba to ująć. Na froncie wschodnim – przeciwko imperium rosyjskiemu, aby powstrzymać jego starania o wznowienie panowania nad naszym regionem. Na froncie zachodnim – w obronie państwa narodowego, aby nie pozwolić obcym urządzać naszego losu w myśli ideologicznych założeń liberalizmu.

Wydawało się, że w wyniku napaści na Ukrainę w lutym 2022 roku i niepowodzeń w walce o jej zdobycie, Rosja dozna poważnego osłabienia. Byłoby to dla nas korzystne, ponieważ zmniejszyłoby „ciśnienie” państwa Putina na Polskę, które wyrażało się chociażby w rozmaitych groźbach i prowokacjach. Najwyraźniej kalkulacje jednak zawiodły. Wszystko wskazuje na to, że Rosja nie ulegnie spodziewanemu osłabieniu.

2.

W rozumieniu prawa międzynarodowego, Polska jest państwem suwerennym. W rzeczywistości chodzi tu jednak o rozciągnięcie obcego władztwa nad naszym terytorium.

Wybitnie problematycznie brzmi odpowiedź na pytanie, czy Polska obecnie prowadzi jakąkolwiek politykę zagraniczną. Mamy Prezydenta Rzeczypospolitej, Karola Nawrockiego, który z powodzeniem robi swoje. Mamy również rząd lewicowo-liberalny, który robi swoje, chociaż zawsze odwrotnie niż głowa państwa. Między obydwojema tymi kierowniczymi ośrodkami toczy się ostre starcie. O tym, aby Polacy mówili jednym głosem swych przywódców – nie sposób dziś nawet marzyć. W obecnej sytuacji snucie przemyśleń (nawet nowatorskich) na temat tego, jak należałoby prowadzić politykę zagraniczną, nie jest niczym innym, jak tylko swobodnym ćwiczeniem umysłowym.

„Cechą naszej polityki zagranicznej było stale uzależnianie się od innych ośrodków” – pisał kiedyś Jerzy Giedroyc. W chwili obecnej to groźne zjawisko ulega spotęgowaniu.

Oczywiście, zasada „nic o nas bez nas” jest drogowskazem każdej sensownej polityki zagranicznej i musi nim pozostać, nawet wtedy, gdy ewoluuje ustrój stosunków międzynarodowych, zmieniają się pojęcia i powstają nowe instytucje międzynarodowe.

Trzeba powiedzieć jasno: polityka zagraniczna państw wiąże się na ogół z dwoma rodzajami doświadczeń. Czasy spokojne, kiedy panuje względny pokój, wymagają dyskretnej dyplomacji, umiejętnej polityki kompromisu, systematycznego budowania dobrego wizerunku własnego państwa na terenie międzynarodowym. Ale bywają też momenty, w których trzeba postawić wszystko na jedną kartę. Nie ma wtedy możliwości kompromisu między interesem własnego państwa, a interesami mocarstw nieprzyjacielskich. Stawką podejmowanych decyzji jest niepodległość i los narodu na kolejne długie lata.

Mamy tradycję walki o niepodległość. Mamy przywiązanie do idei niepodległości. Ale społeczeństwo najwidoczniej akceptuje akt złożenia suwerenności w ofierze molochowi, którym jest Unia Europejska. Wprawdzie polityka zagraniczna, jako materia złożona, „nie żyje z dnia na dzień, lecz trwa tradycjami” (tak uczył wybitny historyk, Władysław Konopczyński), ale odnosimy wrażenie, jakby Polacy odwrócili się od własnej historii także w tym aspekcie. A przecież Polska ma tradycje polityki zagranicznej w pełni godnej tego miana. Przede wszystkim trzeba wskazać na lata międzywojnia, w których obecność odrodzonego państwa w stosunkach międzynarodowych wyrażała się konsekwentną obroną niepodległości, i to w skrajnie niesprzyjających warunkach.

Należy pamiętać, że zły klimat wokół Polski powstaje wtedy, gdy usiłuje ona bronić swych interesów „na własną rękę”. Trzeba wtedy przejść do porządku dziennego nad jej interesami. Tak było zarówno w dobie *appeasementu* w latach trzydziestych XX wieku, jak i podczas II

wojny światowej. To właśnie wtedy odradzały się na Zachodzie groźne stereotypy na temat Polski. Zły odbiór polskiej „polityki równowagi” brał się przede wszystkim stąd, że polityka ta nie pasowała do koncepcji obrony pokoju na drodze ustępstw wobec Niemiec. Dodać należy, że zwyciężały przecież wtedy koncepcje wypracowane w Londynie i Paryżu drugiej połowy lat trzydziestych. Uznajmy to za ważne *memento* historii dyplomacji.

Sądzę, że mimo wszystko powinniśmy powtarzać za Lechem Ka-
czyńskim znamienne słowa: „Zadaniem rządu Rzeczypospolitej nie
jest utrzymywanie za wszelką cenę dobrych stosunków z jakimkol-
wiek krajem”. Walka o zachowanie niepodległości wymaga starań za
wszelką cenę; nic dodać, nic ująć. Właśnie o to chodzi. Zasada ta po-
winna dotyczyć tak Wschodu, jak i Zachodu.

Stoi przed nami wielkie wyzwanie: oprzeć się próbie wchłonięcia Pol-
ski do organizmu międzynarodowego, w którym będziemy się mogli
cieszyć jakąś bliżej nieokreśloną autonomią kulturalną oraz bronić
się przed rosyjskim (czyli post-sowieckim albo raczej neo-sowiec-
kim) ekspansjonizmem. Zważmy, że kieruje się on przeciwko Polsce,
i to z pełną oczywistością. Wszystko to jawi się nam jako wyzwanie
niezmiernie poważne. Czy jednak nie przekracza on nasze siły? Czas
pokaże.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



NIEODROBIONE LEKCJE Z HISTORII

Nasza historia się powtarza, a teraz żyjemy w czasach szczególnie smutnych. Wydawało się już, że po upadku komunizmu i po tym jak my, Polacy odegraliśmy tak chlubną rolę w pokonaniu tego systemu, wyciągnęliśmy wnioski i jesteśmy już na tyle mądrzy, że postaramy się działać sprawnie i roztropnie. „Solidarność” była pod tym względem w swym pierwszym okresie zjawiskiem niezwykłym przez to, jak funkcjonowała wówczas organizacja społeczna, jak wiele zdołaliśmy w krótkim czasie stworzyć. Dzisiaj jednak Polska jest rozbita tak, jak jeszcze nie była chyba nigdy w przeszłości – mówi profesor Ryszard Legutko, filozof, publicysta, autor książek o tematyce społeczno-politycznej, były senator i minister edukacji narodowej, w latach 2009–2024 poseł do Parlamentu Europejskiego.

Panie Profesorze, co jest dla Pana racją bytu Polski – w szerokiej, dziennej perspektywie i dzisiaj, w naszej konkretnej sytuacji historycznej, politycznej, geopolitycznej?

Racją dzisiaj jest to, co było zawsze, czyli Polska zdolna o własnych siłach utrzymać suwerenność. Zwykle w naszej historii w ciągu ostatnich wieków jej nie mieliśmy albo ją traciliśmy, albo zbyt polegaliśmy na gwarancjach suwerenności ze strony jakichś zewnętrznych podmiotów.

Od dawna zatem mamy ten sam problem: jako zbiorowość, wspólnota nie rozpoznajemy tego, co naprawdę jest i co powinno być podstawową racją tych wszystkich, którzy rządzą Polską, a także jej mieszkańców.

Naszym problemem jest także popadanie w kolejne odmiany zbiorowego złudzenia. Mami nas ono naprzemiennie przekonaniem, że albo suwerenność się nie liczy; albo że ją mamy, choć naprawdę jej nie

posiadamy; albo że gwarantuje ją ktoś z zewnątrz i w związku z tym właściwie my sami nie musimy o nią specjalnie zabiegać. Ta tendencja ciągle powraca, a czasy współczesne są dokładną tego ilustracją.

Mamy coraz mniej suwerenności, którą oddaliśmy po części Unii Europejskiej, a po części Unia Europejska nam ją odbierała i nadal odbiera. Ogromna część Polaków się na to godzi. Nie chcę źle przewidywać, ale za jakiś czas być może znowu zupełnie utracimy możliwość decydowania o własnym państwie. Wtedy rozpocznie się to, co zawsze miało miejsce w przeszłości: insurekcje, partyzantka. Mężczyźni pójdą do lasu tworzyć oddziały leśne. Mówię tu oczywiście metaforycznie, ale to jest właśnie ta karuzela, na której się ciągle znajdujemy. Tak jakbyśmy nie mogli się nauczyć, że trzeba dbać o Rzeczpospolitą, która jest silna przede wszystkim siłą własną, a wtedy dopiero może pozyskiwać sojuszników. Jeżeli zaś jest słaba, to wtedy nawet sojusznicy jej nie pomogą, a nawet mogą jej zaszkodzić.

Co Pańskim zdaniem przesądza o tym, że popadamy w ten kołowrót zależności od obcych, polegania na innych; że jesteśmy tak skłóceni, nie potrafimy zdobyć się na niezależność i zgodne współdziałanie?

To trudne pytanie, na które niełatwo jest znaleźć odpowiedź. Można poszukiwać jej w tym, co nazywane jest czasem charakterami narodowymi. Nie odrzucam hipotezy, że one istnieją, da się je wyróżnić i opisać. Uważam, że coś w tym jest. Nie dysponujemy jednak odpowiednio dobrym językiem poznawczym, by mocno uzasadnić tezę o istnieniu czegoś takiego jak charakter narodowy. Owszem, obserwując zachowania i postawy różnych grup trudno się czasami oprzeć wrażeniu, że cechuje je pewna regularność czy powtarzalność.

W przypadku nas, Polaków być może jest tak, że nie mamy na ogół zdolności by myśleć długofalowo, mając na względzie perspektywę kolejnych dekad czy pokoleń.

Niedawno uczestniczyłem w konferencji z okazji okrągłej rocznicy Hołdu Pruskiego. Tamto wydarzenie uznaje się za jedną z chwalebnych

kart polskiej historii. Jest też jednak przykładem krótkowzroczności. My nieraz zadowalaliśmy się jakimś chwilowym triumfem, podczas gdy albo nie potrafimy wykorzystać w pełni nadarzającej się szansy, albo wręcz sami otwieramy drogę do zdarzeń niekorzystnych dla naszego państwa, sprzecznych z jego rzeczywistym dobrem.

Tak było również wtedy. Wyhodowaliśmy sobie wielkiego wroga, który później, gdy już się wzmocnił, to żadnej łaskawości wobec nas nie okazywał. Wówczas, zwłaszcza mając na uwadze doświadczenia historyczne z państwem krzyżackim, należało raczej dokonać aneksji, wchłonięcia. Po co nam był, po jaką cholere – przepraszam – hołd? Cóż to takiego?... To w istocie coś, o czym przez chwilę się pamięta, a później się o tym zapomina. Gest bez realnego znaczenia politycznego.

Można przywołać też kolejne przykłady polityki obliczonej na krótki efekt. Chociażby takie, jak niewykorzystane zupełnie zwycięstwo pod Grunwaldem. Jest w naszych dziejach całe mnóstwo takich momentów, w których osiągamy coś dobrego, dochodzimy do jakiejś dziejowej szansy, ale nie wyciągamy z tego dla naszego państwa takich owoców, jakie były w zasięgu. W bliższych nam czasach takim potencjalnym punktem zwrotnym było powstanie oddolnego ruchu społecznego „Solidarności”. Znowu coś się nadzwyczaj dobrze zaczęło, przyniosło pierwsze korzystne skutki, ale gdzieś później zostało zapoznane i w dużej mierze zmarnowane. Takie niewykorzystane, niedopełnione przedsięwzięcia później się mszczą.

Do zagubienia polskiego poczucia niezależności przyczyniły się także długie okresy niewoli. Skoro przez bardzo długi czas żyliśmy pod zaborami, a później – po krótkim okresie międzywojennym – pod okupacją niemiecką i sowiecką, to w pewien sposób przyzwyczailiśmy się do życia pod obcym protektoratem. Takie postawy się utrwalają. W niewoli mieliśmy przed sobą różne opcje – formy reakcji. Mogliśmy chociażby akomodować się, dostosowywać do sytuacji. Można było prowadzić jakieś gry albo też całkowicie kapitulować. Wszystko to spowodowało jednak, że ostrość naszego widzenia wartości, jaką

jest niepodległa Polska, nieco się stępiła. Z czasem weszło nam to po części w nawyk.

Popatrzmy, jakie postawy odnotowali twórcy naszej narodowej literatury i historycy. Jak czytamy w „Panu Tadeuszu”, na początku XIX wieku upatrywaliśmy ratunku w cesarzu Francji – „Polska z Napoleonem, Napoleon z nami” – Mickiewicz niekoniecznie musiał w to wierzyć, ale jego bohaterowie wierzyli... Później pojawił się władca Królestwa Polskiego, Aleksander, który przyjechał do Warszawy, był też w innych miastach witany przez naszych rodaków entuzjastycznie, ze łzami w oczach. Mieli względem niego takie oczekiwania jak wobec Napoleona, a już kilkanaście lat później wybuchło powstanie przeciwko carskiej Rosji. Oczywiście państwem największego zabójcy rządził wtedy już ktoś inny, ale tak radykalne zmiany naszych zapatrywań pokazują, jak krótką perspektywę niekiedy przybieramy. Kiedy się zmienia etap dziejów, chętnie przechodzimy z jednej skrajności w drugą.

W naszych czasach obserwujemy ślepą, bezgraniczną miłość dużej części elit do Unii Europejskiej. To jest kolejny przykład tej naszej narodowej skłonności – wielu wierzy, że Bruksela zadba należycie o nasze interesy, a my musimy być lojalnym partnerem i słuchać, a nie kręcić nosem. To ogromnie irytujące, gdy pamięta się historię Polski i widzi, jak niewiele z niej się nauczyliśmy.

Być może gdyby Pan rozmawiał z przedstawicielem narodu irlandzkiego albo hiszpańskiego, albo portugalskiego, albo włoskiego, też usłyszałby, jak ten człowiek wkurza się, że jego naród zrobił tyle błędów. Ale w przypadku Polski jest to szczególnie bolesne. Bądź co bądź, wychodząc od momentu, gdy byliśmy jedną z największych potęg Europy, w ciągu 300 lat wszystko zaczęło się rozpadać, aż doszliśmy do całkowitego upadku państwowości. Polska przestała istnieć zupełnie, nawet nie zachowaliśmy choćby części niezależnego terytorium. Niepodległość odzyskaliśmy później, po części cudem, a częściowo też dzięki bardzo skutecznej, dobrze przemyślanej walce politycznej i militarnej o odrodzenie Polski po I wojnie światowej. Później jednak

znów, zaledwie po 20 latach straciliśmy suwerenność – ponownie ufając w sojusze i „dobroczyńców”, którzy „na pewno nas nie zostawią w potrzebie”.

Tak powtarza się nasza historia, a teraz żyjemy w czasach szczególnie smutnych. Wydawało się już, że po upadku komunizmu i po tym jak my, Polacy odegraliśmy tak chlubną rolę w pokonaniu tego systemu, wyciągnęliśmy wnioski i jesteśmy już na tyle mądrzy, że postaramy się działać sprawnie i roztropnie. „Solidarność” była pod tym względem w swym pierwszym okresie zjawiskiem niezwykłym przez to, jak funkcjonowała wówczas organizacja społeczna, jak wiele zdołaliśmy w krótkim czasie stworzyć. Dzisiaj jednak Polska jest rozbita tak, jak jeszcze nie była chyba nigdy w przeszłości.

Książe Adam Czartoryski pisał kiedyś, że tak naprawdę istnieją tylko dwie partie – polska i antypolska. Teraz można również powiedzieć, że jest partia podległości i partia niepodległości. Znowu zatem zaczynamy od zera. To jest szalenie przygnębiające.

Może to nasze słynne umiłowanie wolności jest zbyt wielkie i nie potrafimy podporządkować go dobru zbiorowości, podobnie jak w czasach I Rzeczypospolitej zgubiła nas prywatna magnaterii. Skłonni jesteśmy bardziej zaufać siłom zewnętrznym niż sobie jako narodowi, jako wspólnocie politycznej i coś więcej przecież niż politycznej?

My tej wolności chyba nie rozumiemy. Popadamy w anarchię i kompleks *dominium absolutum* („władzy nieograniczonej”), którym w czasach I Rzeczypospolitej nieprzychylnie jej siły straszyły szlachtę gdy tylko pojawiała się perspektywa wzmocnienia władzy królewskiej. Do dzisiaj bardzo łatwo jest wśród Polaków wzbudzić poczucie zagrożenia tym, że jakaś władza absolutna zniszczy nas, zgnoi, odbierze nam to, co mamy. To jednak oznacza, że mamy słabe rozpoznanie rzeczywistości. Jeżeli ktoś w drugiej połowie XVIII wieku uważał, że dzieło reformy, którego efektem była Konstytucja 3 maja, prowadzi do *dominium absolutum*, natomiast gwarantem wolności jest król Prus i Rosja, to znaczy, że on nie za bardzo rozumiał, co się dzieje. To zaś,

co uważa za uprawnioną swobodę, jest raczej nieuporządkowaniem i anarchią.

Dokładnie to samo przerabialiśmy również w naszych czasach, począwszy od 2005 roku. Jak łatwo było wtedy wzbudzić wśród wielu Polaków przekonanie, że rządy Prawa i Sprawiedliwości to władza autorytarna, dyktatura. To rzeczywiście wśród wielu ludzi budziło emocje. Można było patrzeć na tych krzyczących, protestujących. Teraz zaś, kiedy naprawdę przyszły czasy dość zamordystyczne i ten zamordyzm idzie do nas z Zachodu, z Unii – chociaż nie tylko – znikają klauzule sumienia, za poglądy idzie się do więzienia albo wyrzucają z pracy, następuje próba eliminacji opozycji w Polsce i różne inne dramatyczne fakty, to już dziwnym trafem nie wywołuje adekwatnej reakcji.

Według mojej diagnozy, wielu z nas brakuje rozpoznania rzeczywistości, które powinno być niezależne od osobistych sympatii politycznych. Ci sami – mój Boże – moi koledzy z wyższych uczelni, którzy nieco wcześniej byli tacy hardzi w obliczu wyimaginowanego zagrożenia, kiedy przyszło to prawdziwe, siedzą cicho, bo się boją.

Wracając do Pana pytania, jestem już byłym politykiem, więc mogę tak mówić: mam dwuznaczne refleksje dotyczące poglądu o umiłowaniu polskiej wolności. Wiem, że to jest taki stary, powracający wciąż motyw – pisali o tym romantycy, wiem, że myśmy w przeszłości niejednokrotnie „dzielnie stawali”. Z drugiej strony jednak, można u nas dostrzec coś zupełnie przeciwnego – właśnie opisaną tu tendencję, prowadzącą nas ostatecznie do samodestrukcji. Sprawia to, że czuję się niezbyt komfortowo i niezbyt optymistycznie nastawiony jestem do tego, co może nastąpić już w niedalekiej przyszłości. Nie mam bowiem zaufania właśnie do tego polskiego instynktu wolności. No, chyba, że znowu – tak jak mówiłem na początku – okaże się, że trzeba będzie pójść do lasu, organizować partyzantkę i tak dalej. Tyle, że wtedy będzie już za późno.

W czym możemy zatem upatrywać nadziei na przyszłość, co nas może spoić i... obudzić?

Nie mam takiego przekonania, że nas coś będzie spajać, bo nigdy nas nie spajało, a jeżeli nawet, to na krótko. Oczywiście jednak, my tu sobie narzekamy, czy ja narzekam, ale z drugiej strony, kiedy spojrzymy na Polskę, to okaże się, że jednak ona w tej chwili i tak na tle innych krajów się rysuje dość korzystnie.

Owszem, od samego początku, od nowego otwarcia w 1989 roku natchmiasz rozpoczęte zostało dzieło kolonizowania polskich umysłów, kontynuowane zresztą przez cały czas. Mimo wszystko jednak wciąż mamy w naszym życiu publicznym ośrodki niezależne, które reprezentują inny rodzaj myślenia – niezależny od wpływów zagranicznych, a partie konserwatywne cieszą się dużym poparciem. Takiego zjawiska nie ma właściwie w dużych krajach Unii Europejskiej. Więc, być może jest to jedna z przyczyn, dla których z taką gwałtownością wszystkie instytucje międzynarodowe, a nawet rządy, zagraniczne media itd. rzuciły się na Polskę pod rządami prawicy? Być może dlatego teraz podchodzą do poczynąń obecnego gabinetu z taką tolerancją, a nawet kibicują jego działaniom nakierowanym na niszczenie prawicy, na zwalczanie opozycji.

Paradoksalnie ta sytuacja pokazuje jednak, że jest jeszcze jakaś, wcale niemała część Polaków, którzy się nie poddali – i na tym trzeba budować. Tu muszę powiedzieć, że osiem lat rządów Prawa i Sprawiedliwości było nieco rozczarowujące. Jakkolwiek sam byłem związany z tym obozem i zawsze go popierałem, a w niektórych kwestiach – na przykład europejskich – miałem zdecydowanie poglądy raczej „jastrzębia” niż „gołębia”, to uważam, że nie udało się Zjednoczonej Prawicy wesprzeć budowy ośrodków, mediów, organizacji niezależnych od wpływów lewicowo-liberalnych. Słowem, dokonać tego, co robi z takim sukcesem Viktor Orbán. Co prawda moi węgierscy znajomi mówią, że jeśli przegra on wybory, to jego ewentualny następca – a teraz jeszcze konkurent – wraz z dzisiejszą opozycją pójdą tą

samą ścieżką, którą obrał obecny rząd w Polsce – mówiąc w przenośni, przez państwo przejadą buldożery.

Wracając do PiS – myślę, że ten rząd mógł zrobić więcej. Jednak jeszcze, póki co, trwamy. Nie jest tak, że już znajdujemy się w Zbarażu czy w Okopach Świętej Trójcy. Jeszcze możemy kasać, jeszcze możemy ich pogonić. To nie jest sprawa przegrana, bo należy myśleć właśnie w kategoriach starcia i zdawać sobie sprawę, jakie znaczenie ma dobre rozpoznanie przeciwnika. Już teraz wiemy, że tak jak Polak z Polakiem, to sobie z nim nie porozmawiamy.

Zatrzymując się na chwilę przy kwestii zaniechań, o których Pan Profesor wspomniał, chcę spytać o dużą rozbieżność pomiędzy obietnicami głoszonymi przez Prawo i Sprawiedliwość w kampaniach wyborczych i hasłami takimi jak zachowanie suwerenności energetycznej, polski węgiel, nie wpuszczamy imigrantów, i tak dalej. W trakcie rządów ta polityka okazała się jednak różna od zapowiedzi. Tutaj PiS bardzo dużo stracił u wielu ludzi, którzy przywiązują wagę do tego typu wyznaczników i aspektów suwerenności, w tym gospodarczej, czy tej etnicznej jedności i siły Polski. Czy uważa Pan, że ten obóz będzie w stanie odejść od swojej, w dużej mierze dotychczas pozorowanej polityki?

Po części tamto postępowanie rozumiem, a po części krytykuję. Rozumiem to, że ciągle jeszcze działa czynnik niezwykle ważny – Polacy w ogromnej większości boją się działań wyraźnie skierowanych przeciw Unii Europejskiej. Straszenie *polexitem* jest zupełnie nieskuteczne, ponieważ bardzo wielu z nas nie wyobraża sobie istnienia Polski poza Unią. To też wynika z pewnej zmiany świadomościowej. Jak Pan pamięta, głośno było o rozmaitych badaniach postaw Polaków – że 14% wręcz nienawidzi swojego kraju, a 46% powiedziało, że nie broniłoby go, gdyby został zaatakowany. Trudno jednak, mając szeroki elektorat z takim nastawieniem, zmobilizować się na rzecz ostrzejszej walki z Unią. To też jest przekład postawy, o której mówiliśmy wcześniej – swego rodzaju choroby objawiającej się pragnieniem owego dobroczynnego protektora z zagranicy.

Po części więc rozumiem przywódców Prawa i Sprawiedliwości. Oni bali się ostrej konfrontacji. Próbowali trochę tańczyć na linie, robić różne uniki, ale to było ryzykowne. To jest ten aspekt, dla którego – znając trochę politykę – mam pewną wyrozumiałość, chociaż mnie takie podejście oczywiście nie cieszy.

Natomiast niezbyt mi się podobało przekonanie niektórych polityków w rządzie – choć tutaj nazwisk nie chcę wymieniać – że z tymi ludźmi, którzy rządzą Unią, rządzą głównymi jej instytucjami, można się dogadać; że w tym całym konflikcie chodzi o pewne ustępstwa, pewien kompromis, który można zawrzeć i nieco tracąc, odzyskać święty spokój, a w każdym razie wywinąć się z tej konfrontacji. Otóż to był błąd, i to nie taki, który dopiero teraz widzimy. Wielu z nas ostrzegało i mówiło już wówczas: to nie jest to, oni nie chcą dialogu, porozumienia, kompromisu. Ci ludzie chcą naszej śmierci, mówiąc w przenośni – oni chcą nas politycznie zabić. Oczywiście w tym znaczeniu, w jakim Donald Tusk próbuje dziś zniszczyć opozycję, to znaczy wypchnąć ją całkowicie poza granicę szacunku i możliwości uczestniczenia w grze politycznej.

To była pewna naiwność i to było do uniknięcia. Z tej naiwności wynikały różne dziwne rzeczy, o których później się dowiadaliśmy, na przykład, że brukselski komisarz konsultował nasz projekt prawny dotyczący systemu sprawiedliwości. Takich rzeczy jednak nie można robić. Komisarz nie jest kimś, kto uczestniczy w procesie legislacyjnym w Polsce.

Takie rzeczy nie powinny się zdarzyć. Nawet jednak jakby zostały na nas wymuszone, to i tak mielibyśmy do czynienia z inną sytuacją niż taka, w której my sami podstawialiśmy głowę pod topór w przekonaniu, że to nie jest topór, tylko wyciągnięta w naszą stronę ręka, która czeka na uściśnięcie.

Pan miał możliwość obserwowania tych najważniejszych struktur Unii Europejskiej z bardzo bliska, od wewnątrz. Czy postrzega ją Pan dzisiaj tak samo jak część prawnicy – jako eurokolchoz i system do gruntu zły?

Czy też upatruje jakichś perspektyw wskazujących na to, że Unia Europejska zmieni twarz na bardziej ludzką?

W tej chwili jest to system niewątpliwie zły, szkodliwy, a w obecnym stanie rzeczy trudny do uratowania. Działa źle i przynosi coraz większe kłopoty, trudności. Europa jest w coraz gorszym stanie. Im bardziej UE się rozwija i brzmi buńczucznie, tym Europejczykom żyje się gorzej. Nie wykluczam więc, że nastąpi jakaś społeczna fala silnego sprzeciwu. Podejrzewam jednak, że może nastąpić to, z czym mieliśmy do czynienia w okresie komuny. To znaczy, że ci sami ludzie, którzy z Unii uczynili tego potwora, jakim jest ona obecnie, niedługo, gdy przyjdzie ta fala buntu, powiedzą: my teraz będziemy to reformować. Ci sami, którzy zrobili tyle złego, okażą się teraz głównymi odnowicielami – EPP, Manfred Weber, socjaliści...

Byłoby to powtórzeniem scenariusza z okresu rządów PZPR, która się ciągle reformowała na zasadzie: partia ta sama – teraz zaś Unia taka sama, już bez „błędów i wypaczeń”. Tak było ciągle przez całe dekady systemu komunistycznego czy też „realnego socjalizmu”, a nawet po części jeszcze po 1989 roku. Trochę się tego obawiam, bo w obecnym stanie rzeczy wiele zrobić się nic nie da, żeby ten system naprawić. Warunki wstępne, które by umożliwiły sanację tego tworu, są zbyt surowe i zbyt wymagające.

Przed laty sądziłem, że aby spokojnie egzystować w ramach UE, wystarczy po prostu przestrzegać traktatów, które dzisiaj są przecież łamane masowo, seryjnie.

Otóż niedawno przyjrzałem się na świeżo tym porozumieniom ustanawiającym Unię Europejską, zanalizowałem je. Wniosek jest następujący: z tym się nic nie da zrobić, myślę, że muszą nastąpić kroki zasadnicze. Takie instytucje jak europarlament nie mają prawa istnieć, gdyż tylko szkodzą przez wprowadzenie mechanizmu partyjnego na poziom europejski, co dokonuje się obecnie. Najsilniejsze partie ułatwiają swoje własne interesy, miesząc się w politykę wewnętrzną poszczególnych krajów. My, konserwatyści możemy nawet wygrać

wybory, ale unijny parlament tego nie zaakceptuje, ponieważ nie zaprobuje takich rezultatów głosowania większość partyjna w Brukseli i Strasburgu.

Z kolei Trybunał Sprawiedliwości nie może przejmować roli krajowego Trybunału Konstytucyjnego. To jest szkodnictwo. W tej chwili, w ścisłe prawnym sensie to nie jest w ogóle trybunał.

Powinniśmy zmienić także Izbę Arbitrażową, system głosowania w Radzie Europejskiej... Znowu – jest tam taka sytuacja, w której jedna grupa trzyma władzę, a cała reszta ma słuchać. Tak być nie może.

Musi zostać przywrócona zasada konsensusu. Ona jest trudna do zrealizowania w praktyce, jednak daje pewną gwarancję jakiegoś wspólnego działania i względnej równości wszystkich podmiotów.

A już Komisja Europejska jako super-rząd nie odpowiadający przed nikim, ci w dużej części głupi komisarze, którzy są w większości ludźmi przypadkowymi... Rzuca się ich tam „na odcinek”, dostają losowo swoje funkcje, zresztą bardzo nieprecyzyjnie określane i nie można z nimi nic zrobić, nie można ich odwołać ani rozliczyć. Tacy ludzie dyktują rządowi – zwłaszcza tym słabszym – że nie mogą podskakiwać silniejszym od siebie.

Tak być nie może. Nie jest akceptowalny układ przy takiej Komisji, przy takim systemie głosowania w Radzie, przy takim Trybunale Sprawiedliwości, z takim parlamentem! Nie mam na myśli tego, że aktualnie rządzi taka, a nie inna większość. Nie jest do utrzymania system z parlamentem jako instytucją, ponieważ nie ma jakiegoś wspólnego, jednolitego europejskiego *demosu*. Jest rzeczą niezwykle szkodliwą tworzenie instytucji, która ma udawać, że taki *demos* istnieje realnie, a w domyśle sama ma go kształtować poprzez ustanawianie wspólnego prawa dla tak odmiennych społeczności. Na domiar złego jeszcze zamiast tworzyć, to wzbudza powszechny gniew, opór i bunt ludzi.

Rząd Tuska przeprowadza kolejne zmiany niszczące Polskę, całkowicie destrukcyjne dla potencjału gospodarczego naszego kraju, ale też w wymiarze politycznym, społecznym. Głośno teraz o pseudo-reformie szkoły, polegającej na pozbawieniu programów dydaktycznych prawdziwej treści, realnej wiedzy. Równocześnie forsowana jest choćby cenzura internetu i podobne, groźne przepisy. Czy Pana zdaniem w tej chwili nasza państwowa suwerenność „wisi” – kolokwialnie mówiąc – na wecie prezydenta Karola Nawrockiego?

Mówiąc najprościej i najbrutalniej – tak. Nie wiem, ilu z nas zdawało sobie sprawę z wagi ostatnich wyborów, ale gdy sobie pomyślimy, że Trzaskowski zostałby prezydentem, to wniosek jest taki, że już byłoby po wszystkim. I ten moment pójścia do lasu, i tworzenia oddziałów leśnych nadszedłby znacznie szybciej niż się spodziewaliśmy.

Twierdzę w ogóle, że ten rząd nie tylko szkodzi Polsce, bo to każdy, kto choć trochę myśli i trochę stara się rzeczy oceniać w miarę bezstronnie, to musi widzieć – że, na przykład, likwidacja kluczowych inwestycji to nie jest rzecz korzystna dla naszego państwa. Zadłużenie w wysokości miliarda złotych dziennie to nie jest rzecz korzystna dla Polski. Edukacja w takim kształcie jak w tym momencie i jaki jeszcze ma być ustanowiony w niedalekiej przyszłości, to nie jest rzecz korzystna dla Polski. Można tę wyliczankę ciągnąć i ciągnąć.

To nie jest coś, co widzi tylko ktoś ogarnięty szaleńcem partyjnym, jednoznacznie deklarujący się po stronie opozycji. To powinien dostrzegać każdy, bo mamy do czynienia z rzeczami dosyć elementarnymi. Zatem nie tylko chodzi o to, że ten rząd działa na naszą szkodę. Twierdzę, że ten rząd robi to specjalnie. Rząd celowo niszczy Polskę. Oczywiście jest obecny ten, zauważony już dawno aspekt jego niepoprawności. Szef tego gabinetu to niezwykle sprytny i sprawny polityk do konfrontacji wewnętrznych i do walki partyjnej. Jako premier jest natomiast po prostu nieudolny i zawsze taki był. Zajął nam trochę czasu, zanim ten fakt został dość powszechnie dostrzeżony.

Dlaczego Tusk świadomie szkodzi Polsce? Mój Boże, tu już znowu wchodzimy na ryzykowny teren charakterów – ale ta jego mściwość, która została dostrzeżona nawet i po tamtej stronie...

Twierdzę więc – chociaż nie oczekuję, iż zgodzi się ze mną wielu – on się mści na Polsce za to, że kilka razy został upokorzony w wyborach i tego nie zaakceptował. Ja nie bardzo pojmuję, dlaczego ktoś może robić to, do czego on się posuwa. Dlaczego w sposób tak oczywisty służy interesom niemieckim? Wstrzymanie tak wielu ważnych inwestycji nie tylko szkodzi Polsce, ale jest korzystne dla Niemiec. Odra, Port w Świnoujściu i tak dalej... Te decyzje wyraźnie służą interesom Berlina, więc ja nie potrafię znaleźć innej hipotezy. Może jest jakaś, nie upieram się przy tym, nie będę tego głosił jako tezy akademickiej, ale na potrzeby publicystyki – ja tak uważam. Nie potrafię znaleźć innego klucza do zachowań Donalda Tuska. Wiem, że na przykład komuniści czy postkomuniści kiedy rządili, to patrzyli w stronę Ruskich. Jednak gdy rządził Miller czy ktoś z tego środowiska, nie miałem wrażenia, że to są rządy, które świadomie wyrządzają krzywdę Polsce. Teraz jest inaczej.

Mamy bardzo skomplikowane relacje z sąsiadami, na przykład tymi zajmującymi dzisiaj bliskie Panu ze względów osobistych Kresy wschodnie Rzeczypospolitej. Dawne arcy-polskie miasta, takie jak Lwów, zostały utracone i wzrastają w tej chwili w resentymentcie bardzo wrogim wobec Polski.

Tak, to jest trudna sprawa. Wielu wydawało się, że obecna wojna, wywołana przez Rosję zmieni nastawienie Ukraińców; że ich część zamieszkująca zachodnią część swojego kraju odejdzie trochę od antypolskich resentymentów, mających bardzo długą historię. Nawet jeden z ważnych publicystów napisał, że ta wojna sprawi, iż Bandera czy Szuchewycz w gronie narodowych bohaterów zostaną zastąpieni przez inne osoby, bo kraj ma teraz swoją nową walkę o niepodległość.

To się okazało być nieprawdą. Antypolskie resentymenty ciągle tam są. Sam nigdy nie miałem jakiegoś szczególnego serca do Ukrainy

i Ukraińców, być może z tych powodów, o których napisałem w książce „Rekapitulacja”. To jakby jedna rzecz.

Druga rzecz to są nasze interesy. Naszym zagrożeniem jest Rosja i w tym punkcie trzeba prowadzić politykę kilkoma nurtami. Nie można przy tym ustąpić w sprawie Wołynia ani fałszować historii dla bieżących potrzeb politycznych. Trzeba się też starać się o ekshumacje, odnawianie, konserwację polskich zabytków, kościołów na Kre-sach.

Myślę, że kontakty z Ukrainą będą ciągle niełatwe, ale jednak trzeba jakoś włączyć się w ten konflikt z Rosją. Orban może stać z boku, bo to jego bezpośrednio nie dotyczy i on ma swoje problemy z Ukrainą – mam tu na myśli sprawę mniejszości węgierskiej. Natomiast trzeba to rozgrywać w taki sposób, by nie zostać wykiwanymi. Po części już trochę nas ograli Niemcy jako państwo zamożne, duże, bardzo ekspansywne. Zapewne Ukraińcy wolą grać w drużynę z Niemcami niż z Polakami.

To są wszystko rzeczy bardzo trudne. Na szczęście nie muszę tutaj podejmować wiążących dla państwa decyzji ani pisać jakichkolwiek programów sugerujących strategię działania. Mogę powiedzieć tyle, że te kwestie są trudne i będzie to wszystko jeszcze długo trwało.

Natomiast kiedyś wydawało się, że gdyby Ukraina przystąpiła do Unii Europejskiej, poprzez wysoką liczebność swojej ludności i duże grono przedstawicieli w Brukseli mogłaby w jakimś stopniu korzystnie dla nas zmienić równowagę sił. Na podstawie tego, co się działo później i co obserwuję dzisiaj, sądzę, że to jednak nie nastąpi. Ugrupowania ukraińskie właściwie już uczestniczą w życiu europejskich partii głównego nurtu. Nie jest, niestety, tak, że w momencie konfrontacji staną po stronie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Raczej opowiedzą się w europarlamencie za opcją Europejskiej Partii Ludowej czy socjalistów. Te nadzieje, o których powiedziałem, okazały się więc być mrzonką.

Strategia śp. Lecha Kaczyńskiego pozostaje jednak w jakiś sposób aktualna do realizowania. Można ją modyfikować, przy czym ciągle musimy się razem trzymać przeciw „wielkiemu niedźwiedziowi”. Przecież nie możemy polegać jedynie na naszych zachodnich sąsiadach. Oni prowadzą swoją grę i teraz – jak słyszymy i czytamy – ta gra ma być coraz bardziej globalna, jak zapowiadał kanclerz Niemiec. Jeżeli zatem będzie bardziej globalna, to okaże się równocześnie mniej nastawiona na interesy naszego regionu.

Wschodnia Europa jest dzisiaj pełna podziałów, resentymentów historycznych i złych emocji. To główny cel, który powinien być osiągnięty – żeby ta część naszego kontynentu w ogóle przestała być klientem czy wasalem, jak do tej pory, a zaczęła odgrywać rolę równorzędnego partnera. Pan prezydent pojechał, żeby ożywiać Grupę Wyszehradzką, która nie istnieje, bo po części uśpił ją Donald Tusk.

Jest też problem z Orbánem, są inne sprawy, ale te wszystkie inicjatywy, które nadają większą podmiotowość naszej części Europy, powinny być wspierane. W przeciwnym razie zostaniemy rozegrani i zdominowani. Nawet Polska, która jest podzielona przez pół, nie da sobie z tym rady, choć jest krajem w regionie największym i dysponującym największymi możliwościami. Mówię tu o kwestii suwerenności, czyli w tej chwili o problemie numer jeden. Kiedyś wydawało się, że stanowi ona dla wszystkich wartość oczywistą, ale widać, że dla wielu nie jest to już tak klarowne.

Jaki jest Pana przepis na Polskę?

Uważam, iż Polska powinna zachować swoją ciągłość historyczną czy tożsamościową, związaną z katolicyzmem, ale nie tylko. Najgorsza rzecz, którą możemy zrobić, to poddać się tej rewolucji, która teraz toczy się w świecie zachodnim, a która zmienia praktycznie wszystko, co uznawane było za naturalne i korzystne. Według celów owej rewolucji, mamy stać się ludźmi „żadnymi i znikąd”, „ludźmi wydrążonymi”, jak mawiał Elliot – *hollow men*.

Dlatego uważam, że powinniśmy trzymać się kursu ciągłości. Tutaj takie możliwości są, co sprawia, iż mieszkańcy wielu krajów europejskich patrzą na nas z nadzieją, że zachowaliśmy ciągle to, czego oni już nie mają. Powinniśmy zdawać sobie z tego sprawę.

W jednej ze swoich książek pisałem o optymalnym ustroju, to jest ustroju mieszanym – że jednak coś takiego powinno w Polsce istnieć. To nie jest żadna nowa idea, lecz stare koncepcje funkcjonujące jeszcze do niedawna w wielu krajach europejskich. Jeżeli będziemy – nie ja oczywiście, ale my Polacy czy ludzie, którzy podejmą się tego w naszym imieniu – pisać nową Konstytucję, to raczej powinni iść w kierunku zapewnienia tego poczucia ciągłości, również pewnej ciągłości instytucjonalnej i świadomościowej.

To są moje pomysły na Polskę. Po pierwsze – suwerenność, po drugie – ciągłość, po trzecie – taka Konstytucja, która te rzeczy nam zapewni od strony formalnej. Oczywiście one wszystkie mogą ulec kompletnej ruinie, jeżeli Polacy tego nie będą chcieli, a będą działali wbrew temu.

Ale to jest to, co polityk może zrobić i tego trzeba oczekiwać od polityków oraz od instytucji tworzących państwo.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Roman Motuła

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



JAK ZROZUMIEĆ KRÓLOWANIE NASZEGO PANA?

Chrystus jest królem całego wszechświata, ale Jego panowanie dotyczy również życia publicznego. Rządzący w państwach mają obowiązek respektować prawa Boże – mówi wybitny znawca idei monarchicznej i myśli kontrrewolucyjnej, profesor Jacek Bartyzel, wykładowca Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Skąd wzięło się w Kościele święto Chrystusa Króla?

Święto Chrystusa Króla w Kościele zostało ustanowione w encyklice papieża Piusa XI *Quas primas* datowanej na 11 grudnia 1925 roku. Obchodziliśmy niedawno dokładnie setną rocznicę tego faktu. Papież wyznaczył święto na ostatnią niedzielę października. Chciał, żeby poprzedzało ono uroczystość Wszystkich Świętych. To czas, w którym w liturgii Kościoła jednoznacznie wchodzimy w perspektywę eschatologiczną.

Dlaczego jednak mamy czcić Chrystusa właśnie jako Króla?

Ponieważ Chrystus jest królem – bez względu na to, czy ktoś to uznaje, czy też nie. Jest Królem stworzenia i Królem wszechświata. Jego królowanie obejmuje również świat ludzki i świat społeczny. Tak zostało to określone w Piśmie Świętym, a później także w tradycji apostołskiej i nauczaniu Kościoła. Stary Testament zapowiada, że Mesjasz będzie Królem i Panem. Mówią o tym Psalmy, mówi Księga Daniela. Najważniejsze są jednak wyjaśnienia zawarte w Ewangeliach Mateusza, Łukasza i Jana. Wiemy, że królestwo Chrystusa osiągnie pełnię już po Jego ponownym przyjściu, czyli po paruzji. Chrystus zostanie wówczas rozpoznany jako Król królów i Pan panów. Królewską tytulaturę widzimy też w tekstach liturgicznych z najdawniejszego okresu

chrześcijaństwa. Przejęto ją z tytulatury, jaką posługiwali się rzymscy imperatorzy. Chrystus jest zatem *Rex et Imperator*, Królem i Cesarzem.

Czy to oznacza, że chrześcijaństwo jest ściśle powiązane z monarchicznym sprawowaniem władzy?

Ugruntowanie królowania Chrystusa w całej Tradycji Kościoła, Piśmie Świętym i nauczaniu, rzeczywiście oznacza powiązanie z monarchicznym pojmowaniem sprawowania władzy. Wcale się jednak do tego nie ogranicza. Również w tych społeczeństwach czy państwach, gdzie forma panowania nie jest monarchiczna, Chrystus jest Królem – i jako taki powinien być uznawany. Mówi się, że katolicy o skłonnościach liberalnych i demokratycznych nie uznają władzy królewskiej. Trzeba jednak zauważyć, że to odnosi się do formy władzy politycznej. Nie można zakwestionować tego, żeby w ustroju demokratycznym Chrystus był uznawany jako Władca, Pan i Król.

A może z uwagi na nasze czasy powinien być raczej czczony jako – pre-praszam – prezydent?

Działoby się źle, gdyby ktoś próbował ekstrapolować republikańską czy demokratyczną nomenklaturę na wymiar panowania Chrystusa. Takie rzeczy już się zdarzały; robił to na przykład Marc Sangnier, francuski działacz katolicki, założyciel ruchu *Le Sillon* (po polsku znaczy to: „bruzda”). Posuwał się nawet do stwierdzenia, że Bóg jest demokratą i jako taki zaprasza człowieka do współuczestnictwa w Trójcy Świętej w roli niejako czwartej osoby, tak, że Trójca stawiałaby się *de facto* Czwórcą. Były to oczywiście całkowite aberracje, potępione przez świętego papieża Piusa X w encyklice *Notre charge apostolique* z 1910 roku, skierowanej do katolików francuskich. Można byłoby to podsumować zgodnie z tym, co pisał papież Leon XIII w encyklice *Libertas*: katolikom liberalnym należy szczerze życzyć, by odrzucili postawę demoliberalną, bo jest sprzeczna z katolicyzmem.

Jaki królowanie Chrystusa ma dokładnie charakter? Czy chodzi jedynie o fakt uznania Chrystusa za Króla w wymiarze eschatologicznym, czy też odnosi się to również bezpośrednio do organizacji życia społecznego?

W encyklice *Quas primas* Pius XI mocno podkreślił, że owo królowanie nie odnosi się wyłącznie do sfery eschatologicznej. Oczywiście, sens eschatologiczny jest najważniejszy. Gdyby jednak sprowadzić rzecz do tego, że Chrystus zostanie przez ludzi rozpoznany jako Król, ale będzie panować dopiero w Królestwie Bożym, które ziści się po skończeniu doczesności, oznaczałoby to poważny błąd. Ci, którzy kwestionują społeczne panowanie Chrystusa, wysuwają na ogół dwa argumenty. Po pierwsze, twierdzą, Chrystus powinien panować w sercach poszczególnych osób, ewentualnie również w rodzinie, czyli tej najmniejszej i przed-politycznej zbiorowości ludzkiej. Jest prawdą, że ten wymiar jest konieczny: najpierw trzeba zinterioryzować panowanie Chrystusa w swojej woli i sercu. Trzeba jednak pamiętać, że ludzkie życie na ziemi nie ma wyłącznie wymiaru indywidualnego czy choćby rodzinnego. Człowiek nie jest samotną wyspą, odosobnioną jednostką. Kogoś, kto żyje w izolacji, Grecy nazywali *idiotes*, czyli idiotą. Człowiek żyje w społeczeństwie, dlatego odpowiadając na przytoczony zarzut można zapytać, dlaczego wspólnotowa sfera życia człowieka – życie publiczne i państwowe – miałoby być wyłączone spod panowania Chrystusa? Na mocy jakiej zasady miałoby to się właściwie stać?

Drugi zarzut, jaki stawia się wobec społecznego panowania Chrystusa, dotyczy rzekomego niebezpieczeństwa polityzacji królowania Jezusa. Albo zachodzi tu pewne nieporozumienie, albo też przyczyną zarzutu jest zła wola. Ortodoksyjna nauka Kościoła nigdy nie traktowała Chrystusa jako przywódcy politycznego. On sam to wykluczył, mówiąc Piłatowi, że Jego królestwo nie jest z tego świata. Trzeba tu jednak dodać: fakt, że nie jest z tego świata nie oznacza, że w przyszłości nie może się takim stać. W każdym razie niebezpieczeństwo polityzacji, na co zwracał uwagę Pius XI w *Quas primas*, zachodziło jedynie w wyobrażeniach mesjańskich ogółu Żydów. Podkreślam słowo „ogół”, bo przecież nie było tak u wszystkich – choćby prorok Izajasz nie miał

takiego nastawienia. Jednak większość Żydów żyjących przed Chrystusem, a także w czasach Jego ziemskiej obecności i później, patrzyła na Mesjasza politycznie, upatrując w Nim gwaranta potęgi Izraela – nie tylko jego niepodległości, ale również panowania nad innymi ludami, które miałyby stać się podnóżkiem Izraela. Takie rozumienie królowania Chrystusa jest wykluczone. W historii Kościoła ujmowanego socjologicznie to niebezpieczeństwo niekiedy aktualizowało się, ale tylko w ruchach heterodoksyjnych, w jakichś utopijnych ideologiach szerzonych na obrzeżach chrześcijaństwa. Takie postawy były przez Urząd Nauczycielski Kościoła zawsze odrzucane.

***Co oznacza w praktyce, że Chrystus ma być Królem naszych państw?
Czy wszelkie prawodawstwo powinno mieć sankcję Kościoła?***

Papież Pius XI bardzo dokładnie wyjaśnił, w jaki sposób należy rozpoznawać i praktykować panowanie Chrystusa w wymiarze społecznym. W pierwszej mierze dotyczy to uznania religii katolickiej za fundament funkcjonowania całej wspólnoty politycznej. To na przywódcach państw – monarchach czy innych rządzących – spoczywa obowiązek wypłacania się kultem publicznym Bogu jako Stwórcy. Powinno się to wyrażać w specjalnych, uroczystych aktach podkreślających panowanie Chrystusa, przeprowadzanych oczywiście razem z Kościołem. Królowanie Jezusa dotyczy także działalności ustawodawczej. Prawa państwowe muszą pozostawać w zgodzie z prawem Bożym i prawem naturalnym; ono też jest pochodzenia boskiego.

Czyli nie Kościół ma dyktować ustawy?

Nie. Absolutnie nie powinno się traktować tego panowania jako stanowienia prawa państwowego bezpośrednio przez Kościół. To byłby jakiś rodzaj teokracji, zupełnie niezgodnej z zasadą współistnienia i współpracy obu społeczności doskonałych, czyli Kościoła i państwa. Kościół jest społecznością doskonałą w wyższym sensie, bo jego istnienie i nauczanie odnosi się do rzeczy wiecznych; ale w swoim własnym zakresie również państwo jest społecznością doskonałą. To *societas perfecta*, jak mówi Akwinata – tyle, że w wymiarze doczesnym.

Zasadą funkcjonowania obu społeczności jest zatem posiadanie własnego prawa, które to funkcjonowanie reguluje. W przypadku Kościoła to prawo kanoniczne, a w przypadku państwa – prawo państwowe. To drugie nie może zostać wyprowadzone z pierwszego, bo nie miałyby przedmiotu, w którym mogłoby być zastosowane. Dlatego prawo państwowe musi respektować prawo Boże i prawo naturalne, ale nie musi odnosić się do prawa kanonicznego.

Kościół nie został wyposażony przez Boga w autorytet do działalności publicznej, co przed Piusem XI wyjaśniał na przykład jeden z największych eklezjologów czasów nowożytnych, św. Robert Bellarmin, kardynał. Kościół został wyposażony w autorytet do interwencji w sytuacjach, w których prawo państwowe sprzeciwiałoby się prawu Bożemu czy naturalnemu, w ten sposób utrudniając ludziom osiągnięcie zbawienia. Państwo nie ma prowadzić ludzi do zbawienia, bo to robi Kościół, ale powinno w tym pomagać – powinno stwarzać Kościołowi warunki do pracy duszpasterskiej. Kościołowi, w tym papieżowi, nie przysługuje władza bezpośrednia (*potestas directa*) nakazywania czegoś rządzącym w zakresie polityki państwowej; przysługuje mu jedynie władza pośrednia (*potestas indirecta*), która polega na interwencjach w przypadku naruszenia prawa Bożego.

Czy można wskazać jakieś szczególne obszary w dzisiejszej Polsce, społeczne i państwowe, gdzie królowanie Chrystusa jest ewidentnie nieuznawane?

Na to pytanie można byłoby odpowiedzieć bardzo krótko: w gruncie rzeczy królowanie Chrystusa nigdzie nie jest respektowane, bo współczesne państwa, w tym Polska, są ufundowane na zasadzie indyferencji religijnej. Oznacza to, że źródła prawa upatruje się w czynnikach doczesnych, jakbyśmy powiedzieli filozoficznie: immanentnych. Konstytucja, która aktualnie obowiązuje w państwie polskim, wspomina w preambule o fundamentalnych zasadach kreujących porządek polityczny. Mówi jednak, że podczas gdy jedni ludzie wyprowadzają te zasady z wiary religijnej, drudzy wyprowadzają je z innych źródeł. Nie konkretyzuje się z jakich, ale można się tego domyslać. Rzecz jest

zatem sprowadzona do wyłącznie subiektywnych przekonań osób. To atomistyczna koncepcja społeczeństwa politycznego – tworzy je jakoby zbiór jednostek, które mają rozmaite mniemania. Nie ma w konstytucji organicystycznego rozumienia państwa jako wspólnoty, która jako całość jest większa niż pojedyncze jednostki i ich przekonania. W związku z tym, nie posiada już fundamentu religijnego czy nawet religijno-moralnego. Bo z wiary wypływają przecież zasady moralne. Obowiązuje, powiedziałbym, porządek czystej immanencji. Nie ma żadnego odniesienia do transcendencji, do nadprzyrodzoności. W Polsce odbywają się, oczywiście, pewne akty symboliczne, które państwo organizuje razem z Kościołem – to różne święta czy ważne uroczystości, jak choćby pogrzeb tragicznie zmarłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nie ma to jednak żadnego przełożenia na sferę ustawodawczą i funkcjonowanie państwa.

A jakie znaczenie ma królowanie Chrystusa dla zakresu władzy papieskiej?

Odpowiedź można byłoby lapidarnie ująć w formule, o której wspominałem wcześniej: władza papieża ma względem państwa charakter pośredni, a nie bezpośredni. Papież jako wikariusz Chrystusa i Jego zastępca na ziemi, ma szczególne prawo do napominania czy sugerowania podjęcia jakichś aktów. Zwłaszcza w praktyce wieków średnich widzieliśmy, jak papieże korzystali z tego uprawnienia, niekiedy nawet wyklinając władców, którzy dopuszczali się niegodnych rzeczy, choć trzeba też przyznać, że niekiedy ta władza była nadużywana w sporach o charakterze *stricto* politycznym.

Papieże mają ponadto inicjatywę w podejmowaniu wspólnych działań w obronie wiary – w średniowieczu, które jest dla nas w jakimś sensie czasem wzorcowym, znalazło to swój wyraz w idei krucjatowej. Pierwszy raz podjął ją papież Urban II w 1095 roku. Później papieże wielokrotnie apelowali o wspólną obronę chrześcijan przed atakami islamu, organizując nawet pewne koalicje monarchów chrześcijańskich. W 1571 roku doprowadziło to do ocalenia Zachodu przed inwazją turecką w bitwie pod Lepanto, a w 1683 roku w bitwie pod

Wiedniem, gdzie na czele ligi zorganizowanej przez papieża stanął polski władca Jan III Sobieski.

Nieco inna była koncepcja, którą na początku XIX wieku, zatem w sytuacji niesłychanie kryzysowej, sformułował tradycjonalistyczny myśliciel francuskojęzyczny, hrabia Józef de Maistre, poddany króla Sardynii. W 1819 roku ogłosił traktat teologiczno-polityczny pod tytułem *Du pape*, czyli *O papieżu*. Mocno podkreślił w nim zasadę nieomyłności papieskiej, czyniąc to wszelako na pięćdziesiąt lat przed I Soborem Watykańskim. Swoiście autorska definicja tej nieomyłności w wydaniu hrabiego de Maistre sprowadzała się do stwierdzenia, że papież wszystkich sądzi, samemu nie będąc sądzonym przez nikogo.

Autor chciał rozwiązać pewien węzeł gordyjski pomiędzy dwiema zasadami. Z jednej strony chciał potępić wszelki bunt przeciwko prawowitej władzy; bunt albo rokosz, jak to ładnie ujął polski tłumacz. Jest to przecież zgodne z katolicką Tradycją, poczynając od listu do Rzymian św. Pawła Apostoła. Trzeba przy tym podkreślić kwestię prawowitości, bo przeciwko uzurpatorowi wolno się zbuntować właśnie w imię prawowitości. Z drugiej strony zachodzi niekiedy to, co św. Tomasz z Akwinu określił jako *excessus tyrannidis*, czyli skrajny przejaw tyranii. Bywa, że mamy prawowitego władcę, który staje się jednak okrutnikiem – przestaje być dla poddanych ojcem, przekształcając się w kata. Można przywołać znany przykład Iwana Groźnego – to wprawdzie świat prawosławny, ale przecież nadal chrześcijański. Rządy Iwana wytworzyły sytuację nie do zniesienia, choć miał przecież mandat do władzy i co do zasady obowiązywał zakaz rokoszu.

Hrabia de Maistre zaproponował rozwiązanie w postaci wyjątkowego odwołania się do papieża. W sytuacji spowodowanej przez *excessus tyrannidis* to papież, jako najwyższy autorytet duchowy i moralny, mógłby zwolnić poddanych z posłuszeństwa wypaczonej władzy. Autor traktatu *Du pape* określił to mianem władzy zwalniającej. Twierdził, że zaproponowane rozwiązanie pomaga wyjść z sytuacji nieznośnej, którą wywołał *excessus tyrannidis*, a jednocześnie nie podważa samej zasady posłuszeństwa wobec władzy. Jak pisał, tak samo jest

w przypadku sądu, który odbiera prawa ojcowskie okrutnemu ojcu. Nie podważa się zasady władzy ojcowskiej, ale czyni od niej wyjątek. Pamiętajmy jednak, że mówimy tutaj o autorskiej koncepcji tego myśliciela, do której papieże nigdy się nie odnieśli.

A jak zrealizować społeczne panowanie Chrystusa w sytuacji, w której większość społeczeństwa nie należy wcale do Kościoła katolickiego?

Problem realizacji tego panowania jest zróżnicowany, zależnie od konkretnego kształtu społeczeństwa. Wciąż istnieją przecież takie, które nazwalibyśmy tradycyjnymi i w większości katolickimi. W innych panują religie niechrześcijańskie, na przykład islam albo buddyzm. W jeszcze innych społeczeństwach, zwłaszcza w świecie zachodnim, na skutek posuniętej laicyzacji większość jest bezreligijna. Rzecz została rozstrzygnięta przed naukę Kościoła jeszcze przed II Soborem Watykańskim. Papież, jako głowa Kościoła, sprawuje władzę jurydyczną nad wszystkimi katolikami. Władzę duchową sprawuje z kolei nad wszystkimi ludźmi, bez względu na to, jakiego są wyznania. Chodzi zatem o rozgraniczenie relacji Kościoła do państwa zależnie od tego, czy społeczeństwo jest w większości katolickie, czy nie. Pełen wymiar uznania królowania Chrystusa odnosi się do państw o większości katolickiej. Do państw innego rodzaju to panowanie nie może całkowicie odnieść się choćby ze względów praktycznych. Pozostaje wymóg respektowania przez takich władców praw katolików do wyznawania wiary katolickiej i niestawiania żadnych przeszkód kultowi katolickiemu, w tym publicznemu. Wszystkie państwa muszą też respektować prawo naturalne, które jest niejako wszczepione w umysł i duszę każdego człowieka i dzięki temu może być przez każdego rozpoznane. Rządy władcy niekatolickiego nie będą nigdy posiadać prawowitości teologicznej, ale mogą posiadać prawowitość naturalną – o tyle, o ile władca respektuje wolność katolików i szanuje prawo naturalne.

Przejdźmy do kwestii tysiącletniego panowania Chrystusa, o którym wspomina Księga Apokalipsy. Jak należy je rozumieć?

Tysiącletnie królestwo, a także panowanie Chrystusa w tymże królestwie, zostało nam objawione w ostatniej księdze Nowego Testamentu, czyli właśnie w Apokalipsie św. Jana. To jeden z najtrudniejszych tekstów Pisma Świętego. Pełne jego objaśnienie zyskamy najpewniej dopiero wówczas, gdy te czasy nadejdą – a raczej zyskają je ci, którzy będą wówczas żyć... Tysiącletnie królestwo ma nastąpić bezpośrednio po Paruzji, czyli powtórным przyjsciu Chrystusa. Najważniejszą kwestią, która ma charakteryzować ten czas, jest uwięzienie szatana, czy też, jak mówi wielokrotnie sam tekst Apokalipsy, „bestii”, i to na cały okres tysiąca lat. Diabeł nie będzie mógł wtedy wpływać na postępowanie ludzi. Sprawiedliwi, czyli ci, którzy nie przyjęli wcześniej znaku bestii, będą współrządzić z Chrystusem jako kapłani i święci. Jak mówi tekst Apokalipsy, staną się sędziami. Nie jest to jednak jeszcze wypełnienie spraw ostatecznych, to jakby przedśmionek eschatonu, ale nie sam eschaton. W księdze św. Jana czytamy również, że po okresie tysiąca lat szatan zostanie ponownie uwolniony. Dopiero wówczas rozegra się ostateczny bój, w którym Chrystus pokona szatana, po czym nastąpi Sąd Ostateczny i koniec wszystkich rzeczy. Kluczowa jest w tym wszystkim interpretacja tysiącletniego królestwa. Nieraz pojawiały się interpretacje mówiące, że będzie to *sui generis* królestwo ziemskie, polityczne, w którym Chrystus obejmie władzę w dosłownym tego słowa znaczeniu. Taką wykładnię należy jednak odrzucić jako heterodoksyjną. Królestwo ziemskie może być wszakże tylko zaczynem Królestwa Bożego, ale nie jest nim na sposób ostateczny. Poza tym Apokalipsa wyraźnie stwierdza, że władzę w tysiącletnim królestwie będą sprawować, wraz z Chrystusem, kapłani i święci; zatem to nie Syn Boży we własnej osobie obejmie władzę w sensie *stricte* politycznym. Stanie się raczej, że tak powiem, patronem wybranych, bądź też ich natchnieniem, ale nie władcą doczesnym.

Pontyfikat Leona XIV rozpoczął się w Roku Jubileuszowym, a zarazem w roku setnej rocznicy Quas primas. Ponadto papież przyjął imię, które ze względu na encykliki Leona XIII kojarzone jest zwłaszcza z nauczaniem społecznym Kościoła. Jakie zadania stoją przed nowym papieżem w kontekście prawdy o królowaniu Chrystusa?

Można stwierdzić, że każdy papież ma obowiązek kontynuowania i rozwijania tego, co ogłosili jego poprzednicy – zwłaszcza, jeżeli uczynili to w sposób uroczysty, jako autentyczne nauczanie potwierdzone powagą Kościoła. W zakresie społecznego królestwa Chrystusa powinny papieżom przyświecać dokonania dwóch wielkich, a wcale nie tak odległych poprzedników, którzy niejako zebrali nauczanie Kościoła wszystkich czasów. To Leon XIII i Pius XI. W przypadku Leona XIII mam na myśli jego encyklikę *Immortale Dei*; wcale nie *Rerum novarum*. Ta dotyczy szczegółowej sprawy społecznej – kwestii robotniczej. Natomiast *Immortale Dei* nosi podtytuł „o chrześcijańskiej konstytucji państw”. Nie chodzi tu przy tym o konstytucję jako dokument czy ustawę, ale o konstytucję jako ducha przenikającego urząd państwa; jako zasadę ustrojową. Leon XIII mówi wyraźnie, że tak rozumiana konstytucja musi być chrześcijańska. Ma wyraźnie odnosić się do prawa Bożego. Pius XI pozostawił nam z kolei encyklikę, o której już tu wiele razy wspominaliśmy, czyli *Quas primas*, poświęconą uznaniu Chrystusa za Króla zarówno przez rządzących, jak i rządzonych w państwie. To są dwa najważniejsze dokumenty dla omawianej kwestii; stanowią drogowskaz, za którym powinni podążać papieże, w tym oczywiście papież aktualny.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Paweł Chmielewski

↶
**WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI**



DO CZEGO POLAKOM KONSTYTUCJA?

W ustawie zasadniczej prymat religii katolickiej powinien być wyrażony. Odwołanie się do Boga w konstytucji nie narzuca nikomu ani życia religijnego, ani osobowego związku z Panem Bogiem. Pokazuje tylko sens istnienia i wymiar metafizyczny, który stoi za ustawą zasadniczą – mówi prof. Paweł Skrzydlewski, filozof, rektor Akademii Zamojskiej.

Czy konstytucja jest państwu w ogóle potrzebna?

Niekoniecznie. Państwowości, które nie posiadają konstytucji, potrafią bardzo dobrze funkcjonować. To oznacza, że konstytucja rozumiana jako formalnie przyjęta ustawa zasadnicza nie zawsze wydaje się być dokumentem bezwzględnie koniecznym. Takie spisane konstytucje pojawiły się w XVIII wieku, czemu towarzyszyło wiele przemian społecznych, kulturowych i filozoficznych. Mimo wszystko powiedziałbym, że istnienie konstytucji w formie ustawy zasadniczej jest rzeczą ważną zarówno dla państwa jak i dla ładu w społeczeństwie.

Dlaczego?

Choć w przeszłości bywało inaczej, dziś trudno wyobrazić sobie sprawne państwo bez ustawy zasadniczej. Konstytucja, jeżeli dobrze napisana, może przynieść wspólnocie naprawdę znaczny pożytek. Pierwszą funkcją konstytucji jest stanowcza ochrona takiego ładu społecznego, który umożliwia człowiekowi właściwy dla niego rozwój i doskonalenie. Można też powiedzieć, że ustawa zasadnicza powinna chronić człowieka przed tym, co ten ład niszczy. Feliks Konieczny bardzo wyraźnie podkreślał, że obszar działania państwa opisany bezpośrednio w konstytucji nie powinien być zbyt rozbudowany.

Czy to oznacza, że konstytucja nie powinna być zbyt szczegółowa?

Tak, bo w innym przypadku ustawa zasadnicza mogłaby stać się fundamentem biurokratyzmu, centralizmu, onnipotencji państwa i zawłaszczenia ludzkiej samorządności i wolności. Sądzę, że właściwymi celami konstytucji są wewnętrzne i zewnętrzne zabezpieczenie państwa i narodu oraz dopomożenie w realizacji dobra wspólnego. Można powiedzieć, że konstytucja musi być prawem koniecznym, czyli dotyczyć tego, co konieczne. W życiu społeczeństwa i każdego człowieka jest wiele spraw, których nie należy wcale regulować prawem; jurydyzacja tych obszarów prowadzi do wielu nieszczęść. W konstytucji należy zapisać zarys ustroju państwa, które powinno być w pewnym sensie jak najmniejsze. Nie potrzeba 30 czy 50 ministerstw – konieczne są tylko resorty naprawdę niezbędne do zachowania ładu. Są to na przykład ministerstwa skarbu, polityki zagranicznej czy spraw wewnętrznych. Trzeba pamiętać, że konstytucja nie może kłaść podwalin pod państwo hegemoniczne. Nasza tradycja cywilizacyjna to raczej państwowość zdecentralizowana, która pozwala na bogactwo życia społecznego, bogactwo samorządów i tak dalej.

Mówi Pan o dobrze napisanej konstytucji. O to jednak trudno w dobie zacieklej i często intelektualnie głęboko nieuczciwych walk stronnictw partyjnych.

To prawda, ale w tworzeniu konstytucji partie polityczne nie powinny odgrywać prymarnej roli; skomponowanie ustawy zasadniczej należałoby przekazać raczej znawcom życia społecznego i tym, którzy dobrze rozumieją samego człowieka. Chodzi o to, by twórcy konstytucji mieli odpowiednie osadzenie cywilizacyjne i kulturowe, adekwatne dla charakteru naszej Ojczyzny. Nasza państwowość i życie narodowe są dziełami wychowawczej działalności Kościoła katolickiego. W konstytucji trzeba o tym pamiętać; to ogromnie ważne dla jej goździwości i funkcjonalności.

O zgodę w tej sprawie jednak również niełatwo.

Widzimy, że podziały cywilizacyjne wśród obywateli skutkują brakiem porozumienia co do kształtu i roli konstytucji. Nie da się

zaprzeczyć, że wytworzenie przez zbiorowość polityczną nowej konstytucji jest rzeczą bardzo trudną. Ustawa zasadnicza musi przecież unikać błędów, które wdzierają się współcześnie w całą dziedzinę prawa. Prawo jako takie można byłoby określić jako rozumne rozporządzenie nakierowane na dobro wspólne. To rozporządzenie ma swoje źródło w legalnej władzy i musi zostać odpowiednio promulgowane. W ten sposób prawo określa między innymi św. Tomasz z Akwinu, reprezentując właściwie całego ducha i tradycję świata Zachodu. Konstytucja, jako akt prawny, musi zatem spełniać konieczne, naturalne i zdroworozsądkowe warunki, jakie stawia się prawo w ogóle.

Jakie to warunki?

Ustawa zasadnicza musi prowadzić do godziwego dobra. W języku łacińskim powiedzielibyśmy o takim prawie „lex honesta”.

Tylko jak rozpoznać, co jest „lex honesta” w sytuacji, w której tylko część narodu jest wierząca?

Stanowienie prawa zasadniczego nie powinno należeć do ludu. Konstytucja musi powstać w wyniku dialogu, ale prowadzonego przez ludzi prawych. Takich znajdziemy zarówno w polityce, jak i po części na uniwersytetach oraz w Kościele. Jest pewna grupa ludzi, która powodowana miłością ojczyzny i znajomością dobrych zasad może wypracować wspólnie model konstytucyjny, adekwatny do polskiej tożsamości cywilizacyjnej. Wracając jednak do wspomnianych warunków, konstytucja musi też być sprawiedliwa, czyli oddawać to, co się rzeczywiście każdemu słuszenie należy. Chodzi tutaj o to, co słuszenie należy się ze strony obywatela państwu i narodowi, ale i o to, co należy się człowiekowi ze strony państwa. Konstytucja musi być też w pewnym sensie realistyczna, to znaczy rzeczywiście i faktycznie wykonywalna dla narodu w określonych warunkach historycznych. Ten dokument nie może być przejawem utopizmu, który – na przykład – postuluje nieosiągalną równość wszystkich we wszystkim, na przykład chce zagwarantować każdemu całkowitą równość

standardów kształcenia, leczenia i tak dalej. To mrzonki, wskazujące na życzeniowy charakter konstytucji.

Równość to jednak dziś jedna z najważniejszych wartości...

Współczesność popada w ideologię egalitaryzmu. Chrześcijaństwo zna równość ludzi – to równość przyrodzona, którą posiadamy z racji partycypacji w nas obrazu Boga i stworzenia duszy ludzkiej przez Niego. Przyrodzona godność jest niezbywalna, pełna i równa wszystkim ludziom. Jednak w życiu społecznym z natury jest tak, że człowiek lepszy jest traktowany lepiej, a nie tak samo jak łądak, leń czy ktoś skłonny do pasożytnictwa. Konstytucja musi być uleczona z ideologicznego egalitaryzmu.

Mówił Pan, że ustawa zasadnicza musi odzwierciedlać tożsamość danego narodu. To oznacza chyba, że wszelkie kopiaństwo z tekstów innych narodów jest niezwykle ryzykowne, by nie powiedzieć: po prostu bardzo szkodliwe?

Ależ oczywiście – i to na głębokim poziomie. Choć można i nawet należy zastanowić się nad rozwiązaniami, które obowiązują w innych krajach, konstytucja musi być bezwzględnie zgodna z krajowym czy narodowym obyczajem. Prawo działa przecież tylko wówczas, kiedy ma swoje uzasadnienie w obyczajowości. Konstytucja zawsze musi być dostosowania do miejsca i czasu. Szanując obyczaje, konstytucja nie będzie też nigdy doktrynerska, ideologiczna ani rewolucyjna – jej zapisy nie mogą prowadzić do przewrotu w żadnej sferze. Życie ludzkie nie znosi przecież rewolucji.

Mówił Pan wcześniej o błędach, które wkradają się do współczesnego prawa. Co to za błędy?

Do tych wypaczeń ideologicznych należą w pierwszej kolejności dwa błędy antropologiczne – indywidualizm i kolektywizm. Indywidualizm jest fałszywy, bo prowadzi do atomizacji życia ludzkiego oraz do głęboko zaburzonego rozumienia wolności. Ten błąd wywołuje

poważne społeczne antagonizmy, prowokując tworzenie się warstw społecznych – a w ramach tego systemu jedni zaczynają często zniewalać drugich, wykorzystując czynniki ekonomiczne. Antropologia indywidualistyczna prowadzi też do nadmiernego używania dóbr natury i zasobów, bo ma na uwadze tylko interes sprawnej jednostki, a nie całej wspólnoty.

A kolektywizm?

Konstytucja musi być personalistyczna, czyli afirmować człowieka w jego życiu osobowym. Powinna dostrzegać genezę człowieka zarówno w społeczeństwie, rodzinie jak i przede wszystkim w działaniu samego Boga. Kolektywizm tego nie widzi, odrzuca Boga. To prowadzi do bardzo poważnego braku: konstytucja kolektywistyczna uważa samą siebie za jedyny i najważniejszy akt prawny w całym porządku rzeczy. Tymczasem nasza zachodnia tradycja mówi, że źródłem wszelkich praw jest sam Absolut, stanowiący zasadę powstania wszystkich bytów i zarazem zasadę nimi kierującą. Prawo konstytucyjne nie może zatem godzić w Boga. Trzeba odrzucić myślenie w duchu naturalistycznym, a przyjąć perspektywę transcendentną. Również przyszłe pokolenia mają uprawnienie do wody, lasów, ziemi, dóbr natury – oczywiście rozumianych jako dary Pana Boga, ofiarowane wszystkim. Z używania tego daru zostaniemy rozliczeni. Cała konstytucja musi być podporządkowana dobru wspólnemu, dobru będącego celem polityki. Człowiek ze swojej natury dąży do rozwoju osobowego, co polega na pomnażaniu życia cnotliwego. Właściwy rozwój człowieka nikomu niczego nie odbiera, przeciwnie, wzmacnia dobro wszystkich. Przykładowo pracowity profesor dzięki swoim cnotom doskonali sam siebie, ale również studenci mogą korzystać z jego wiedzy i rzetelności. Analogicznie jest z całym życiem społecznym.

W Polsce mamy doświadczenie z konstytucją kolektywistyczną – w ramach PRL.

W PRL panował socjalizm, a socjalizm to coś więcej, niż tylko forma ustrojowa, która nie przewiduje własności prywatnej i wszystko

przerzuca na państwo. Istotą socjalizmu jest takie ułożenie życia społecznego, które miałoby w ostateczny sposób spełnić człowieka. Stąd istnieją socjalizmy narodowe, bolszewickie, faszystowskie, liberalne, nawet kapitalistyczne – każdy z nich chce stworzyć „raj na ziemi” jako rzeczywistość dla ludzi absolutną. Tego nie wolno robić. W konstytucji należy jasno stwierdzić zależność całej rzeczywistości – w tym wszelkiego prawa – od Pana Boga. Ludzka szczęśliwość nie spełni się nigdy w ziemskim raju, ale tylko w Bogu.

Czy odrzucenie socjalizmu i kolektywizmu oznacza, że konstytucja musi wspierać system kapitalistyczny?

Nie należy tego tak wąsko definiować. Za Feliksem Konecznym warto podkreślić, że ustawa zasadnicza, czy też w ogóle ustrój w danym państwie powinien zmierzać do bogacenia się w oparciu o własność prywatną. Wszelkie formy zubażania ludności prowadzą prędzej czy później do jakiejś formy niewolnictwa czy też po prostu do destrukcji życia społecznego. Państwo jest bogate bogactwem obywateli. Jeżeli ustrój ignoruje ten fakt, szukając źródła własnego bogactwa w jakichś czynnikach bezosobowych, sytuacja jest głęboko chora. W konstytucji nie może być żadnych elementów walki klas ani jakiegokolwiek hegemonii jednej warstwy społecznej. Najważniejszy dokument prawny państwa powinien raczej skłaniać do solidaryzmu i przyjaźni między ludźmi – do odpowiedzialności jako elementu budowy autentycznej jedności. Taka jedność jest efektem przyporządkowania wszystkiego do właściwego celu, czyli wspomnianego wcześniej osobowego rozwoju człowieka – to pozwala działać w kierunku dobra wspólnego.

W obecnej konstytucji Polski czytamy, że „dobrem wspólnym wszystkich obywateli” jest „Rzeczpospolita Polska”. Czy to dobrze ujęte?

Wydawałoby się, że nie można temu nic zarzucić – przecież wszystkim chodzi nam o Polskę, prawda? W takim sformułowaniu tkwi jednak pewien błąd. Polska nie jest celem samym w sobie – jest raczej środkiem do dobra wspólnego. Tak samo jest z prawem, uniwersytetami i wszelkim ładem w ogóle. Jeżeli umieścimy dobro wspólne poza

rozwojem konkretnej osoby ludzkiej, zawsze będą się pojawiały pokusy jakiegoś marginalizowania czy wykluczania ludzi, a nawet ich używania albo zniewalania.

A co z religią? Czy w konstytucji powinno zapisać się wyraźne odwołanie do Pana Boga?

Zdecydowanie tak. W ustawie zasadniczej prymat religii katolickiej powinien być wyraźny. Katolicyzm to religia, która dała nam cywilizację i wpłynęła na naród polski jak nic innego w jego historii. Co więcej, ta religia gwarantuje też wolność sumienia niekatolikom. Tworzenie konstytucji laickiej byłoby czymś z gruntu absurdalnym, bezbożnym – i bardzo niebezpiecznym. Stanowiłoby zbrodnię, na którą naród nie może się zgodzić.

Jak dokładnie należy zapisać w polskiej konstytucji odwołanie do Boga? Czy należy też odwołać się bezpośrednio do Kościoła katolickiego?

Kościół jest wspólnotą ludzi zmierzających do zbawienia. Został założony przez Pana Boga i do Pana Boga prowadzi. W przyszłej preambule trzeba na pewno odwołać się do Boga jako źródła wszelkiego bytu, zasad, dobra i praw – i jako do ostatecznego celu istnienia poszczególnych ludzi oraz całej rzeczywistości społecznej. W nauce Kościoła, zwłaszcza przed II Soborem Watykańskim, kładziono duży nacisk na takie formowanie ludzkich sumień, by było wiadomo, że żyjemy dla Pana Boga – aby Go pokochać, służyć Mu i żyć z Nim w szczęściu na wieki. Odwołanie się do Boga w konstytucji nie narzuca nikomu ani życia religijnego, ani osobowego związku z Panem Bogiem. Pokazuje tylko sens istnienia i wymiar metafizyczny, który stoi za ustawą zasadniczą.

Wspomniał Pan o Bogu jako celu całej społeczności. Czy to właśnie trzeba podkreślić – że nie chodzi tylko o całkowicie „prywatne” przeżywanie religii, ale o wskazanie Boga jako podstawy życia narodowego?

Cała istniejąca rzeczywistość wywodzi się od Boga, istnieje ostatecznie na chwałę Boga – w tym także narody i państwa. W konstytucji należy odnieść się do tej prawdy. To byłoby zabezpieczenie przed instrumentalizacją człowieka. Tam, gdzie nie ma odniesienia do Pana Boga, łatwo mogą pojawić się totalitaryzmy, które zawłaszczają ludzi, chcąc ich używać do działań niekiedy ładnie nazywanych, ale faktycznie zbrodniczych. Do takiej zmiany w ustawie zasadniczej ludzi trzeba jednak przygotować. Bez tego przygotowania tekst mógłby być dla nich nieczytelny czy po prostu kompletnie niezrozumiały. Możemy zwrócić się do dawniejszych polskich konstytucji, zwłaszcza do majowej, która odwołuje się do Trójjedynego Boga. To powinno być dla nas wzorem również dzisiaj.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Paweł Chmielewski

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



CZY POLSKA STANIE SIĘ WŁASNOŚCIĄ POLAKÓW?

W 2027 roku główny spór będzie toczył się o to, czy Polacy będą suwerenni do przeprowadzenia systemowych zmian w swoim kraju, czy też oddadzą tę wolność w ręce elit organizacji ponadnarodowych – mówi Marcin Palade, politolog, analityk preferencji społeczno-politycznych i geografii wyborczej, prowadzący kanał na YouTube „Marcin Palade. Statystycznie”.

Od pewnego czasu mówi się w Polsce o „konserwatywnym zwrocie”, stanowiącym reakcję na kryzys liberalnej demokracji i inspirowanym przez zmiany społeczne, zachodzące w Stanach Zjednoczonych oraz krajach tzw. starej Europy. Na falę tego „zwrotu” usiłują wskoczyć PiS, Konfederacja oraz Konfederacja Korony Polskiej. Abstrahując w tej chwili od sporów pomiędzy tymi partiami, chciałbym porozmawiać o tym, czy zapowiadana przez te ugrupowania „radikalna zmiana” jest w ogóle w Polsce możliwa. Donald Trump przejmując drugi raz władzę w Stanach Zjednoczonych wiedział doskonale, że nie może tego zrobić opierając się na starym establishmentie. Obawiał się wpływów tzw. deep state, które pozbawią go sprawczości. Dlatego zbudował swój establishment, by wejść z nim do Białego Domu. Oczywiście trudno w ciągu kilku miesięcy zbudować swój deep state, ale mówię o tym nie po to, by analizować sytuację Donalda Trumpa, lecz po to, by zapytać czym jest w istocie polski deep state? Jakby go pan zdefiniował?

To jest niezwykle skomplikowany problem, dlatego że *deep state* w rozumieniu amerykańskim to coś zupełnie innego niż nasz polska „adaptacja” tego pojęcia. W polskich warunkach, po trzydziestu kilku latach od tak zwanej zmiany ustrojowej, obserwujemy sytuację, w której pewne rzeczy zakontraktowane na przełomie lat 80. i 90. – myślę tutaj o Okrągłym Stole i Magdalence – pozostają w dużej

mierze niezmienione. I one właśnie determinują obecnie kierunek, w jakim podąża Polska.

Jeśli zatem mielibyśmy zdefiniować czym jest polski *deep state*, to sprowadza się on w dużej mierze do tego, co ustaliły między sobą strony porozumienia z 1989 roku. Wówczas powstały de facto ramy ustrojowe III Rzeczypospolitej, których ten *deep state* broni. Niedługo po zawarciu porozumienia Okrągłego Stołu mieliśmy zresztą nieudaną próbę naruszenia umowy zawartej przez Czesława Kiszcza oraz Lecha Wałęsę. Mam tu na myśli działania podjęte przez rząd Jana Olśzewskiego. Rząd ten upadł po kilku miesiącach.

Kolejną próbę dokonania zmiany podjęła ekipa rządząca po 2005 roku, czyli koalicja PiS, Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin. Wtedy pierwszy raz po 1989 roku partie otwarcie krytykujące układ okrągłostołowy zdobyły władzę, z kolei w Pałacu Prezydenckim lokatorem został związany z PiS Lech Kaczyński. Zatem pojawiła się pierwsza naprawdę poważna szansa na realną zmianę. Próba ta jednak znowu skończyła się fiaskiem, choć dokonywano pewnych korekt.

I ostatnia próby korekty ustrojowej rozpoczęła się po 2015 roku i trwała właściwie do 2023 roku. Jak wiemy, bez powodzenia. Ostatecznie w 2023 roku do władzy wrócił układ bardzo lojalny wobec ustaleń okrągłego stołu.

Fundamentalne pytanie pozostaje takie: na ile my w polskich warunkach wobec tego otoczenia i krajowego, i międzynarodowego jesteśmy w stanie cokolwiek zmienić? Proszę zauważyć, że bardzo często przy okazji dyskusji o polskiej polityce rozmawiamy o naszych uwarunkowaniach wewnętrznych bez uwzględnienia tego, co jest na zewnątrz.

Tymczasem my funkcjonujemy w określonym ładzie międzynarodowym, od którego nie możemy abstrahować. On determinuje naszą politykę wewnętrzną. Mowa o członkostwie Polski w Unii Europejskiej i w NATO. Zatem, jeśli mówimy o polskim *deep state* i jego sile konserwującej układ okrągłostołowy, to zakładając jakąś zmianę, nie

możemy zapomnieć o zasadniczej sprawie: na ile możemy tej zmiany dokonać bez narażenia się na konsekwencje sankcji z zewnątrz. To otoczenie w związku z tym może konserwować nasz *deep state*.

Chciałbym jeszcze trochę zatrzymać się na opisie organizmu polskiego deep state. Jest bowiem pewien czynnik, który narusza jego strukturę. Ten czynnik to biologia. Mówiąc inaczej: ci, którzy zawierali tamten układ, który pan definiuje jako „moment założycielski” naszego rodzimego deep state, odeszli z życia społecznego, a niektórzy także z tego świata. Czy ten naturalny proces w jakiś sposób zmienia charakter polskiego deep state? A może reprodukuje się on na tyle dobrze, że właściwie pozostaje nienaruszony albo – to ostatnio modne stwierdzenie – antykruchy?

Słusznie pan zauważył, że kluczowi wówczas aktorzy tamtego porozumienia po stronie komunistycznej czyli Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak odeszli z tego świata. Ale mimo to pewne rzeczy są konsekwentnie realizowane, bo wówczas określono pewne normy ustrojowe zaakceptowane przez ówczesny establishment, których ten establishment bronił i broni. Robi tak, bo czerpie z niego określone korzyści. Jakakolwiek próba wyjścia poza te normy oznacza zatem wejście w konflikt z szeroko rozumianym establishmentem. *Deep state* przejawia się właśnie w tej twardej obronie interesów przez ludzi, którzy stali się beneficjentami ustaleń w Magdalence, przypieczęto- wanych później przy Okrągłym Stole.

Jak już powiedziałem w ciągu ostatnich 30 lat podejmowano różnego rodzaju inicjatywy, żeby jakoś skruszyć ten *deep state*, wprowadzić korektę systemu. Ale jak popatrzymy z perspektywy czasu, to chociaż nie ma już między nami niektórych osób zawierających pakt w Magdalence, pozostały nam wytyczne, reguły gry nakreślone tam wiele lat temu, które są aktualne do dzisiaj.

Zatem co zrobić, żeby to zmienić? Jak mógłby wyglądać taki proces przejmowania polskiego deep state'u? I zapytam też od razu, dlaczego to się jeszcze nie dokonało? Przecież jednym z największych

kontrrewolucjonistów po rewolucji Okrągłego Stołu pozostaje, przynajmniej deklaracyjnie, Jarosław Kaczyński. Człowiek mający ogromny wpływ na polską politykę. Dlaczego zamach na polski deep state pozostał zamachem nieudanym?

Nie udał się z bardzo prostej przyczyny: ci, którzy układali się przy Okrągłym Stole, pozostają dalej przeobrażeni, bo przecież nie ma już Unii Demokratycznej, nie ma już Porozumienia Centrum, nie ma już wielu innych formacji, towarzyszących nam na początku lat 90., kiedy przeprowadzano reformy ustrojowe. Ale te wszystkie formacje mają swoje partie-córki, hołdujące tej samej logice, jaka towarzyszyła układowi Okrągłego Stołu.

Nie ma PC, jest PiS. Nie ma Unii Demokratycznej, jest Koalicja Obywatelska. Można powiedzieć tak: sztandary się zmieniły, ale pewna obowiązująca linia pozostaje bez zmian. I tu pojawia się pytanie, na ile w ostatnim czasie – w ciągu pięciu, dziesięciu, piętnastu, dwudziestu ostatnich lat – mieliśmy do czynienia z sytuacją, kiedy była jakakolwiek możliwość zmiany tego, co zbudowano po 1989 roku. Nie korekty, tylko realnej zmiany.

Oczywiście pojawiały się formacje określające się jako centroprawicowe czy prawicowe w polskich warunkach, sytuujące się w opozycji do Okrągłego Stołu. Tyle tylko, że jak sobie popatrzymy na kolejne „przełomy”, czyli na przykład na 2015 rok i na to wszystko, co się wydarzyło przez kolejnych osiem lat, do 2023 roku – mówimy o rządach Prawa i Sprawiedliwości – to mimo ogromnej władzy jaką wziął w ręce Jarosław Kaczyński, nie doszło do żadnej fundamentalnej wywrotki ustrojowej. Czyli ci, którzy przedstawiali się nam przez długie lata jako opozycja wobec Okrągłego Stołu, po dojściu do władzy raczej stawiali na kontynuację, korygując zaledwie system.

Dlatego III RP od 35 lat pozostaje pewną formą zastygłą, jeśli chodzi o klasę polityczną i całą polską politykę. Proszę spojrzeć na głównych aktorów dzisiejszej polityki. Wszystkie postacie numer jeden, dwa

lub trzy to ludzie zakorzenieni w polityce lat 90. Podobnie partie polityczne.

Dlatego, podkreślam, zasadniczy spór, jaki toczy się dzisiaj w polskiej polityce, i który – moim zdaniem – zdominuje wybory w 2027 roku dotyczy tego, czy chcemy być suwerenni, by dokonać systemowych zmian czy też chcemy tę wolność scedować na innych, czyli na instytucje międzynarodowe. Na ile my, pod 35 latami formalnie odzyskanej niepodległości, jesteśmy faktycznie wolni, a na ile ograniczeni w naszych politycznych decyzjach.

Po prawej stronie sceny politycznej pojawia się też inna fundamentalna kwestia: pośród ugrupowań chcących realnie zmieniać Polskę istnieje forma dwublokowości. Z jednej strony jest PiS, które deklaratywnie chce Polskę zmieniać – przy czym wielu sympatyków tej partii ma możliwość skonfrontowania, jak te zmiany wyglądały w latach 2015-2023 – a z drugiej strony mamy „twardą” prawicę w postaci Konfederacji, a przede wszystkim Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Politycy tej drugiej partii deklarują wprost, że czas zamknąć pewien rozdział, jeśli chodzi o funkcjonowanie III RP i otworzyć zupełnie nowy.

Zastanawiam się, na ile ta twarda prawica jest w stanie zdominować centroprawicę nadać w ten sposób pewną dynamikę umożliwiającą wprowadzenie zmian, wyczekiwanych przez miliony Polaków. Mowa o dużych zmianach ustrojowych, doprowadzeniu do sytuacji, w której Polska w końcu, po 35 latach, będzie przynajmniej w stopniu minimalnym własnością Polaków.

Wydaje się, że nadchodzi czas sprzyjający zmianom systemowym. Wskazuje na to chociażby deklaracja prezydenta Karola Nawrockiego, dotycząca powstania nowej konstytucji. Przekonanie, że obecne instytucje nie spełniają już swojej roli i konieczna jest głębsza ingerencja systemowa, wydaje się coraz bardziej popularne. Ale czy partie zmiany, o których pan mówi, będą w stanie ten moment wykorzystać?

Nie jestem tutaj optymistą, jestem realistą. Widzę wyraźnie, że wszystkie partie na prawo od centrum są nie tylko bardzo zróżnicowane, ale też bardzo kłótlive. Jeśli popatrzymy kilka miesięcy wstecz do wygranej Karola Nawrockiego, to PiS z Konfederacją dysponowały bardzo wyraźną większością w Sejmie.

Dzisiaj ta większość jest bardzo nieznaczna, a w sytuacji, kiedy Donald Tusk, co jest bardzo wielce prawdopodobnie, wszystkich swoich sojuszników zagoni do jednej koalicji centrolewicowej, szansa na większość po stronie PiS-u i Konfederacji wydaje się iluzoryczna. Co to oznacza? Żeby cokolwiek zmienić potrzebna będzie szeroka koalicja PiS – Konfederacja – Konfederacja Korony Polskiej. I nie mówię tutaj o zmianie systemowej, bo do tego trzeba mieć 307 mandatów, ale mówię jedynie o odsunięciu od władzy ekipy Donalda Tuska.

Czy taka koalicja jest w ogóle możliwa? Obecnie prawdopodobieństwo takiego porozumienia spada. Mam trochę więcej lat od pana i pamiętam lata 90. z ostrymi podziałami na prawicy. I dzisiaj odnoszę wrażenie pewnego *déjà vu*. Tamte podziały okazały się o tyle bolesne, że mimo iż większość Polaków negowała PRL i realia tzw. nowego otwarcia po 1989, to ich głosy trafiały w próżnię, rozczłonkowane na wiele pomniejszych ugrupowań.

Dlatego w latach 90. ogromny wpływ na władzę miały partie postkomunistyczne. Wróćmy jednak do tu i teraz. Karol Nawrocki wygrywa wybory, partie prawicowe cieszą się niemałym poparciem, mają de facto coś w rodzaju rządu dusz. Ale mimo wszystko, na skutek kłótlivosti, niemożności pogodzenia interesów różnych środowisk, możemy być świadkami sytuacji, w której ta większościowa prawica w Polsce – prawica narodowa, konserwatywna i katolicka – może po 2027 roku pozostać w opozycji.

Ale czy nie jest tak, że te trzy partie są skazane na spór? Konfederacja Bosaka i Mentzena istnieje dlatego, że neguje prawicowość PiS-u, nieustannie przypominając o czarnych kartach rządów tej partii. Grzegorz Braun – choć sam jest silną polityczną osobowością – gdy dzisiaj porozumiał się

z Kaczyńskim zostałby uznany za zdrajcę. Zaś Jarosław Kaczyński, chcąc utrzymać centrum przy swojej partii, nie może godzić się na radykalną retorykę Brauna czy Mentzena. Czy zatem ten konflikt nie jest warunkiem sine qua non istnienia tych partii, szczególnie mniejszych? PiS jest potężnym organizmem politycznym i może pozwolić sobie na różne zwroty, jak łagodzenie i zaostrzanie stanowiska, w zależności od potrzeb, w przeciwieństwie do mniejszych, ideowych partii proponujących „wywrócenie stolika”. Czy zatem relacje tych partii nie są naznaczone pewnym tragizmem: mogą rządzić jedynie w koalicji, ale tej koalicji nie będzie, jeśli się nie pokłócą i nie pójdą do wyborów osobno?

Koalicja tych partii przed wyborami wcale nie jest konieczna. To ugrupowania bardzo różne. Jest PiS aspirujący do tego, żeby być prawicą, jest Konfederacja, która jest półantysystemową prawicą i wreszcie bardzo wyrazisty Grzegorz Braun, który z kolei buduje prawicę antysystemową. Wykluczamy tutaj koalicje tych partii przed wyborami czy tworzenie jednej wspólnej listy, bo różnice są zbyt głębokie. Żeby jednak po wyborach było możliwe porozumienie tych partii, pozwalające przynajmniej odsunąć od władzy Donalda Tuska, każda z tych partii powinna skupić się na zagospodarowaniu tej części elektoratu, który obsługuje.

Tymczasem obserwujemy walkę tych ugrupowań o to, żeby wydrzeć od konkurencji, co się da. Beneficjentem tej walki jest ta druga strona. Dlatego, że jest pewna grupa wyborców w Polsce, która nie jest ani prawicowa, ani lewicowa, ani konserwatywna, ani progresywna.

To są wyborcy, którzy zwłaszcza w szczytowym okresie kampanii albo w jej końcówce decydują, żeby zagłosować na formację, dającą im jakąś perspektywę, zazwyczaj perspektywę korzyści materialnej. Mówimy wówczas o wyborcach głosujących portfelem. Tacy wyborcy nigdy nie poprą żadnej części frontu ugrupowań pozostających ze sobą w radykalnym sporze, bo ten spór nie daje im gwarancji, że obietnice zostaną spełnione.

Obecnie mamy taką sytuację, że trzeba zmobilizować wyborców zawiedzionych rządami Donalda Tuska. To jest już sprawa odpowiedzialności wszystkich trzech środowisk prawicowych za Polskę w perspektywie 2027 roku. To kwestia porozumienia liderów, które pozwoliłoby zastąpić bieżącą walkę pomiędzy trzema prawicowymi ugrupowaniami jakąś formą porozumienia co do zasadniczych tematów przy pozostawieniu innych, nierzadko głębokich, różnic.

Nawet, gdyby ktoś pana posłuchał w tych ugrupowaniach i faktycznie postanowił poszukać porozumienia w tych sprawach zasadniczych, o których pan mówi, to czy zmiana, jaka dokonałaby się po odsunięciu Tuska od władzy będzie wtedy zmianą systemową? Inaczej mówiąc: czy koalicja tych trzech partii daje nadzieję na przejęcie państwa i zdominowanie tego, co nazywamy deep state'em?

Tu znów nie będę optymistą. Żeby przejąć państwo, trzeba mieć kilkadziesiąt tysięcy sprawnych i doświadczonych osób po to, żeby „wlać je” w instytucje państwowe na poziomie centralnym i lokalnym, bo proszę pamiętać, że mówimy jeszcze o rządowej administracji wojewódzkiej. Wydaje się, że teoretycznie najlepiej przygotowane do tego jest Prawo i Sprawiedliwość, bo rządziło przez dwie kadencje. Ale jak obserwuję to, co się dzieje w tej partii w ostatnich dwóch latach, to widzę jedno: tam nie ma żadnej poważnej refleksji nad rządami w latach 2015-2023. Personalia są tam dokładnie te same.

Jak patrzę sobie na Konfederację, to ja tam - wbrew deklaracjom przy najmniej jednego z dwóch środowisk współtworzących tę partię, czyli Ruchu Narodowego – nie widzę tej pracy u podstaw, czyli budowania elit gotowych na moment przejęcia władzy. Nie widzę tego też niestety w Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna, formacji w dużej mierze skoncentrowanej na jednej osobie, pozbawionej struktur, zamkniętej na ludzi kompetentnych, merytorycznych, zdolnych współrządzić Polską.

Obraz, jaki widzę jest niestety bardzo negatywny i prowadzi do wniosku, że szeroko rozumiana polska prawica nie jest gotowa do przejęcia

władzy w Polsce. Bo doświadczenie uczy, że to nie jest kwestia posiadania 231 mandatów w Sejmie. Tu trzeba mieć do kilkudziesięciu tysięcy urzędników, którzy muszą objąć urzędy i instytucje państwowe, oraz rozmaite instytucje w poszczególnych województwach.

Rozumiem zatem, że jeśli dojdzie do koalicji partii szerokorozumianej prawicy w 2027 roku, to efektem tego będzie raczej korekta systemu?

Tak, a czas będzie największym wrogiem takiej koalicji. Jeśli dojdzie ona do władzy na fali obietnicy wielkiej zmiany, to jeśli tej zmiany szybko nie wprowadzi, zacznie gwałtownie tracić poparcie. Proszę spojrzeć na rząd Donalda Tuska. Partie tworzące tę koalicję otrzymały sumarycznie bardzo wysokie poparcie, ale po dwóch latach roztrwoniły ten kapitał, bo wyborcy powiedzieli „sprawdzam”. W 2027 roku Polacy mogą pozbawić władzy Tuska i powierzyć *check in blanco* Kaczyńskiemu, Mentzenowi, Bosakowi i Braunowi. Ale warunkiem tego będzie realizacja obietnic konkretnych reform, które muszą zostać wprowadzone w ciągu 2-4 lat. Jeśli to się nie wydarzy, utracą poparcie.

Świat przyspieszył. Tu nikt nie będzie czekał.

Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał Krzysztof Gędłek

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



POLSKA? ALE PO CO?

Aby znaleźć przepis na Polskę, należy wpierw odpowiedzieć na pytanie, po co tę Polskę chcemy mieć. To tak jak z gotowaniem obiadu. Zanim wybierzemy przepis, musimy wiedzieć po co przyrządzamy danie, dla ilu osób, kim one są, co od zawsze lubiły jeść a co może im poważnie zaszkodzić...

Jeśli budujemy dom, wiemy do czego ma nam służyć – i odpowiedź będzie w tym wypadku dość oczywista. Kiedy projektujemy czy meblujemy mieszkanie – również wiemy z jakiego powodu i w jakim celu okna są na tej ścianie, jadalnia jest tutaj a łóżko stoi tam. Tak samo, gdy zakładamy firmę, stowarzyszenie czy partię polityczną – mamy jakiś cel do osiągnięcia.

Podobnie jest z państwem – ono istnieje w jakimś celu. Skoro istnieją różne państwa, wniosek jest prosty: mają one różne cele. I tak np. celem istnienia i trwania państwa niemieckiego będzie troska o dobrobyt narodu niemieckiego ewentualnie wszystkich tych, którym Niemcy pozwolili u siebie mieszkać (albo służenie Niemcom, ale to już ich sprawa).

Podobnie jest z celem istnienia Polski. A owe cele nierzadko bywają sprzeczne – stąd konflikty w polityce międzynarodowej, rozwiązywane od czasu do czasu przez wojnę. I tak od co najmniej pół tysiąca lat różne formy niemieckiej państwowości miały na celu poszerzanie strefy niemieckiego wpływu. Podobnie państwowość rosyjska, łącznie z tą budowaną przez bolszewików – rozsiewała po świecie wpływ, także religijny (kiedyś prawosławie) oraz ideologiczny (komunizm) a przede wszystkim polityczny.

A Polska? Czy wiemy, po co istnieje? Po co ma trwać? Przecież w dobie globalizacji, zjednoczonej Europy i podobnych bytów, mogłaby

właściwie przestać istnieć – nie jednego z naszych rodaków taka wiadomość przecież by ucieszyła. Bo to przecież dość nieudolne państwo w dodatku z narodem, którego niemałą część śmiało można nazwać „zaściankową”.

Należy sobie zatem zadać pytanie, po co Polska jest Polakom. I czy jest potrzebna komuś jeszcze.

KTO BLIŻSZY: DZIERŻYŃSKI CZY FRANCISZEK Z ASYŻU?

Wszystko to, co nazywamy Polską, a więc piękno gór i lasów, oryginalność obyczajów i mody, pobożność pieśni i literatury, starsze panie w kruchcie i młodzi chłopcy przed zatłoczoną świątynią podczas pasterki, wciąż ogromny opór przeciwko niemoralnym nowinkom – wszystko to jest po to, by budować w nas pamięć o jedynym celu naszego życia, o bitwie przeciwko szatanowi, której stawką jest nasze zbawienie. I to przede wszystkim z tego powodu musimy o Polskę dbać. Dwa z trzech mocarstw, które dokonały rozbioru Polski, były antykatolickie – to heretyckie Niemcy i schizmatyczna Rosja. Czy mogło być przypadkiem, że to właśnie pod rządami katolickich monarchów Austro-Węgier Polacy cieszyli się największą swobodą?

A czwarty rozbiór Polski? Wszak zarówno narodowosocjalistyczne Niemcy, jak i komunistyczny Związek Sowiecki nienawidziły Boga i wiedziały, że prawdy o Nim nauczają katolicki kapłani. Czy tą wspólną napaść na Polskę, której dopuścili się bezbożni wrogowie, już zawsze będziemy tłumaczyć wyłącznie geografą?

Polska nie jest więc po to, byśmy byli biologicznymi Polakami. Czyż Polakami nie byli Feliks Dzierżyński, Władysław Gomułka, Wanda Wasilewska? Stanisław Szczęsny Potocki, Seweryn Rzewuski, Franciszek Branicki? Polska jest po to, byśmy się zbawili, a więc po to, byśmy byli katolikami. Jak Franciszek z Asyżu (Włoch), jak Antoni z Padwy (Portugalczyk), jak Francuzka Joanna d'Arc, jak Niemiec Otton z Bambergu czy patron Polski Wojciech, który był przecież Czechem! Gdyby wszyscy oni dziś zmartwychwstali i ujrzeli współczesny świat, z pewnością głęboko by się oburzyli. Ale gdyby musieli wybrać, który

europeski kraj pochwalić, czyż nie pochwaliliby (mimo wszystkich naszych wad) właśnie Polski?

Pytanie „po co jest Polska?” brzmi dziś dla wielu ludzi abstrakcyjnie. Przywykliśmy patrzeć na państwo jako na coś oczywistego, niemal naturalnego. Wydaje się, że Polska jest, bo była – że istnieje dzięki historii, geografii i polityce. Ale to złudzenie. W istocie tylko nieliczne narody przetrwały dziejowe burze, bo tylko nieliczne narody wiedziały, po co istnieją. Trwa to, co ma cel. Rozpada się to, co nie posiada żadnej wewnętrznej treści.

Sto lat temu kwestię tę podnosił wybitny historyk, twórca teorii cywilizacji, Feliks Koneczny, w książce *Polskie logos a ethos. Roztrząsania o znaczeniu i celu Polski*. Zaledwie kilka lat po odrodzeniu się polskiej państwowości pisał: „Historię robi się zawsze, a całymi pokoleniami, z dnia na dzień, bez jednego dnia przerwy; a kiedy się jest przygotowanym do czynu, wtedy samemu wywołuje się sposobność, o co nigdy nietrudno, bo chcący, a mogący zawsze ją znajdzie. Określając jako cel Polski dążenie do tego, by w Europie Środkowej zapanowała wyłącznie cywilizacja łacińska (...), żeby Polska nie stała się pozycją bierną w grze sił dziejowych, lecz żeby Polak sam robił historię, żeby z charakteru polskiego wykrzesać walory polityczne”.

I dodawał, co wydaje się szczególnie aktualnym: „Walka obozów chrześcijańskiego i antychrześcijańskiego zaostrza się do tego stopnia, iż nikt nie będzie mógł pozostać w niej neutralnym, albowiem tarcie przeciwieństw cywilizacyjnych przenika już wszystkie dziedziny życia (...). My, Polacy, walczymy o katolicyzm, o ten jedyny w chrześcijaństwie pozytywny Kościół, Kościół par excellence.”

Tego właśnie będziemy się trzymać w poniższych rozważaniach.

GENIUSZ CYWILIZACYJNY KOŚCIOŁA

Naród polski nie powstał spontanicznie, nie był naturalnym, pogańskim plemieniem o własnej kulturze, które jedynie „przyjęło chrześcijaństwo” jako swoją nadbudowę. Było wręcz odwrotnie. Chrzest

nie nadbudował istniejącej polskości – ale ją stworzył. Polskość wyłoniła się jako konsekwencja przyjęcia cywilizacji łacińskiej. Można de facto powiedzieć, że to Kościół stworzył Polskę jako byt moralny, duchowy i społeczny.

Koneczny uczy, że cywilizacje różnią się metodami życia zbiorowego, tj. sposobem rozumienia prawa, moralności, wolności, małżeństwa, własności i religii. Polska jest dzieckiem cywilizacji łacińskiej – jedynej, która uznaje, że prawo ma być podporządkowane etyce, że człowiek jest osobą, że wolność jest zakorzeniona w prawdzie, a nie w arbitralnym wyborze. Dlatego Polska jest również bytem duchowym, nie tylko politycznym. Jest przestrzenią moralną, nie geograficzną. Istnieje nie dlatego, że ktoś ją wytyczył na mapie, ale dlatego, że ludzie przyjęli pewien system wartości i rozumienia świata.

Trudno zrozumieć Polskę, jeśli nie przyjmiemy punktu widzenia Konecznego, który podkreślał, że Kościół nie tylko wprowadził religię, ale także cały porządek cywilizacyjny, który w konsekwencji, wiele wieków później, uczynił z plemion polskich naród.

Chrzest Mieszka był aktem religijnym, także politycznym, ale również, jeśli nie przede wszystkim, cywilizacyjnym. To nie był gest dyplomatyczny; to było wejście do świata łacińskiego – świata prawa, etyki, moralnego porządku i instytucji, których Słowianie wcześniej nie znali. Kościół katolicki nie tylko ochrzcił przodków Polaków, ale nauczył nas także myśleć. W swym innym, znacznie mniej obszernym dziele, *Kościół jako polityczny wychowawca narodów*, Koneczny wskazuje podstawowe, dziś często zapomniane, paradygmaty wprowadzone od moralności publicznej wszędzie tam, gdzie pojawiał się Kościół jako wychowawca. I tak na przykład wprowadzenie monogamii dało kobietom godność, której nie miały w świecie pogańskim. Wprowadzenie zakazu zabijania i porzucania dzieci wprowadziło etykę troski i odpowiedzialności. Zniesienie zemsty rodowej przekształciło plemiona w społeczeństwo, w którym konflikt nie kończy się spiralą zemsty, ale staje się przed sądem. Z perspektywy Konecznego oznaczało to ogromną rewolucję: z destrukcyjnych rodów i klanów wyrósł

organizm państwowy. To Kościołowi zawdzięczamy również „dualizm prawa”, czyli rozróżnienie między prawem publicznym i prywatnym, oraz podporządkowanie obu porządków jednej nadrzędnej moralności. To jest fundament cywilizacji łacińskiej. Państwo nie jest źródłem moralności – jest jej wykonawcą. Kościół uczy, że władza nie jest absolutna; państwo nie jest Bogiem; prawo nie jest samowolą. To dlatego w Polsce nie mogła powstać ani turańska tyrania, ani bizantyńska biurokracja, ani żydowska monolityczna teokracja. To dlatego w Polsce rodziła się wolność, a nie despotyzm.

Kluczową rolę w procesie stawania się członkiem cywilizacji łacińskiej pełni jednak przyjęcie pojęcia osoby. W pogańskim świecie Słowian osoba nie istniała. To Kościół nauczył Polaków, że każdy człowiek ma duszę, że kobieta jest przed Bogiem równa mężczyźnie, że dziecko ma wartość niezależną od użyteczności, że życie nie jest własnością kogokolwiek. W końcu to Kościół nauczył Polaków czytać, pisać i myśleć w kategoriach abstrakcyjnych, takich jak prawo, moralność, odpowiedzialność, cnota, dobro wspólne. Współczesny świat często zapomina, że większość narodów Europy zawdzięcza swoją kulturę literacką Kościołowi. W Polsce ta rola była absolutna i decydująca.

Wszystko to prowadzi do kluczowego wniosku: Polska istnieje dzięki Kościołowi nie w sensie pobożności, ale w sensie cywilizacyjnym. Kościół stworzył polską kulturę społeczną, moralną, prawną i polityczną. Dał Polsce sposób życia – metodę cywilizacji łacińskiej.

Dlatego Polska, która wyrzekłaby się Kościoła, wcale nie wróciłaby do „pierwotnej polskości”. Wracałaby raczej do cywilizacyjnej próżni. Bez Kościoła nie byłoby polskiej wolności, godności, rodziny, prawa i tożsamości. Bez Kościoła nie byłoby po prostu Polski. I nigdy nie będzie.

NIE SPOSÓB ZROZUMIEĆ POLSKI BEZ CHRYSTUSA

Historia Polski – czy tego chcemy, czy nie – jest nieustanną lekcją o tym, że naród istnieje o tyle, o ile zna swój sens. W tym sensie dzieje Polski nie są katalogiem dat, ale sekwencją momentów, w których

polskość była wystawiana na próbę. Autor książki widzi historię jako laboratorium cywilizacyjne: w nim wychodzi na jaw co jest fundamentem narodu, a co jest tylko powierzchnią. Gdy Polska pozostaje wierna swojej cywilizacyjnej tożsamości, rozkwita. Gdy od niej odchodzi – rozpada się.

Początkiem tej historii jest chrzest Mieszka. Stanowił on wybór cywilizacji, który niósł za sobą 1000 lat konsekwencji. Chrzest przyniósł prawo, moralność, kulturę, duchowość, alfabet, instytucje, architekturę, muzykę, sztukę i strukturę społeczną. Przyniósł także pojęcie osoby i jej godności; coś, czego pogański świat nie znał.

W wiekach średnich Kościół porządkował życie społeczne, stawał się centrum prawa i kultury. W miastach rozwijały się cechy, szpitale, szkoły i parafie, a wszystko to w porządku, który łączył rozwój gospodarczy z moralnym łaodem. Panowanie Jagiellonów udowodniło, że Polska może być mocarstwem, ale nigdy imperialnym. Złota wolność miała swoje wady, ale jej fundament był moralny. Wolność była rozumiana jako dar od Boga, a nie jako swawola. Nawet liberum veto w źródle miało chronić zasadę, że dobro wspólne nie może być narzucone przemocą. Problem zaczął się wtedy, gdy wolność przestała mieć zakorzenienie w moralności, a zaczęła służyć egoizmowi i partykularnym interesom. Polska wolność upadła, kiedy została oderwana od etyki łacińskiej. Upadek Rzeczypospolitej był wynikiem cywilizacyjnej erozji – synkretyzmu i nieumiejętności utrzymania łacińskiego porządku.

Według Feliksa Konecznego, Polska zaczęła mieszać łacińskość z wpływami turańskimi (kult siły, wojskowość jako metoda rządzenia), bizantyńskimi (kult państwa i urzędnika) oraz lokalnymi partykularyzmami. To dlatego pisał, że Polska upadła, gdy zaczęła żyć w dwóch cywilizacjach jednocześnie – a, jak podkreślał, „nie można być cywilizowanym na dwa sposoby”. Albo etyka stoi ponad prawem, albo prawo dominuje nad moralnością. Polska przekonała się o tym boleśnie.

W okresie zaborów Kościół okazał się jedynym strażnikiem polskości. Państwa zaborcze – każde z innej cywilizacji – chciały naród wchłoniąć i zniszczyć. Ale parafie, sanktuaria, pielgrzymki i kazania stały się szkołą pamięci. Polska trwała w Kościele. Kluczowym momentem było to, że nikt z zaborców nie potrafił zniszczyć polskiej religijności. To ona była fundamentem wolności, która wybuchała w 1918 roku.

Wiek XX tylko potwierdził tę lekcję. Bitwa Warszawska z 1920 roku była starciem dwóch cywilizacji. Druga Rzeczpospolita – mimo błędów – próbowała odbudować polskość w duchu cywilizacji łacińskiej. Okupacja i komunizm były próbami zniszczenia narodu od jego duchowego fundamentu. Nie przypadkiem pierwszy front komunistów biegł przez Kościół. Komuniści bowiem wiedzieli: naród można zniszczyć tylko wtedy, gdy wyrwie się mu serce. A sercem Polski był Kościół.

W tej perspektywie historia Polski staje się argumentem i dowodem na to, że Polska nie istnieje „ot tak”. Polska istnieje, gdy ma misję. Upada, gdy ją zdradza. W tym sensie przeszłość nie jest zamkniętym rozdziałem, lecz nakazem: Polska ma trwać w cywilizacji łacińskiej, bo to jest jej źródło i powód istnienia.

JESZCZE CYWILIZACJA NIE ZGINĘŁA...

A jak jest dziś? Czy w XXI wieku, w dobie totalnej destrukcji cywilizacji łacińskiej i cywilizacji chrześcijańskiej, którą inny wielki autor katolicki Plinio Correa de Oliveira nazywał „cywilizacją par excellence”, warto zadawać sobie trud walki o nią?

Cóż, nie da się ukryć, że świat nastawiony jest na walkę z cywilizacją. Pragnie jej zniszczenia, antychrześcijańska rewolucja bowiem od wieków zdobywa przyczółek za przyczółkiem pozostawiając za sobą zgłuszcza jak świat długi i szeroki. To dzieje się także w Polsce.

Jest jednak jedno „ale”. W Polsce jakieś resztki tamtej cywilizacji jednak jeszcze trwają i coraz wyraźniej dostrzegają to doświadczeni rewolucją mieszkańcy Zachodu. Ileż to powstało internetowych

filmików i tekstów, autorstwa Niemców, Francuzów, Włochów, Amerykanów i Kanadyjczyków, którzy zachwycają się Polską. Czystością, porządkiem, spokojem, bezpieczeństwem, patriotyzmem, przywiązaniem do tradycji itp.!

Mimo radykalnej i bardzo szybkiej laicyzacji, Polacy mają bardziej chrześcijański stosunek do życia niż większość społeczeństw europejskich. Odsetek Polaków sprzeciwiających się aborcji „na życzenie” niestety spada, ale wciąż pozostaje jednym z najwyższych w Europie. Polska wyróżnia się też niższym poparciem dla eutanazji – podczas gdy w wielu krajach zachodnich popiera ją niemal 80% społeczeństwa. Polacy nie zgadzają się na eliminację ludzi starych, słabych, chorych, nienarodzonych. To nie jest tylko konserwatyzm – to jest cywilizacja łacińska w praktyce.

Polacy niestety zaczęli masowo się rozwodzić, ale – co ciekawe – wciąż się żenią. Polska ma jedną z najwyższych liczb zawieranych małżeństw w Europie. W Polsce większość dzieci wciąż rodzi się właśnie w małżeństwach, podczas gdy na Zachodzie normą staje się odwrotność. W Skandynawii, Francji czy w części Niemiec większość dzieci rodzi się poza trwałymi związkami. Polska, mimo potężnych kryzysów, zachowała pewną integrację rodziny.

Polacy są też bardziej religijni, i to nie tylko deklaratywnie, ale też praktycznie. Najwyższe wskaźniki uczestnictwa w Mszach, najniższe odejścia od Kościoła, największe poparcie dla edukacji religijnej i dla tradycji sakralnych... To wszystko pokazuje, że Polska żyje chrześcijaństwem nie tylko w słowie, ale w życiu. W krajach zachodnich chrześcijaństwo zostało zepchnięte do prywatności. W Polsce pozostaje częścią kultury publicznej.

Polska gdzieś tam wciąż zachowała moralny porządek, w którym prawo podlega etyce. Mimo miliardów dolarów wykorzystanych na promocję subkultury LGBT w Polsce wciąż nie zalegalizowano „związków partnerskich”, nie mówiąc nawet o homo-małżeństwach. Dzieci w polskiej szkole masowo wypisują się z edukacji seksualnej,

nie dlatego, żeby byli jakoś szczególnie bardziej moralne od zachodnich rówieśników, ale dlatego, że po prostu mogą się z niej wypisać. A mogą się z niej wypisać dlatego, że społeczeństwo polskie w gwałtownych reakcjach nie pozwoliło lewackiemu rządowi na ustanowienie tego przedmiotu jako obowiązkowego. To naprawdę wyróżnia nas spośród narodów Europy.

Wszystkie te elementy pokazują, że Polska jest dziś jednym z ostatnich miejsc w Europie, gdzie cywilizacja łacińska nie została zastąpiona przez laicki relatywizm moralny. Czy to nie nasuwa nam jakieś podpowiedzi, gdy zastanawiamy się „kim jesteśmy?”, ale także próbujemy odpowiedzieć na pytanie „po co jesteśmy?”.

Dlaczego Bóg dopuścił do tego, byśmy aż tak różnili się (nawet mimo lewicowych rządów) od sąsiadów i reszty Zachodu?

A może jesteśmy po to, by świadczyć o wartości cywilizacji, którą Zachód zdradził. Być może Polska jest potrzebna światu jako przypomnienie, że wolność, godność i moralność nie są anachronizmem, lecz fundamentem człowieczeństwa? Wynikającym, rzecz jasna, z chrześcijaństwa.

KOMU POTRZEBNA JEST POLSKA?

Skoro Polska istnieje dlatego, że ma misję cywilizacyjną, to nie jest ona czymś zamkniętym w przeszłości. Misja ta trwa. Każde pokolenie musi ją rozpoznać i ponownie potwierdzić. Polska jest potrzebna: nie tylko nam, ale i światu oraz Kościołowi.

Polakom Polska jest potrzebna jako przestrzeń życia zgodnego z ich cywilizacją. Nie tylko jako organizator „usług publicznych”, ale również jako duchowy dom. Polska może gwarantować, że rodzina, małżeństwo, wiara, etyka i prawo naturalne będą nadal fundamentem życia społecznego. W innych krajach Zachodu te wartości są już często traktowane jako archaiczne przeszkody.

Kościółowi Polska jest potrzebna jako jedno z ostatnich dużych miejsc, gdzie nauczanie może być głoszone bez lęku, a kultura chrześcijańska ma społeczny rezonans. Polska daje Kościołowi żywy grunt – powołania, praktyki religijne, żywe wspólnoty, edukację katolicką, życie sakramentalne. To nie jest błaha rola. Kościół jest dziś przecież wypychany z przestrzeni publicznej w wielu krajach Europy. Polska stanowi wyjątek. Jest otwartą przestrzenią dla wiary. Owszem – trwa proces szybkiego zwijania się polskiego katolicyzmu. Ale czy na pewno jest to proces nieuchronny? Nie do powstrzymania?

Światu natomiast Polska jest potrzebna jako świadectwo. W czasach, gdy łaciński model cywilizacji znajduje się w kryzysie moralnym, demograficznym i kulturowym, Polska pokazuje (choć, podkreślmy raz jeszcze, tylko w niektórych aspektach i coraz słabiej), że istnieje inna droga. Można łączyć nowoczesność z moralnością, technologię z tradycją, wolność z odpowiedzialnością.

Dlatego odpowiedź na pytanie „po co istnieje Polska?” brzmi: Bo ma misję większą niż ona sama. Ma być światłem dla swych dzieci, dla Kościoła i dla świata. Polska istnieje między innymi po to, by pokazać, że cywilizacja łacińska jest żywa, że wartości chrześcijańskie są realne, że człowiek ma godność, a prawda istnieje. Polska jest potrzebna, bo bez niej świat byłby uboższy – duchowo, moralnie, cywilizacyjnie...

ZABIĆ POLSKĘ

Współczesna antychrześcijańska rewolucja dąży do usunięcia z przestrzeni publicznej wszystkiego, co pozostało po dawnym, chrześcijańskim świecie. Choć tamten świat nie był wolny od wad, to jednak opierał się na wartościach, w centrum których znajdował się Bóg, Jego prawo oraz wynikające z niego zasady kształtujące życie społeczne i indywidualne. Rewolucyjne siły od dawna niszczą to dziedzictwo, a dziś dążą jedynie do zlikwidowania ostatnich jego śladów.

Wyobraźmy sobie ludzi gorączkowo budujących „nowy, lepszy ład”. Przekonanych, że aby wyzwolić człowieka z tradycji, religii, rodziny czy biologicznej płci, muszą doprowadzić do całkowitego rozpadu

starego porządku. Dla jednych są to struktury powiązane z organizacjami pokroju masonerii, dla innych – rozproszone środowiska inspirowane podobnymi ideami. Niezależnie od tego, jak je postrzegamy, łączy je niezdolność do zaakceptowania katolickiej Polski.

Z katolicką tożsamością naszego kraju nie mogą pogodzić się ani urzędnicy ONZ, którzy promują aborcję jako „prawo człowieka”, ani przedstawiciele instytucji unijnych dążących do marginalizacji religii w życiu publicznym oraz rozmycia narodowych tożsamości. Nie akceptują jej także zwolennicy ideologii gender i ruchu LGBT, widząc, jak silny opór wobec ich postulatów wciąż wykazują Polacy. Ideologiczną ofensywę wspierają globalne korporacje, popkultura oraz część środowisk akademickich.

To dlatego właśnie Polska i polski Kościół tak często stają się obiektem ataków. To również powód, dla którego Parlament Europejski tak często swego czasu wydawał rezolucje krytykujące nasz kraj, pomimo że takie dokumenty nie mają realnej mocy prawnej, a traktaty unijne nie przyznają instytucjom europejskim kompetencji w sprawach aborcji, małżeństwa czy rodziny. Mimo to opinia publiczna za rządów odwołującego się do chrześcijaństwa PiS nieustannie bombardowana była kolejnymi wezwaniami do przyjęcia konwencji stambulskiej, legalizacji związków jedнопłciowych czy zapewnienia powszechnego dostępu do aborcji.

Dodatkowo Unia Europejska przyjęła mechanizmy powiązania funduszy z tzw. praworządnością, co w przyszłości może prowadzić do nacisków również w kwestiach światopoglądowych. Praktyki te nie są nowe – od lat unijne granty wymagają spełnienia kryteriów związanych z „gender mainstreaming”. Podobne warunki próbowano już narzucić krajom Afryki, Karaibów i Pacyfiku, uzależniając pomoc finansową od przyjęcia ideologicznych założeń.

Polska jest też pod presją międzynarodową wywieraną bezpośrednio przez dyplomatów. Wszyscy pamiętamy jak dyplomaci z kilkunastu państw zażądali w liście otwartym wprowadzenia w Polsce

związków jednopłciowych. Rząd polski nie odpowiedział ani na ten apel, ani na wcześniejsze komentarze amerykańskiej ambasador, która stwierdziła, że w kwestii LGBT „Polska znajduje się po niewłaściwej stronie historii”.

Jednak walka z tradycją i chrześcijańskim dziedzictwem nie ogranicza się do deklaracji politycznych. W ostatnich latach na ulicach polskich miast doszło do licznych aktów profanacji symboli religijnych, agresji wobec Kościoła oraz ataków na osoby broniące życia i rodziny. Od parodii procesji eucharystycznych, przez dewastację wizerunków Matki Bożej, po obrzucanie agresją działaczy pro-life oraz ataki na kościoły po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 roku.

INDIANIE EUROPY

W tym kontekście Polacy, zwłaszcza ci przywiązani do katolickiej tradycji, zaczynają przypominać – oczywiście, w metaforycznym ujęciu – współczesnych „Indian”, których unikalna kultura jest wypierana przez dominujące siły cywilizacyjne. Dzisiejszy świat rozwija wrażliwość na ginące kultury rdzennych ludów, chociażby ze względu na ich oryginalność i wyjątkowość, lecz nie wykazuje podobnej troski o tysiącletnią cywilizację chrześcijańską, trwającą na ziemiach polskich i zachowującą własne normy dotyczące rodziny, godności człowieka czy prawa do życia.

Sprzyjają temu również ludzie, którzy – podobnie jak niektórzy Indianie sprzedający własną kulturę za błyskotki – gotowi są poprzeć każdy postulat rewolucji, byle zdobyć uznanie zagranicznych środowisk. Ojkofobia, czyli pogarda wobec własnej tradycji, o której pisał Roger Scruton, stała się jedną z cech pewnych środowisk politycznych, medialnych i intelektualnych. Według Scrutona źródłem tej postawy jest odchodzenie od religii i moralności ukształtowanych przez chrześcijaństwo.

Kryzys dotyka także część duchowieństwa. Niektórzy kapłani powielają postulaty najgłośniejszych ruchów rewolucyjnych, kwestionując

zasady, których powinni bronić. Trudno zrozumieć ich postawę bez uznania, że również instytucja Kościoła doświadcza wewnętrznego kryzysu.

Mimo to Kościół pozostaje źródłem cywilizacji chrześcijańskiej, o czym wielokrotnie przypominali papieże, podkreślając, że prawdziwy rozwój społeczeństw dokonuje się właśnie w oparciu o Ewangelię. Z takiego przekonania wyrastała działalność św. Maksymiliana Kolbego, który patrząc na agresywną działalność masonerii w Rzymie przed II wojną światową, rozumiał, że rewolucja antychrześcijańska staje się coraz śmielsza.

Dzisiejszy świat w wielu miejscach już jej uległ. Polska, choć poddawana olbrzymiej presji, nadal nie stanęła jeszcze ostatecznie po stronie tej rewolucji.

CO BĘDZIE DALEJ?

Nie ulega wątpliwości, że wybrany nie tak dawno Prezydent RP, Karol Nawrocki, zawdzięcza swe zwycięstwo katolikom. Jednym z dowodów na to jest choćby analiza zaprezentowana przez Szymona Pifczyka na profilu „Kartografia ekstremalna”. Przygotowany przez niego wykres pokazuje zależność między odsetkiem mieszkańców deklarujących przynależność do Kościoła katolickiego a poparciem dla Nawrockiego w drugiej turze w poszczególnych gminach. Wnioski są bardzo czytelne: im więcej katolików w gminie, tym wyższe poparcie dla Nawrockiego. Jednocześnie widać wyraźną polaryzację wyborców według kryterium religijności. Także dane CBOS potwierdzają, że osoby systematycznie praktykujące częściej głosowały na Nawrockiego niż na jego rywala. Wśród jego wyborców aż 52 procent uczestniczy w praktykach religijnych co najmniej raz w tygodniu, a 15 procent – kilka razy w tygodniu. Dla porównania, w elektoracie Trzaskowskiego 42 procent badanych w ogóle nie bierze udziału w praktykach religijnych.

Sam Nawrocki sporo wysiłku włożył w to, by stworzyć sobie taki wizerunek. Niejednokrotnie mówił o swojej wierze, odwoływał się do tradycji chrześcijańskiej i podkreślał, że katolicy mają prawo do

obecności w debacie publicznej oraz wyrażania swoich poglądów wprost z perspektywy wiary. Dawało to nadzieję na sprzeciw wobec prób narzucania cenzury pod hasłem walki z „mową nienawiści”. Tego właśnie oczekują jego wyborcy.

W pierwszej turze wynik Karola Nawrockiego nie wychodził jednak znacząco poza standardowe poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości. Część katolickiego elektoratu postawiła wtedy na Grzegorza Brauna czy Sławomira Mentzena. W drugiej turze wyborców obu kandydatów przekonywano do tego, że głos na Nawrockiego jest konieczny, by zablokować projekt Rafała Trzaskowskiego i Donalda Tuska, postrzegany jako zdecydowanie antykatolicki. Argument ten okazał się wystarczająco przekonujący.

Wybory prezydenckie są zawsze w dużej mierze plebiscytem tożsamościowym. Głosuje się nie tylko na człowieka, którego wizerunek został wykreowany w kampanii, ale także według tego, jakiej wspólnocie samemu się przynależy. Przez ostatnie dekady katolicy w Polsce byli coraz częściej szykanowani i wyśmiewani, co paradoksalnie umocniło poczucie przynależności i wspólnoty. Polityka „odtożsamociwienia”, tj. unifikacji społeczeństw, okazała się zaś jednym z głównych czynników wzmacniających ruchy sprzeciwu wobec Unii Europejskiej i globalizmu.

W Europie Zachodniej środowiska te określa się mianem identytarystów; od angielskiego *identity*, co oznacza „tożsamość”. To one protestują przeciw dalszej integracji w ramach coraz bardziej lewicowego projektu unijnego, przeciwko masowej migracji czy ideologicznemu neomarksizmowi. Zyskują przy tym rosnące poparcie. Podobne nastroje widać u wielu polskich katolików, którzy coraz mocniej sprzeciwiają się narzucanej im przez media i instytucje unijne narracji oraz otwarciu krytykują masową migrację.

Oby prezydent potrafił te nastroje odczytać i potraktować poważnie. To może dać Polakom asumpt do tworzenia środowiska, które zechce zatrzymać Polskę w cywilizacji łacińskiej, choć wydaje się to

dziś horrendalnie trudne? W czasach, gdy wiara wraca do polityki na potęgę – wszak np. USA wspierają Izrael ze względów religijnych (jak pisaliśmy w pierwszym numerze Kwartalnika PCh24) – czy trudno sobie wyobrazić Polskę rządzoną przez katolików, która próbuje urządzić nie tylko wewnętrzne ale może i dyplomatyczne porządki, powołując się na wiarę katolicką? I powołując się wprost na nią?

Przywykliśmy już do pustych haseł o „neutralności światopoglądowej”, pojęciu, które w praktyce nie istnieje i bywa wykorzystywane jedynie jako narzędzie do uciszania katolików aktywnych w życiu publicznym. Tymczasem nic nie stałoby na przeszkodzie, by Polska kierowana przez ludzi odwołujących się do chrześcijaństwa prowadziła politykę zagraniczną zakorzenioną w wierze, stając się miejscem wsparcia, a może nawet schronienia dla coraz bardziej zagrożonych konserwatystów w regionie i na świecie.

ODWAGI, ODWAGI, ODWAGI

Czy naprawdę trudno byłoby wyobrazić sobie nasz kraj jako reprezentanta cywilizacji chrześcijańskiej, broniącego prawa do życia, które w tak wielu państwach jest ignorowane? Mimo istnienia systemów promujących aborcję, idea „prawa do aborcji” wciąż ma licznych przeciwników – czy potrafimy ocenić, jak wielu zwykłych ludzi mogłoby wówczas spojrzeć na Polskę z sympatią? A przecież tak chętnie słuchamy pochwał płynących z zagranicy.

Czy nie dałoby się sobie wyobrazić rządu Rzeczypospolitej, który zabiera głos w obronie osób karanych za sprzeciw wobec ideologii LGBT czy złamanie zasad skrajnej politycznej poprawności? Zyskałoby to nam kolejne grono sojuszników. A państwa dopuszczające się takich praktyk i tak musiałyby współpracować z nami w pozostałych obszarach, tak jak robią to dotychczas.

Albo czy nie moglibyśmy stać się państwem przewodzącym sprzeciwowi wobec prześladowań chrześcijan na świecie, szczególnie w krajach islamskich? Można byłoby wskazywać wiele takich pól działania. Moglibyśmy zyskać nie tylko zagranicznych przyjaciół, ale też

wdzięcznych uchodźców, rzeczywiście potrzebujących pomocy i kulturowo bliższych Polakom, którzy sami zmagają się z kryzysem demograficznym.

Brzmi to chyba rozsądniej niż przyjmowanie niekontrolowanych fal migrantów, czyż nie?

Aby jednak taki scenariusz stał się możliwy, trzeba zauważyć, że na całym świecie religia przestała pełnić jedynie rolę dodatku do polityki. Należy też właściwie rozumieć sens sprawowania władzy nad państwem, którego los bierze się w ręce. Hindusi wiedzą, po co istnieją Indie. Protestanci w USA mają jasną wizję roli swojego państwa. Żydzi doskonale wiedzą, dlaczego potrzebują Izraela.

A my? Który z polskich polityków potrafiłby i odważyłby się dziś odpowiedzieć jasno, po co istnieje Polska? I czy część w miarę konserwatywnych Polaków zechciałaby zjednoczyć się wokół odpowiedzi na to pytanie?

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



KONSTYTUCJA W IMIĘ BOGA

Polska ustawa zasadnicza odwołuje się do Boga, ale w sposób niezwykle słaby. Jest raczej agnostyczna, a powinna być po prostu... katolicka. Dlaczego to tak ważne? O tym piszę w tekście.

PROBLEM Z POLSKĄ KONSTYTUCJĄ

Obecna Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej nie oddaje Bogu sprawiedliwości. Jej zapisy na fundamentalne tematy dotyczące ukierunkowania życia ludzkiego są głęboko niezadowolające. Tekst orzeka:

W trosce o byt i przyszłość naszej Ojczyzny, odzyskawszy w 1989 roku możliwość suwerennego i demokratycznego stanowienia o Jej losie, my, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł...

Konstytucja zakłada zatem, że istnieją dwie grupy ludzkie: wierzący w Boga oraz w Niego niewierzący. Trudno z tym polemizować – taka jest faktycznie nasza rzeczywistość i to bynajmniej nie od dziś. Problem polega jednak na dalszych założeniach, które czyni nasza ustawa zasadnicza. Konstytucja uznaje przecież, że obie te grupy przyjmują uniwersalne wartości, to jest prawdę, sprawiedliwość, dobro, piękno.

W przypadku wierzących takie założenie jest poprawne o tyle, o ile są oni wiernymi Kościoła katolickiego. Kościół głosi przecież takie wartości. Inni wierzący nie muszą już bynajmniej przyjmować akurat tych konkretnych tzw. wartości uniwersalnych, różne wspólnoty religijne mogą podawać wiernym różne wartości. Już więc na tym poziomie Konstytucja okazuje się strukturalnie relatywistyczna. Na tym jednak nie koniec, bo twierdzi się przecież, że również ludzie

niewierzący przyjmują te same tzw. wartości uniwersalne. Takie założenie jest nie tylko ryzykowne, ale też po prostu nieudowodnione.

Po pierwsze, nawet jeżeli wierzący (po katolicku) i nie wierzący rzeczywiście uważaliby, że istnieje coś takiego, jak prawda, sprawiedliwość, dobro czy piękno, to bynajmniej nie muszą pod tymi pojęciami rozumieć tego samego. Bo zapytajmy: czy „dobro” jest dla zaangażowanego katolika tym samym, co dla zagorzałego marksisty? Oczywiście, że nie. Używa się tu wprawdzie tych samych pojęć, ale zbudowanych na całkowicie innej filozofii. W efekcie Konstytucja głosi pięknoduchowskie hasła, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, i są w tym sensie zwyczajnie fałszywe.

Owszem, Konstytucja przywołując „wierzących i niewierzących” nie jako przymusza ich do wspólnego ustalenia zakresu pojęciowego „prawdy”, „sprawiedliwości”, „dobra” i „piękna” – ale w ramach procesu ustalania nie obowiązują żadne określone z góry kryteria. Choć głos wierzących jest tu konieczny, w praktyce może zostać zmarginalizowany do tego stopnia, że to na przykład marksistowska, a nie katolicka czy w ogóle teistyczna wykładnia wymienionych „wartości” stanie się wiodącą.

Tekst Konstytucji ma jednocześnie swoistą zaletę: sama idea podziału społeczeństwa na grupę wierzących i niewierzących jest jak najbardziej trafna. Jak uczy św. Tomasz z Akwinu, człowiek jest istotą nakierowaną na jakiś cel i od tego nakierowania zależy dosłownie wszystko. Innymi słowy, człowiek wierzący jest ukierunkowany na to, w co wierzy. Członek Kościoła katolickiego, o ile świadomie przeżywa i wyznaje swoją wiarę, jest nakierowany na osiągnięcie zbawienia, czyli ma cel leżący poza doczesnością, umieszczony w wieczności (tj. transcendentny). Przez to nie może traktować świata politycznego i społecznego jako absolutu, raczej wszystko postrzega przez pryzmat wewnętrznego ukierunkowania na wieczność.

Zupełnie inaczej jest z człowiekiem, który nie wierzy w Boga. Taki ma cele wyłącznie immanentne, czyli spełniające się w tym, co doczesne.

Ma to swoje przemożne konsekwencje, bo prowadząc działalność polityczną i społeczną, człowiek niewierzący musi z konieczności ograniczać ją do „tu i teraz”, a nic, co czyni, nie ma wiecznych konsekwencji. To dlatego od podziału, który „wprowadza” (choć nie wyciąga z niego prawidłowych wniosków) Konstytucja, zależą fundamenty polityki, jaką prowadzić może Rzeczpospolita.

Różnica między oboma ukierunkowaniami jest absolutnie fundamentalna, a można ją opisać prosto: ludzie wierzący w Boga uważają, że wszystkie ludzkie czyny – również czyny dokonywane w ramach działalności politycznej – można określić jako dobre moralnie jedynie wówczas, gdy zgadzają się z wolą Boga, to znaczy gdy są według Boga sprawiedliwe – w praktyce oczywiście według Jego interpretatorów, to znaczy w przypadku chrześcijaństwa katolickiego wedle nauczania Kościoła.

Ludzie, którzy nie wierzą w Boga, zwykle również uważają, że ludzkie czyny – także te dokonywane w ramach działalności politycznej – posiadają wartość moralną. Mają jednak problem ze ścisłym określeniem tej moralności, ponieważ brakuje im wzorca naprawdę niezmiennego i niezależnego od arbitralności rządzących. Dlatego – jak pokazują, oprócz faktów, również wielkie dzieła pisane naszej kultury – wyznacznikiem tego, co sprawiedliwe i moralnie dobre, zwykle jest u ateistów skuteczność albo też po prostu korzyści uzyskiwane przez faktyczny podmiot polityki.

Jakie to ma konsekwencje praktyczne? Moralność w polityce, która oparta jest na nauce Kościoła jako miarodajnej interpretacji woli Bożej, cechuje się stałością. Kościół uczy na przykład, że zabijanie ludzi jest złe, i nie ma od tej zasady praktycznie żadnych wyjątków, poza ściśle określonymi i od wieków ustabilizowanymi w jego nauczaniu (wojna, kara śmierci, etc.). Wiemy, że to się nigdy nie zmieni, bo nie może się zmienić. Nauczanie Kościoła odnosi się w tym przypadku do niezmiennej matrycy, którą jest ludzka natura nadana człowiekowi przez Boga. Dzięki temu fundamenty polityki państwa nakierowanej na Boga są niesamowicie stabilne i przewidywalne, co stanowi

gigantyczną wartość samą w sobie. Do tego fundamenty takiej polityki są w sposób konieczny nastawione na poszanowanie elementarnych praw ludzkich – prawa do życia, własności i tym podobnych, bo wszystko to jest zakotwiczone w samej naturze rzeczy ustanowionej przez Boga i głoszonej przez Kościół.

Jest faktem, że w pewnych drugorzędnych szczegółach nauczanie Kościoła podlega zmianom. Na przykład raz dozwala się na stosowanie kary śmierci, a raz się tego nie zaleca czy nawet zabrania; raz akceptuje się niewolnictwo, a raz kategorycznie go zakazuje. Te fluktuacje nauki Kościelnej odnoszą się jednak do innej matrycy, niż niezmienna ludzka natura. Odpowiadają raczej na faktyczne zmiany społeczne, które zachodzą niejako „poza” Kościołem. Kiedy w społeczeństwie panowała niska kultura materialna, kara śmierci była rzeczą nie tylko dopuszczalną, ale niekiedy wręcz wskazaną dla faktycznego zaprowadzenia porządku. Dziś kara śmierci nie ma już raczej funkcji porządkującej w sensie technicznym; sprawcę zbrodni można w inny sposób odizolować od społeczeństwa. Tego rodzaju kara ma już wyłącznie aspekt zaprowadzania sprawiedliwości. To rzecz niezwykle istotna, ale może prowadzić (i faktycznie prowadzi) do zmiany oceny zakresu stosowalności kary śmierci. Kościół uczy dziś, że nie należy jej stosować w zasadzie w żadnym przypadku, a wszystko to za sprawą zmiany matrycy społecznej. Wiadomo jednak, że nie może ulec zmiany „bazowe” nauczanie Kościoła na ten temat, to znaczy że kara śmierci jest jako taka (sic) dopuszczalna, ale należy ją w każdym przypadku stosować niezwykle ostrożnie (co zależnie od sytuacji materialnej społeczeństwa i wielu innych czynników oznacza liczbowo większe albo dużo mniejsze zastosowanie, aż do bliskiego zera lub zerowego, tak jak to mamy obecnie).

W przypadku moralności w polityce, która nie odnosi się do Bożego wzorca w interpretacji Kościoła, nie ma zbyt dużej albo zgoła żadnej gwarancji stałości. Podmiot polityczny musi szukać innego źródła – i gdziekolwiek by je nie znalazł, ostatecznie to zawsze sam podmiot polityczny czyni się najwyższym arbitrem tego, co dobre, a co złe. W dalszej części tekstu pokażę to w oparciu o Platona i Hobbesa

w ujęciu teoretycznym, ale można to krótko pokazać na dość oczywistych przykładach historycznych. Rewolucjoniści podczas przewrotu we Francji po 1789 roku dokonywali masowych mordów, także na ludziach obiektywnie całkowicie niewinnych – definiowali ich jednak jako „winnych”, bo sami ustalili kryteria tego, co jest „dobrem”, a co „złem”. W efekcie ludzie, którzy żyli zgodnie z dawnymi zasadami i porządkiem, stali się raptem „przestępcami” i byli karani śmiercią. Gdyby na chwilę założyć niemożliwy przypadek, w którym w ramach rewolucji francuskiej jej przywódcy przestrzegają jednak nauki Kościoła, takie zbrodnicze działania nie byłyby nigdy możliwe (jak i oczywiście sama rewolucja, ale zastrzegam, że czynimy tu niemożliwe założenie). W Niemczech po 1933 roku możliwe stało się z kolei mordowanie ludzi chorych psychicznie albo uznanych za rasowo nieprzydatnych czy szkodliwych. Partia nazistowska porzuciła kryteria oceny człowieczeństwa wynikające z prawa Bożego i podawanego przez Kościół (lub choćby tzw. Kościół luteranski), wprowadzając jako kryterium rozstrzygające zasady rasistowskiej eugeniki. W Rosji po rewolucji 1917 roku, podobnie jak wcześniej we Francji, całkowicie zmieniono rozumienie tego, co jest przestępstwem, a do tego kategorycznie zanegowano transcendentne przeznaczenie człowieka. W efekcie morderstwa stały się nie tylko masowe, ale również „usprawiedliwione” bolszewicką filozofią.

Ktoś powie, że to skrajne przykłady – a przecież prawdziwe, zaś skutki tych trzech form rządów były gigantyczne i katastrofalne. Można argumentować, że dziś podobnie gigantycznym i katastrofalnym skutkiem jest masowe uśmiercanie dzieci poczętych – podmioty polityczne wielu krajów uznały, że o tym, kiedy zaczyna się życie ludzkie i kiedy można je przerwać, nie decyduje wcale Bóg czy Kościół, ale... inne kryteria. W niektórych krajach są to kryteria eugeniczne (Polska), w innych emancypacyjno-feministyczne (Francja, Stany Zjednoczone, Niemcy), w innych także socjotechniczne (np. Chiny). Gdyby podstawą polityki stała się wiara w Boga, zabijanie dzieci nie narodzonych nie byłoby możliwe.

PLATON I SPRAWIEDLIWOŚĆ

Postaram się teraz pokazać teoretyczne założenia problemu, o którym tu mowa, wychodząc od zaledwie kilku klasycznych tekstów.

W *Państwie* Platona Sokrates zastanawia się nad tym, czym istnieje sprawiedliwość. Zarysowuje ją wstępnie jako to, co służy dobru ogółu. Nie zgadza się z tym jednak filozof z Chalcedonu, Trazymach, który definiuje pojęcie sprawiedliwości krótko i konkretnie. „Ja twierdzę, że to co sprawiedliwe, to nic innego, jak tylko to, co leży w interesie mocniejszego!”, stwierdza.

W dalszej części Trazymach wykazuje, że w interesie mocniejszego leży to, co ogół uważa za niesprawiedliwe, dlatego chwala niesprawiedliwość jako prawdziwą sprawiedliwość. Mówi: „A najłatwiej się o tym przekonasz, jeśli weźmiesz pod rozwagę niesprawiedliwość najdoskonalszą; ta czyni najszcześliwszym człowieka, który się dopuścił niesprawiedliwości, a skrzywdzonych i tych, którzy się krzywd dopuszczać nie chcą, skazuje na nędzę ostatnią. To jest dyktatura. Ona nie po małym kawałku cudze dobro zagrabia; i po cichu, i gwałtem; i święcone i niepoświęcone, prywatne czy publiczne – wszystko razem”. I dalej: „Krzywda i niesprawiedliwość robiona, jak się należy [czyli na potęgę – red.] – jest oznaką większej mocy i jest czymś bardziej szlacheckim i pańskim niż sprawiedliwość”.

Trazymach może tak twierdzić, bo nie poszukuje źródła sprawiedliwości w niczym, co przekracza doczesność. Nawet jeżeli przyjmuje istnienie bogów, to uważa, że nie interesują się ludźmi, a co za tym idzie, nie ma dla niego żadnego źródła „prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna” – albo też nie ma w ogóle żadnej prawdy, sprawiedliwości, dobra ani piękna. Jest tylko interes tego, kto ma siłę i kto potrafi zdobyć panowanie.

Mniej więcej ten sam pogląd przedstawia Kalikles w innym dialogu platońskim, *Gorgiaszu*. W następujący sposób definiuje on sprawiedliwość: „Natura sama pokazuje, że sprawiedliwie jest, aby jednostka lepsza miała więcej niż gorsza, i potężniejsza więcej niż słabsza.

A objawia to na wielu miejscach, że tak jest, i w stosunkach między zwierzętami innymi, i u ludzi między całymi państwami i rodami, że tak się osądza to, co sprawiedliwe: aby człowiek silniejszy władał nad słabszym i posiadał więcej niż on”.

Na marginesie warto odnotować, że słowa Kaliklesa budzą zainteresowanie w kontekście oskarżeń formułowanych pod adresem zbrodniarzy nowoczesności, zwłaszcza hitlerowców. Twierdzi się wszakże, że byli darwinistami społecznymi. To częściowo być może prawda, jednakże Kalikles pokazuje, że zasady „darwinizmu społecznego” są znacznie wcześniejsze, niż sam ten nowożytny pogląd jako taki. To po prostu przeniesienie panowania czystej przemocy ze świata zwierząt na świat ludzi, przy wyłączeniu transcendentnych źródeł moralności. Darwina do tego nie potrzeba.

Dalej Kalikles stwierdza lapidarnie: „Wszelkie inne dobra gorszych i słabszych należą do lepszych i mocniejszych. Otóż prawda tak wygląda”. Spierający się z nim Sokrates argumentuje na rzecz innego rozumienia sprawiedliwości, toteż w pewnym punkcie odwołuje się do bogów. Nie czyni ich wprawdzie źródłem sprawiedliwości (*fons iustitiae*), ale stawia w pozycji swoistego lustra sprawiedliwości (*speculum iustitiae*). Stwierdza również, że człowiek zostanie osądzony zgodnie z pewnym wzorcem i ideą sprawiedliwości, która jest uniwersalna i miła bogom. Nie powinno nas dziwić, że Sokrates sięga po bogów, gdyż argumentację Kaliklesa – podobnie jak przedstawioną wcześniej argumentację Trazymacha – w istocie trudno jest odeprzeć w jakikolwiek inny sposób. Paradygmat immanentny (absolutna doczesność) może zostać skutecznie i gruntownie przewyżczony tylko przez paradygmat transcendentny (spełnienie człowieka we wieczności).

Nowocześnie podejmuje się wprawdzie próby budowania kontrargumentów dla teorii polityki siły Kaliklesa/Trazymacha, na przykład poprzez różne koncepcje utylitarne, w myśl których rezygnacja z tej polityki jest ostatecznie korzystniejsza dla każdego. Jest to jednak obarczone uznaniowością. Co więcej, nawet jeżeli społeczeństwu jako ogółowi bardziej służy polityka umiarkowania niż polityka siły,

argument ten nie ma znaczenia dla jednostki-tyrana albo dla wąskiej grupy-tyrana. Bezbożny dyktator albo bezbożna partia mogą wiedzieć, że działają na szkodę wspólnoty, lecz opierając się na własnej sile i zdolności do zdobycia i zabezpieczenia własnego panowania, po prostu się tym w ogóle nie przejmować. Inne próby to wypracowanie „etyki światowej” (niem. *Weltethos*, projekt Hansa Künga), czyli wywiedzenie niezmiennych prawideł międzyludzkich z tego, co powszechnie uznaje się za tzw. wartości uniwersalne. Także tutaj nie da się jednak uniknąć arbitralności, a w kwestiach szczegółowych, takich jak rozumienie początku życia czy eutanazja, nie znajdziemy się w ogóle żadnej powszechnej zgody. Dlatego politykę brutalnej siły może ograniczyć tylko Bóg. Ważne jednak, żeby był to... Bóg „katolicki”.

DLACZEGO MUSI TO BYĆ BÓG „KATOLICKI”

W 1651 roku angielski filozof i pisarz, Tomasz Hobbes, ogłosił drukiem *Lewiatana*. Książka zaczyna się od opisu tego, co nazwano *stanem natury*, a co w gruncie rzeczy odpowiada deskrypcji międzyludzkich stosunków u Trazymacha i Kaliklesa. Hobbes analizuje również zależność pomiędzy religią a państwem, tym samym, wbrew swoim intencjom, doskonale wyjaśniając, dlaczego dla dobra wszystkich konieczne jest przyjęcie autorytetu biskupa Rzymu. W pierwszej kwestii Hobbes stwierdził:

„W takim stanie nie masz miejsca na pracowitość, albowiem niepewny jest owoc pracy; i co za tym idzie, nie masz miejsca na obrabianie ziemi ani na żeglownictwo [...] nie ma wygodnego budownictwa [...], nie ma wiedzy o powierzchni ziemi ani obliczania czasu, ani sztuki, ani umiejętności, ani sztuki słowa, ani społeczności. A co najgorsze, jest bezustanny strach i niebezpieczeństwo gwałtownej śmierci. I życie człowieka jest samotne, biedne, bez słońca, zwierzęce i krótkie”.

Hobbesowski stan natury jest opisem rzeczywistości „przedpolitycznej”, to znaczy opisem sytuacji, w której nie ma jeszcze państwa, nie ma żadnej władzy. Taki świat funkcjonuje w istocie wyłącznie w oparciu o prawo siły. Można powiedzieć, że stwarza idealne warunki dla prostej wersji realizacji polityki siły Trazymacha/Kaliklesa, to znaczy

rządów mocniejszego, który bierze wszystko, co może do niego należeć na podstawie „naturalnego” przewyższania słabszych.

Drugi fragment dotyczy już bezpośrednio kwestii Boga. Hobbes był, przypomnijmy, protestantem. Dlatego określa Lewiatana mianem „boga śmiertelnego”, bo to właśnie Lewiatanowi, czyli państwu, przypisuje najwyższy ziemski autorytet i z państwa czyni podmiot interpretujący Boga. Czyni tak z prostej przyczyny. Rewolucja Marcina Lutra usunęła papiestwo jako autorytet w krajach, w których został zaprowadzony protestantyzm. W konsekwencji zastąpił go jedyny dostępny autorytet: władza świecka. Księżę stanął w miejscu Boga, to znaczy – przejął powszechność autorytetu władzy. Anglikanin Hobbes o tej zależności religii od państwa pisze w *Lewiatanie* następująco:

„Gdyby więc ktoś zapytał jakiegoś pasterza, gdy ten wykonuje swe funkcje, tak jak najwyżsi kapłani i starsi ludu zapytali naszego Zbawiciela (Mateusz 21, 23): jaką mocą to czynisz i kto ci dał taką władzę, to pasterz ten nie mógłby dać innej odpowiedzi słusznej niż ta, że czyni to z władzy państwa, którą mu dał król czy też zgromadzenie, co je reprezentuje. Wszyscy pasterze, z wyjątkiem najwyższego [najwyższy, czyli król – nie papież – P. Ch.], wykonują swe funkcje z mocy uprawnienia, które przynależy władzy suwerena państwowego, to znaczy wykonują je jure civili. Król natomiast i każdy inny suweren wykonuje swój urząd najwyższego kapłana [sic – P. Ch.] na mocy bezpośredniego upoważnienia, jakie otrzymuje od Boga, to znaczy na mocy uprawnienia danego od Boga, czyli jure divino. A wobec tego królowie jedynie mogą dodawać do swoich tytułów dei gratia rex i tak dalej, co jest oznaką ich poddania się jedynie władzy Boga. Biskupi na początku swoich orędzi winni mówić: z łaski majestatu królewskiego biskup takiej a takiej diecezji, albo też, podobnie jak słudzy państwowi: w imieniu majestatu królewskiego. Mówiąc zaś: divina providentia, co znaczy tyle, co dei gratia, zaprzeczają oni, choć w sposób zamaskowany, iż otrzymali swą władzę od państwa świeckiego; i chytrze zsuwają ze swej szyi obrożę swej zależności państwowej, co jest niezgodne z jednością i obronnością państwa”.

Jest to obraz konieczny w perspektywie protestanckiej, a tak naprawdę – również w każdej perspektywie niekatolickiej. Na przykład w świecie islamskim najwyższy autorytet spoczywa na władzach państwowych, a Mahomet łączył w swojej osobie jedno z drugim. Usunięcie autorytetu biskupa Rzymu, nawet przy deklarowanej wierze w Boga, ostatecznie usuwa nas z perspektywy wieczności i zamyka w „tu i teraz”, co siłą rzeczy wynosi państwo do roli Lewiatana – tego „boga śmiertelnego”. Tego należy tymczasem kategorycznie unikać – nie tylko z przyczyn teoretycznych, ale również z powodu obserwacji historii totalitaryzmów. Kierownictwo NSDAP odwoływało się do Boga, ale twierdziło, że to ono wie, czego Bóg chce. Żołnierze Wehrmachtu, narzędzia ludobójczej ideologii rasowej, nosili klamry z napisem „Bóg z nami” – problem w tym, że nie był to Bóg Kościoła katolickiego, lecz Bóg Adolfa Hitlera. Takie fundamentalne wypaczenia mogą się powtórzyć. Poniżej już się powtarzają, czego dowodzi choćby aborcyjne ludobójstwo dekretowane czy umożliwiane przez współczesnego liberalnego Lewiatana – bywa przecież, że podmiot polityczny głosi legalność zbrodni aborcyjnej, odwołując się do ludzkiej wolności nadanej przez Boga. Kiedy to nie papież w Kościele jest uznawany za „głos Boga” na ziemi, lecz doczesny władca – faktycznie wszystko staje się możliwe.

ŚW. TOMASZ Z AKWINU

Przejdźmy teraz do czysto pozytywnego wykładu dotyczącego właściwego ukierunkowania celu polityki, tak jak przedstawił go św. Tomasz z Akwinu w traktacie *De regno*. Cytaty podaję we własnym tłumaczeniu. Najpierw Tomasz mówi o zasadzie, która kieruje ludzkim życiem. W jego ujęciu taka zasada kierownicza jest po prostu nieodzowna.

„We wszystkich rzeczach, które są uporządkowane w stronę celu, gdzie ten lub inny kierunek może zostać przyjęty, potrzebna jest jakaś zasada kierownicza, dzięki której właściwy cel może zostać osiągnięty najbardziej bezpośrednią drogą. Na przykład statek, który porusza się w różnych kierunkach zgodnie z ruchem zmieniających się wiatrów, nigdy nie dotarłby do celu, gdyby nie został doprowadzony do portu przez umiejętność sternika. Zatem człowiek ma cel, do którego zmierza całe jego życie i wszystkie jego działania, ponieważ człowiek jest

inteligentnym podmiotem, a działanie z myślą o celu jest niewątpliwie częścią inteligentnego podmiotu. Podobnie ludzie przyjmują różne metody w dążeniu do proponowanego przez siebie celu, na co wyraźnie wskazuje różnorodność ludzkich dążeń i działań. W związku z tym człowiek potrzebuje jakiejś zasady, która poprowadzi go do celu”.

Następny cytat doskonale pokazuje różnice pomiędzy polityką rozpoznającą cel nadprzyrodzony człowieka a polityką, która tego celu nie rozpoznaje:

„Rządzić oznacza prowadzić rządzoną rzecz w odpowiedni sposób do jej właściwego celu. Tak więc mówi się, że statek jest zarządzany, gdy dzięki umiejętnościom sternika zostaje doprowadzony bez szwanku i bezpośrednią drogą do portu. W związku z tym, jeśli rzecz jest skierowana do celu poza sobą (jak statek do portu), obowiązkiem zarządcy jest nie tylko zachowanie rzeczy bez szwanku, ale także poprowadzenie jej do tego celu. Jeśli, przeciwnie, istnieje rzecz, której cel nie znajduje się poza nią samą, wówczas wysiłki zarządcy będą miały na celu jedynie zachowanie rzeczy nieuszkodzonej w jej właściwej doskonałości”.

Innymi słowy, nawet jeśli uzna się, że rządzący będzie respektować ogólne normy prawa naturalnego, to w perspektywie ateistycznej jego obowiązkiem jest wyłącznie zachowanie wspólnoty. Państwo staje się minimalne i sprowadza się do roli stróża nocnego. Jeżeli jednak człowiek ma cel nadprzyrodzony, to taki cel ma również państwo, jako złożenie ludzi; wówczas obowiązkiem rządzącego jest nie tylko zachować wspólnotę, ale także prowadzić ją ku temu celowi.

Jaki jest cel życia ludzkiego, a co za tym idzie – życia państwowego? Doktor Anielski odpowiada:

„Albowiem ludzie tworzą grupę w celu dobrego wspólnego życia, czego pojedynczy człowiek żyjący samotnie nie mógłby osiągnąć, a dobre życie to cnotliwe życie. Dlatego cnotliwe życie jest celem, dla którego ludzie gromadzą się razem. Jednak poprzez cnotliwe życie człowiek jest dalej przeznaczony do wyższego celu, który polega na cieszeniu

się Bogiem, jak powiedzieliśmy powyżej. W związku z tym, ponieważ społeczeństwo musi mieć ten sam cel, co pojedynczy człowiek, ostatecznym celem zgromadzonego tłumu nie jest cnotliwe życie, ale poprzez cnotliwe życie osiągnięcie posiadania Boga”.

Z tego wynika następujący obowiązek rządzącego:

„Dlatego, ponieważ błogosławieństwo nieba jest końcem tego cnotliwego życia, które prowadzimy obecnie, do urzędu króla należy promowanie dobrego życia tłumów w taki sposób, aby nadawało się ono do osiągnięcia niebiańskiej szczęśliwości, to znaczy, że powinien on nakazywać te rzeczy, które prowadzą do szczęścia w niebie i, na ile to możliwe, zabraniać czegoś przeciwnego”.

Ma to ogromne znaczenie dla praktycznego ułożenia stosunków społecznych, a także konkretnych działań polityki. W perspektywie teistycznej rządzący nie tylko może, ale i powinien prowadzić społeczeństwo, tak aby maksymalizować jego zdolność do życia zgodnie z transcendentnym celem. Może to oznaczać – by sięgnąć do polskiego kontekstu – zakaz handlu w niedzielę, zakaz stosowania narkotyków, budowę społecznego systemu opieki socjalnej nad ludźmi ciężko chorymi i tak dalej.

INNE KONSTYTUCJE

Można powiedzieć, że polska konstytucja jest agnostyczna. Stawia, że Bóg albo istnieje, albo nie istnieje, zależnie od opinii obywateli. Co ciekawe, nie wszystkie współczesne zachodnie konstytucje traktują tę sprawę w ten sam sposób. Jako przykład można wręcz podać konstytucję Republiki Federalnej Niemiec. *Grundgesetz* zaczyna się od słów: „Mając świadomość swojej odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi [...], Naród Niemiecki mocą swojej władzy ustrojodawczej...”. Niemiecka ustawa zasadnicza nie pozostawia wątpliwości co do istnienia Boga. Choć nie określa Go w perspektywie katolickiej ani nawet chrześcijańskiej, jest jednak zdecydowanie teistyczna. Jak starałem się udowodnić, to jeszcze za mało, aczkolwiek i tak więcej, niż w polskiej konstytucji.

Zdecydowanie lepiej od Niemców uobecnili Boga w konstytucji Węgry. Przyjęta w 2011 roku ustawa zasadnicza Madziarów zaczyna się od słów: „Boże, błogosław Węgrów”; dalej mówi o „odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi”, wyraża „uznanie” dla „roli chrześcijaństwa w przetrwaniu narodu” i prezentuje „dumą” z faktu włączenia Węgier przez św. Stefana do „chrześcijańskiej Europy”. Konstytucja węgierska jest zatem nie tylko teistyczna, ale również wyraźnie chrześcijańska – choć już nie katolicka.

W pewnym sensie dalej idzie konstytucja Irlandii, przyjęta jeszcze w 1937 roku. Zaczyna się bowiem od słów: „W imię Trójcy Przenajświętszej, od Której pochodzi wszelka władza i do Której muszą być skierowane – jako cel ostateczny – wszelkie ludzkie uczynki i działania państwowe”. Dokument stawia też obowiązki obywateli Irlandii „wobec naszego Świętego Pana, Jezusa Chrystusa”. Gdyby Irlandczycy przestrzegali własnej konstytucji, musieliby odnosić wszystkie prawa stanowione do Chrystusa, co oczywiście pozostawiałoby jeszcze otwartym problem właściwej interpretacji woli Bożej. Do jej wskazania zdecydowanie potrzebny byłby Kościół.

Gdyby polska konstytucja przyjęła otwarcie teistyczną czy wręcz wyraziście chrześcijańską optykę, nie byłoby to zatem niczym dziwnym w świecie Zachodu. Z drugiej strony, argument ten jest czymś drugorzędnym, ponieważ tworząc nową konstytucję wcale nie musimy oglądać się na innych. Warto spojrzeć przede wszystkim we własną historię. Przecież Konstytucja 3 maja została uchwalona „w imię Boga w Trójcy Świętej Jedyne”, a co więcej – i to właśnie ma ogromne znaczenie – określiła „świętą rzymską katolicką” wiarę jako „religię narodową panującą”. Późniejsze konstytucje – marcowa (1921) i kwietniowa (1935) – również odwoływały się do Boga, aczkolwiek nie tak jasno, jak Konstytucja 3 maja.

KRÓTKI WNIOSEK

Oczywiście formuły konstytucyjne nie działają same z siebie – można zapisać wszystko, a niczego nie przestrzegać. Niemniej jednak wprowadzenie do konstytucji zapisów oddających należną sprawiedliwość

Bogu i Kościołowi, choć nie gwarantuje zachowania w kraju właściwego porządku, byłoby długoterminowo elementem twórczym dla naszej polskiej cywilizacji, a krótkoterminowo prowokowałoby pogłębianą debatę nad fundamentalnymi zadaniami stojącymi przed polską państwowością.

Nie należy spodziewać się, że w obecnych warunkach możliwe będzie uchwalenie konstytucji, która definiowałaby wiarę katolicką jako panującą – na przeszkodzie stoi nie tylko sytuacja polityczna w Polsce, lecz także stanowisko Stolicy Apostolskiej, która stroni od takich rozwiązań i wobec których mogłaby przynajmniej zakulisowo protestować.

Można jednak rozważyć odwołanie się do Pana Boga na modłę węgierską, z pewnym ulepszeniem, czyli wprowadzeniem do naszej konstytucji zapisu o „wiodącej” roli wiary katolickiej.

Nawet to może być bardzo trudne, ale potrzebna jest w tej sprawie poważna debata, a przede wszystkim konkretne propozycje i działania. W obecnej, agnostycznej formie polska konstytucja formalnie naraża państwowość i społeczeństwo na ryzyko owładnięcia przez różne ideologie, nawet jeśli istnieją pewne ograniczenia. Odwołanie się do „prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna”, wywodzonych przez jednych od Boga, a przez innych z innych źródeł, implikuje konieczność uzgodnienia znaczenia tych wartości, co zakłada udział czynnika teistycznego w procesie porozumienia i całkowicie wyklucza ateistyczne ułożenie polskiego życia.

Niemniej, brak jakiegokolwiek odniesienia do chrześcijaństwa, szczególnie katolickiego, stanowi tutaj bardzo istotny mankament, gdyż sam teizm to jeszcze za mało, by dać przynajmniej formalną gwarancję dla zachowywania faktycznie naturalnych praw człowieka, z prawem do życia od poczęcia do naturalnej śmierci na czele.

Postawmy więc naszą konstytucję wobec Boga w Trójcy Świętej. Dokładnie tak, jak uczy tego Kościół katolicki.

 WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

WOJNA KULTUROWA OZNACZA W ISTOCIE WALKĘ DUCHOWĄ

Religia nie jest czymś danym raz na zawsze i musi być potwierdzana na nowo w każdym pokoleniu, które musi stoczyć bój o własną wiarę. Katolicyzm w Polsce będzie trwał tak długo, jak długo Polacy będą chcieli być katolikami – mówi Grzegorz Górny, pisarz, reżyser i publicysta katolicki.

W mijającym roku przeżywaliśmy tysiąclecie koronacji Bolesława Chrobrego i Mieszka II Lambert. W swojej książce „Duchowa historia Polski. Milenium dwu koronacji 1025-2025” wskazuje Pan na losy Rzeczypospolitej przez pryzmat nie tylko polityczny i gospodarczy, ale również religijny i duchowy. To nie jest wizja państwa jako bytu czysto politycznego, ale jako wspólnoty duchowej i kulturowej. Dlaczego uznał Pan, że w taki sposób należy przedstawić historię Polski?

Zdecydowałem się na taką formułę wychodząc przede wszystkim od faktu, kim jest człowiek. Na naszą egzystencję składa się bowiem kilka wymiarów. Oprócz fizycznego, psychicznego, uczuciowego czy społecznego, istnieje również wymiar duchowy.

Dzisiaj, niestety, dominuje redukcjonistyczna antropologia. Sprowadza ona człowieka jedynie do roli społecznej – czyli obywatela, konsumenta, wyborcy, podatnika etc. – albo jedynie do sfery biologicznej – czyli człowiek jest organizmem, którego potrzeby należy zaspokajać. Kiedy się to czyni, organizm dobrze funkcjonuje, a jeśli nie, to wtedy szwankuje. Brakuje natomiast uwzględnienia sfery duchowej, która w sumie decyduje o naszym jestestwie, człowieczeństwie, niepowtarzalności naszego gatunku jako ludzi. To jest właśnie ten wymiar, który najmocniej odróżnia nas od pozostałego świata przyrody ożywionej.

Gdyby kogoś z nas opisywano mówiąc, że składa się z 60 procent wody, 20 proc. białka, 15 proc. tłuszczów i 5 proc. minerałów, to pewnie byłaby to prawda, ale czy sami byśmy się rozpoznali w takim ujęciu sprawy? Czy przekazywałoby ono całą pełnię prawdy o nas? Oczywiście, że nie.

Podobnie jest, gdy opisujemy naród wyłącznie z perspektywy politycznej, społecznej, gospodarczej czy militarnej. Wówczas redukujemy ten portret zbiorowy. Dlaczego? Ponieważ to ludzie tworzą narody, a znaczy to, że wnoszą oni do tej wspólnoty swoje jednostkowe doświadczenia, które z poziomu indywidualnego zostają przeniesione na poziom grupowy.

Biorąc to pod uwagę, wydaje się, że nie sposób mówić również o państwie bez elementu kulturowego czy językowego?

Spoiwem narodu jest wspólny język, kultura czy pamięć zbiorowa, które składają się na poczucie wspólnoty. Wszystko to należy zaś do szeroko rozumianego świata duchowego. Zauważyłem, że w dzisiejszej historiografii brakuje takiego ujęcia. Dominująca dziś perspektywa redukcjonistyczna obejmuje nie tylko antropologię, lecz także nauki historyczne. W związku z tym uznałem, że dobrze byłoby przedstawić szerszemu gronu odbiorców również inną, bogatszą perspektywę, uwzględniającą pryzmat duchowy.

Jesteśmy zgodni co do tego, że państwo polskie powstało w 966 roku, gdy Mieszko I przyjął chrzest. Wielokrotnie pojawiały się jednak takie tezy, że istniało ono również przed chrztem i było tworem przedchrześcijańskim, pogańskim, ale jednocześnie wyposażonym w pewną państwową infrastrukturę. Pan temu zaprzecza i wskazuje, że Polskę ukonstytuował Chrzest. Jak rozumiem, nie możemy, wobec tego mówić o państwie polskim jako państwie pogan, państwie przedchrześcijańskim?

Teza o tym, że Polska istniała na długo przed chrztem Mieszka I, nie ma pokrycia w źródłach historycznych. Owszem, istniały różne żywioły etniczne na tych ziemiach przed ukonstytuowaniem się

państwa polskiego, ale to były pewne byty plemienne, tworzące różnorodną mozaikę szczepową, bez wspólnej struktury.

Jeżeli natomiast mówimy o jednoczeniu się plemion słowiańskich w jednym organizmie zbiorowym, który później przyjął nazwę Polski, to jego początków należy szukać właśnie w czasach panowania Mieszka I. Pod tym względem różnimy się od Rusi, Węgrów, Litwinów czy innych narodów. Tam chrześcijaństwo dotarło w momencie, gdy ich państwa funkcjonowały już jako uformowane, okrzepłe byty polityczne. W naszym przypadku było inaczej. Chrześcijaństwo od samego początku współtworzyło polską państwowość. Można powiedzieć, że to katolicyzm nadał polskości jej formę.

Czy można powiedzieć, że katolicyzm znajduje się w samym sercu, w DNA tego organizmu zbiorowego, jakim jest Polska?

Można powiedzieć, że katolicyzm znajdował się wręcz u poczęcia tego organizmu. To nas odróżnia od innych krajów. Zauważmy zresztą, że nawet niewierzący historycy, będący daleko od Kościoła, gdy piszą o początkach państwowości polskiej, używają określenia „Chrzest Polski”. Czyli nawet oni przyjmują tę logikę, która sytuuje prapoczątki państwa polskiego równolegle z chrześcijaństwem i chrystianizacją Polski.

Kilka lat temu przeżywaliśmy 1050. rocznicę Chrztu Polski. Wówczas pojawiały się sugestie, że Mieszko I przyjmował go przede wszystkim w celach politycznych, aby stworzyć państwo, ukonstytuować je, zbudować pewną podmiotowość i siłę na arenie międzynarodowej. Natomiast amerykański historyk żyjący w Polsce – Philip E. Steele mówi o tym, że Mieszko I przyjął chrzest, bo się po prostu nawrócił i uwierzył w Jezusa Chrystusa. To ciekawa teza, której na próżno szukać w mainstreamie.

Kiedys nieżyjący już o. Jan Góra, stojąc na Polach Lednickich powiedział, że właśnie w tym miejscu zaczęło się państwo polskie, gdy Mieszko I zaprosił do swojego księstwa Jezusa Chrystusa. W ujęciu Philipa E. Steele’a, nie było w tym kaznodziejskiej przesady. Postawił

on mianowicie tezę, że za przyjęciem chrześcijaństwa stała rzeczywistość decyzja religijna, a nie tylko polityczna. Książę Polan kierował się wówczas motywacją nadprzyrodzoną, a nie tylko chłodną kalkulacją zysków i strat. Warto odnotować, że Steele – Amerykanin i ewangelik – postawił taką tezę w nowożytnych czasach jako pierwszy, zanim uczynił to głośno jakikolwiek Polak-katolik.

Jakie są przesłanki do tego, aby twierdzić, że Mieszko I autentycznie, wewnętrznie sam się nawrócił na chrześcijaństwo, a jego decyzja nie była tylko kierowana względami politycznymi?

Philip E. Steele w swojej książce „Nawrócenie i chrzest Mieszka I” obala argumenty mówiące o pobudkach politycznych księcia Polan, pokazując ich niespójność. Następnie odwołuje się do mentalności władcy tamtego miejsca i tamtego czasu. Odrzuca dominujący u nas „model Burckhardtowski”, który zakłada, że za każdą decyzją religijną kryją się zimne kalkulacje polityczne. Autor pokazuje, że takie podejście jest wymysłem czasów postoświeceniowych, zlaicyzowanych i scjentystycznych. Zwraca uwagę, iż często na okres średniowiecza patrzymy przez okulary współczesnego racjonalizmu i materializmu. A były to przecież czasy bardzo religijne. Jeżeli z czymś wówczas przesadzano, to raczej z magią i zabobonami niż z racjonalizowaniem wierzeń religijnych. W związku z tym, mówiąc o chłodnym wyrachowaniu, którym miał się kierować Mieszko I, przystępując do chrztu, dokonujemy nadinterpretacji. Warto dodać, że taka właśnie zsekularyzowana wizja była rozpowszechniana przez władze komunistyczne. Te nie dowartościowywały wymiaru religijnego w życiu społecznym. Natomiast w tamtych czasach rzeczywistość duchowa porządkowała rzeczywistość polityczną. Dominowało myślenie w kategoriach religijnych. Wiele decyzji politycznych wynikało z wierzeń.

A zatem przyjęcie chrztu przez Mieszka I, jego autentyczne nawrócenie na chrześcijaństwo mogło być procesem naturalnym?

Oczywiście, nie jest to udowodniony pewnik. Mieszko I nie pozostawił nam swoich pamiętników, opisujących wewnętrzne dylematy

i rozterki. Przyjęcie przez niego chrześcijaństwa z pobudek duchowych wydaje się jednak całkowicie logiczne z duchem tamtych czasów i ówczesną mentalnością. Wpisuje się w religijność omawianego przez nad okresu: naturalną a zarazem transakcyjną. Często można się było spotkać wówczas z następującym nastawieniem: my składamy bogom ofiary, a w zamian uzyskujemy od nich protekcję. Takie myślenie nakładano także na Boga chrześcijan. Zauważmy, że kiedy Mieszko I oraz Bolesław Chrobry odnosili sukcesy polityczne, to wśród ludu wiara rozwijała się. Gdy jednak za Mieszka II nastąpił kryzys państwa, doszło do recydywy pogańskiej. Po prostu część poddanych, w tym dawne elity, zinterpretowała pasmo porażek jako dowód na nieskuteczność „nowego Boga” i wezwała do powrotu do „starych bogów”, którzy kiedyś się rzekomo sprawdzili. Tak więc, podsumowując: scenariusz nakreślony przez Philipa Steele’a odpowiada mentalności ludzi tamtych czasów i bardziej do nich pasuje niż taki czysto racjonalistyczny, scjentystyczny światopogląd, widzący w każdej decyzji politycznej zimną kalkulację.

W swojej książce pt. „Duchowa historia Polski. Millenium dwu koronacji 1025–2025” mówi Pan o „sakramentalnej historii Polski”. Zwraca Pan uwagę, że sakramenty dotyczą ludzi indywidualnie, ale mimo wszystko mówimy o „chrzcie Polski” czy „chrzcie Francji”. Wobec tego czy w historii Polski znajdziemy również moment bierzmowania, Eucharystii czy pokuty i pojednania?

Postanowiłem podążać tym tropem i odnieść do dziejów Polski nie tylko wydarzenie chrztu Mieszka I oraz jego dworu, lecz także spróbować zlokalizować w historii naszego kraju również inne momenty, które można byłoby przyporządkować do pozostałych sakramentów. Tutaj z pomocą przyszedł mi Jan Paweł II, który podczas swojej pielgrzymki do Polski w 1979 roku, będąc na krakowskich Błoniach wyciągnął przed siebie dłonie i w obliczu dwóch milionów ludzi zgromadzonych na wspólnej modlitwie powiedział, że w tym właśnie momencie dokonuje symbolicznego aktu bierzmowania dziejów Polski. To było zupełnie unikalne wydarzenie, ponieważ nikt wcześniej nie słyszał o bierzmowaniu historii jakiegoś narodu. Jan Paweł II wiązał

to jednak z konkretnym wydarzeniem, czyli z męczeństwem biskupa krakowskiego św. Stanisława ze Szczepanowa, którego 900. rocznicę śmierci wówczas obchodzono.

Bierzmowanie jest sakramentem dojrzałości chrześcijańskiej. Papież powiązał wtedy męczeńską śmierć św. Stanisława z osiągnięciem przez Polaków dojrzałości chrześcijańskiej. Kiedy doszło bowiem do zamordowania biskupa na rozkaz króla Bolesława Śmiałego, wówczas elity państwa wypowiedziały posłuszeństwo władcy, rozpoznając w jego czynie zło moralne. Monarcha się temu podporządkował i zgodził na banicję. Nie znamy żadnych przekazów, które mówiłyby, że próbował się przeciwko temu werdyktowi buntować, stawiać opór lub wszczynać wojnę domową. Zdaniem Jana Pawła II, ujawniła się wówczas dojrzałość chrześcijańska zarówno polskiej wspólnoty politycznej, jak i samego króla, który zrozumiał swój grzeszny czyn i zdecydował się pokutować za zbrodnię księżobójstwa. W swej książce staram się więc przyłożyć siedem sakramentów do poszczególnych wydarzeń z historii naszego kraju, żeby pokazać sakramentalny wymiar życia zbiorowego.

W tym kontekście warto wspomnieć, że tak jak u początków Korony Polskiej znajdował się sakrament chrztu, to u źródeł Rzeczypospolitej Obojga Narodów leżał inny sakrament, a mianowicie małżeństwo. Chodzi oczywiście o ślub królowej św. Jadwigi i wielkiego księcia Jagiełły. To wydarzenie dało początek unii Królestwa Polskiego oraz Wielkiego Księstwa Litewskiego, czyli nowego bytu politycznego, który przetrwał ponad dwieście lat. To pokazuje, jak łożo małżeńskie może być miejscem uprawiania polityki – i to polityki skutecznej, ponieważ powstały w ten sposób organizm był w pewnym momencie największym krajem w Europie, liczącym około miliona kilometrów kwadratowych.

A czy upadki państwa polskiego po pierwszym, drugim czy trzecim rozbiore wiąże Pan również z jakimś momentem upadku duchowego Polaków żyjących w tamtym czasie? Może upadkiem moralnym?

Rzeczywiście, widzimy tutaj pewne sprzężenie zwrotne. Okresom odrodzenia duchowego Polski towarzyszył wzrost świadomości narodowej. Z drugiej strony okresom kryzysu duchowego towarzyszyła zapaść polityczna. W sumie to nic w tym dziwnego, ponieważ religia obok rodziny jest drugim najważniejszym źródłem kapitału społecznego. Dobro Rzeczypospolitej zależy natomiast nie tylko od cnót obywatelskich, lecz także od cnót kardynalnych.

Kryzysy religijne mają swoje odbicie w życiu codziennym. Gdy zamiast cnót rozpleniają się przywary, gdy tworzą się całe struktury grzechu, gdy ludzie nie mają wstydu ani bojaźni Bożej, to zapaść moralna psuje życie społeczne. W tym kontekście można dostrzec *iunctim* między kryzysem duchowym Kościoła w Polsce w XVIII wieku, a upadkiem naszej państwowości w tym czasie.

W swojej wizji dziejów Polski zwraca Pan uwagę na ważne momenty historyczne, a zarazem duchowe, jak kanonizacje i beatyfikacje – chociażby św. Stanisława czy św. Andrzeja Boboli. Przywołuje Pan również innych świętych, jak Faustyna Kowalska czy Jan Paweł II. Czy te osoby rzeczywiście mają tak potężny wpływ na dzieje naszej państwowości, naszego kraju i narodu – w tym oczywiście także na rozwój duchowy? Czy można powiedzieć, że bez nich po prostu nie byłibyśmy tym samym państwem, co dziś?

W swojej książce staram się pokazać wpływ chrześcijaństwa na kształtowanie naszej tożsamości narodowej i kultury politycznej na czterech głównych poziomach. Pierwszy to procesy historyczne w ich długim trwaniu, np. dzieje samorządności czy dobroczynności na ziemiach polskich. Drugi poziom to pewne fenomeny kulturowe, zwłaszcza te specyficzne dla naszego narodu, jak np. sarmatyzm czy mesjanizm. Trzeci poziom to konkretne wydarzenia historyczne: od chrztu Mieszka I poprzez różne wojny, sobory, unie, zabory, aż do powstania „Solidarności” i tragedii w Smoleńsku. Wreszcie czwarty poziom to dzieje poszczególnych ludzi, których biografii nie sposób zrozumieć, jeśli nie weźmiemy pod uwagę motywacji nadprzyrodzonej, która ich ożywiała. Gdybyśmy wyeliminowali pobudki religijne

z ich życiorysów, to właściwie skazywalibyśmy się na zupełne niezrozumienie ich postępowania. I właśnie ten czwarty poziom, dotyczący konkretnych losów pojedynczych osób, wydaje się najważniejszy.

Dlaczego jest najważniejszy?

Dlatego, że wszystkie procesy historyczne, fenomeny kulturowe czy wydarzenia polityczne są dziełami poszczególnych ludzi. Nie ma bezosobowych procesów cywilizacyjnych, nie ma determinizmu historycznego, nie ma nieubłaganej konieczności dziejowej. Historia to przestrzeń ludzkiej kreatywności, ale także przestrzeń, w której może dojść do spotkania człowieka z Bogiem, ponieważ nasz widzialny wymiar doczesny przeplata się z niewidzialnym światem duchowym. W tej sferze naprawdę rozstrzygające znaczenie ma wolna wola człowieka. To konkretne wybory poszczególnych ludzi decydują o kształcie cywilizacyjnym całych narodów. W tym sensie te osoby, o których Pan wspominał, odegrały olbrzymią rolę. Swoim postępowaniem naczynały bowiem dzieje kraju w taki sposób, że były w stanie wpływać na losy całej zbiorowości i zmieniać bieg dziejów. Oczywiście historia nie zna słowa „gdyby”. Można jednak powiedzieć, że o ile tych postaci nie było, nasze dzieje mogłyby się potoczyć inaczej.

Zainteresowało mnie to, co Pan mówi o tym, że Polska – jako państwo – nigdy nie wystąpiła przeciwko Kościołowi, nie toczyła z nim wojny. We Francji mieliśmy do czynienia z wrogą Kościołowi rewolucją francuską. W Niemczech wybuchł przewrót protestancki, który bardzo mocno uderzył w Kościół katolicki. A w Polsce nigdy do czegoś podobnego nie doszło. Dlaczego? Czy to wynika właśnie z tej duchowej jedności katolicyzmu i polskiego państwa? Tak mocno w siebie nawzajem wrosliśmy?

Rzeczywiście, katolicyzm to DNA polskości. Dlatego atak polskiej władzy na polski Kościół byłby poniekąd samobójczy. To byłoby dokonanie pewnego samookaleczania, podniesienia ręki na samego siebie. Gdy spojrzymy na reformację w Niemczech czy rewolucję we Francji, to widzimy, że stały za nimi próby skonstruowania innej tożsamości narodowej niż katolicka: w przypadku Niemiec – protestanckiej,

w przypadku Francji – laickiej. Gdyby w Polsce miało dojść do analogicznego wydarzenia, będącego swoistym zamachem na katolicyzm, musiałoby to pociągnąć za sobą stworzenie nowej tożsamości narodowej. Takie próby były podejmowane przez zaborców i okupantów, ale nigdy się nie udały, jak np. wytoczona Kościołowi przez władze PRL wojna o rząd dusz. Przyczyną klęski tych projektów było to, że katolicyzm był zbyt głęboko wrośnięty w polską świadomość narodową, stając się częścią naszej tożsamości.

Czy we współczesnych nam czasach takie próby stworzenia nowej tożsamości były podejmowane na przykład w 2013 roku, gdy chciano usunąć krzyż z polskiego Sejmu? Gdyby do tego doszło, oznaczałoby to znaczący i symboliczny triumf sił antyklerykalnych. Byłoby to zerwanie z tradycją i chrześcijańską kulturą.

Takie próby są podejmowane dziś nie tylko w Polsce, ale także w innych krajach na naszym kontynencie. Niestety, mogą one odnieść sukces, czego przykładem są choćby najnowsze dzieje Irlandii i Hiszpanii. Jeszcze do niedawna uważane były one za bastiony katolicyzmu w Europie, a dziś są laboratoriami przyspieszonej sekularyzacji, a nawet wręcz dechrystianizacji. Przecież jeszcze niedawno nikt nie wyobrażał sobie, że Irlandia może nie być katolicka. W bardzo krótkim czasie doszło tam jednak do bardzo radykalnej, gwałtownej laicyzacji, która przejawia się nie tylko w masowym odpływie wiernych ze świątyń, dziś świecących pustkami. Jeszcze bardziej rażącym dowodem zbiorowej apostazji Irlandczyków jest przegłosowanie w referendum powszechnym, i to zdecydowaną większością głosów, legalności aborcji oraz przywilejów małżeńskich dla par jedнопłciowych. Temu procesowi towarzyszy próba tworzenia nowej tożsamości irlandzkiej, opartej nie na powrocie do pogańskich źródeł celtyckich, lecz na nowoczesnej wizji człowieka europejskiego, który przewyciężył myślenie w kategoriach religijnych, a teraz ma się kierować postępowym światopoglądem. W rzeczywistości więcej jest w tym myśleniu przesądów, zabobonów i mitów politycznych niż zdrowego rozsądku i racjonalności, ponieważ – jak już zauważał Chesterton – człowiek, który nie wierzy w Boga, jest w stanie uwierzyć we wszystko.

W Polsce podejmowane są podobne próby jak w Irlandii czy Hiszpanii. Kościół się przed nimi broni, ale nigdzie nie jest napisane, że uda nam się tę tożsamość katolicką obronić. Musimy pamiętać, że „skarby w naczyniach glinianych” (2 Kor 4, 7) i wiara jest dobrem bardzo kruchym, który można utracić. Religia nie jest czymś danym raz na zawsze i musi być potwierdzana na nowo w każdym pokoleniu, które musi stoczyć bój o własną wiarę. Katolicyzm w Polsce będzie trwał tak długo, jak długo Polacy będą chcieli być katolikami. Dziś widać, że wielu Hiszpanów czy Irlandczyków wyrzeka się swej religijnej tożsamości. W tym kontekście próba zdjęcia krzyża w polskim Sejmie w 2013 roku, o czym Pan wspominał, stanowiła tylko część szerszego procesu, choć niewątpliwie wspomniany incydent miał duży potencjał symboliczny.

Czy ta wojna kulturowa, wojna cywilizacyjna może okazać się dla Polski zwycięska, czy jednak jesteśmy skazani na porażkę?

Musimy mieć świadomość, że ta wojna kulturowa jest na najgłębszym poziomie walką duchową. Nieprzypadkowo w Polsce jest ona dziś tak zacięta. Stawka, o którą toczy się ów bój, jest bardzo wysoka. Jest wiele krajów w Europie, gdzie tej walki praktycznie już nie ma. Dlaczego? Ponieważ zakończyła się wyrugowaniem wpływów chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej. Głos Kościoła przestał dla ludzi cokolwiek znaczyć. Sekularyzacja odniosła triumf. To pokazuje nam, że stoimy przed bardzo trudnym i odpowiedzialnym wyzwaniem, któremu będziemy musieli stawić czoła.

Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał Paweł Ozdoba

 **WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI**

MONARCHIA DLA POLSKI

„Niedobry jest rząd wielu; niech więc jeden rządzi, / Król, którego sam Jowisz powagą przyodziął / I nam dał posłuszeństwo, jemu władzę w podział” (Nestor/„Iliada” Homera)

Według dominującej wśród elit opinii, jedyną słuszną formą rządów są republiki demokratyczne. Tymczasem tradycyjni myśliciele polityczni głosili poglądy całkowicie odmienne. Również dziś nie brakuje argumentów przemawiających przeciw rządowi mas, a za monarchią. Pozostaje więc pytanie: jaki ustroj jest najlepszy dla Polski?

Platon uznał demokrację za jeden z najgorszych ustrojów – przedostatnim w hierarchii (tuż przed tyranią). A jednak autor *Państwa* dostrzegał w niej coś jeszcze. Porównał ją do opisanej przez Hezjoda „boskiej ery bohaterów” – epoki, która zapewnia wolność, jakiej nie daje żaden inny ustroj. I nie omieszkał podkreślić, że z tej wolności może korzystać także filozof – poszukiwacz prawdy.

Dziś jednak demokracja nie jest już traktowana z taką dwuznaczną rezerwą. Szacunek wobec niej przybrał postać quasi-sacrum. Czy z racjonalnego punktu widzenia można jednemu ludowładztwu przypisać konkretne zalety? Częściowo – tak. Jedną z nich jest możliwość pokojowego przekazywania władzy. Cykliczne wybory pozwalają bowiem uniknąć krwawej rewolucji czy skrytobójstw.

Ponadto współczesną demokrację różni od ateńskiej przede wszystkim jej przedstawicielski charakter. To wybrańcy narodu decydują na co dzień o sprawach państwa. Chroni to wspólnotę przed najgorszą postacią rządów – panowaniem motłochu, czyli ochłokracją. A wbrew piewcom demokracji bezpośredniej, do tego mogłaby doprowadzić bezpośrednia władza ludu.

Warto jednak zauważyć, że znaczna część zalet dzisiejszych demokracji wynika – paradoksalnie – z ich ograniczeń. Władza większości nie jest absolutna. Konstytucja gwarantuje obywatelom, w tym mniejszościom, równość wobec prawa. Przedstawicielski charakter i ramy konstytucyjne to pewne uszlachetnienie rządów ludu. Mimo to powstała w ten sposób demokracja liberalna daleka jest od doskonałości. Tym bardziej, że konstytucyjne ograniczenia często są wykorzystywane w celu forsowania lewicowej agendy, a nie rzeczywistych praw obywateli.

FORMA RZĄDÓW A SELEKCJA NEGATYWNA

Problemy współczesnej demokracji wynikają między innymi z faktu, że opiera się ona nie tylko na powszechnym prawie wybierania (czynnym prawie wyborczym), lecz również na powszechnym prawie bycia wybranym (biernym prawie wyborczym). Z tego drugiego korzystają jednak przede wszystkim osoby szczególnie zainteresowane sprawowaniem władzy – często przejawiające ponadprzeciętne skłonności do dominacji, manipulacji czy wręcz cechy socjopatyczne.

Ilustruje to tzw. Eksperyment Stanfordzki, przeprowadzony w 1971 roku przez zespół psychologów z Uniwersytetu Stanforda pod kierunkiem Philipa Zimbardo. Badanie polegało na symulacji więzienia. Wzięło w nim udział dziewięciu „strażników” i dziewięciu „więźniów”. Realistyczne warunki eksperymentu sprawiły, że uczestnicy zaczęli zachowywać się tak, jakby rzeczywiście znajdowali się w zakładzie karnym. Wkrótce „strażnicy” zaczęli znęcać się nad „więźniami”. Odstawiali im posiłków czy dostępu do toalety, stosując przemoc psychiczną i fizyczną oraz dzieląc grupę w sposób destrukcyjny. Eksperyment ten stał się głośnym dowodem tezy o skłonności władzy do deprawowania ludzi.

To jednak tylko część prawdy. W 2007 roku Thomas Carnahan i Sam McFarland opublikowali artykuł pt. *Revisiting the Stanford Prison Experiment: Could Participant Self-Selection Have Led to the Cruelty?* (*Personality*

and Social Psychology Bulletin), w którym podważyli to założenie¹. Zauważyli, że osoby zgłaszające się do udziału w eksperymencie więziennym wykazywały znacznie wyższy poziom cech związanych z przemocą – takich jak agresja, autorytaryzm, makiawelizm, narcyzm czy potrzeba dominacji – oraz jednocześnie niższy poziom cech takich jak empatia czy altruizm.

W świetle tych badań eksperyment stanfordzki nie tyle dowodzi, że władza demoralizuje z natury dobrych ludzi, ile raczej sugeruje, że osoby o predyspozycjach do nadużywania siły aktywnie dążą do władzy. Takiej jak rola więziennego strażnika, a zapewne także szefa rządu czy pośła.

W systemie demokratycznym osoby o cechach związanych z przemocą, manipulacją i brakiem empatii częściej niż przeciętni członkowie społeczeństwa ubiegają się o władzę – i w efekcie częściej ją zdobywają. Dlatego demokracja łatwo przekształca się w rządy najgorszych – kakokrację. Jaskrawym przykładem jest wybrany demokratycznie Adolf Hitler. Nie był jednak wyjątkiem, lecz częścią szerszego zjawiska. W podobny sposób władzę zdobywali inni przywódcy o autorytarnych skłonnościach: Benito Mussolini, który jeszcze w latach 20. cieszył się autentycznym poparciem mas; Juan Perón, budujący w Argentynie kult emocjonalnego przywództwa czy Hugo Chávez, który pod hasłami równości doprowadził do zapaści swój kraj o ogromnych zasobach naturalnych.

Natomiast monarchowie, jak dowodzi historia, rzadko nadużywają swojej władzy. Przeciwnie – często sprawują ją w sposób zaskakująco łagodny. Weźmy choćby Ludwika IX, zwanego Świętym (1214–1270). Znana jest opowieść, według której w jednej z prowincji Królestwa Francji wybuchły zamieszki. Król akurat przebywał w pobliżu, a jego

1 Carnahan T, McFarland S. Revisiting the Stanford prison experiment: could participant self-selection have led to the cruelty? *Pers Soc Psychol Bull.* 2007 May;33(5):603-14. doi: 10.1177/0146167206292689. Epub 2007 Apr 17. Erratum in: *Pers Soc Psychol Bull.* 2007 Jun;33(6):911. PMID: 17440210.

otoczenie zasugerowało natychmiastowe przywrócenie porządku. Ludwik IX mógł to uczynić bez trudu. Zrezygnował jednak, uznając, że byłoby to naruszeniem prerogatyw lokalnego możnowładcy, któremu ta prowincja formalnie podlegała.

W epoce znacznie nam bliższej przykładem powściągliwości w egzekwowaniu władzy jest król pruski i ostatni cesarz niemiecki, Wilhelm II (1888–1918). Miał realną możliwość rozwiązania parlamentu i wprowadzenia królewskiej dyktatury. Pokusa była duża – zwłaszcza że znienawidzeni przez niego socjaldemokraci (SPD), których nazywał „wrogami państwa”, od 1890 roku systematycznie zwiększali swoje wpływy. Mimo że ostatecznie zdobyli większość w parlamencie, Wilhelm II nie zdecydował się na użycie nadzwyczajnych środków. Trudno dziś orzec, jak postąpiłby demokratyczny przywódca, gdyby powierzono mu podobną władzę.

Wreszcie współczesne małe księstwa, w których monarcha sprawuje realną władzę – takie jak Monako czy Liechtenstein – pokazują, że tradycyjna władza monarsza może iść w parze z wolnością. To prawdziwe perełki – wyspy ojcowskiej łagodności w oceanie rządzonej przez demokratycznego Lewiatana.

DEMOKRATYCZNA KRÓTKOWZROCZNOŚĆ...

Oprócz negatywnej selekcji ludzi u władzy kolejnym problemem demokracji jest jej krótkowzroczność. Szef rządu czy prezydent (w przeciwieństwie do monarchy) myśli w kategoriach najbliższych wyborów, kolejnej kadencji. Dlatego można porównać go do najemcy, a nie do właściciela. Jako taki stara się wycisnąć z państwa jak najwięcej dla własnych celów, zanim wygaśnie jego umowa. Inwestycje zwiększające wartość państwa w dłuższej perspektywie nie są dla niego priorytetem.

Zapóżyczanie się, zadłużanie, nepotyzm, korupcja – to narzędzia krótkowzrocznych zarządców. Demokratyczni politycy, niczym najemcy gospodarujący cudzym mieniem, eksploatują państwo dla doraźnych zysków. Manipulacje prawem i walutą, rozdawnictwo,

populizm czy rozdęte programy socjalne to tylko niektóre przejawy tej polityki. Do tego dochodzą oszustwa, malwersacje i destrukcja własności. Zjawiska te z czasem stają się normą.

Chwilowe zyski polityczne wygrywają z interesem długofalowym. Instrumentalizacja prawa, łupieżcze podatki i płaszczenie się przed możnymi tego świata wypierają troskę o strategiczne interesy narodowe. Taka logika prowadzi do erozji nie tylko gospodarki, ale i wspólnoty politycznej. Pozostawia po sobie tylko chaos.

To wszystko są skutki wysokiej preferencji czasowej – skrajnego przedkładania dóbr teraźniejszych nad przyszłe, nawet jeśli te drugie są większe i trwalsze. Demokratyczni zarządcy pożerają państwowy kapitał niczym Kronos własne dzieci – i wciąż im mało. Kryzys zadłużeniowy, populizm oraz rozbuchane wydatki socjalne w Stanach Zjednoczonych i Europie pokazują to aż nadto dobitnie.

...I MONARCHICZNA DALEKOWZROČNOŚĆ

Z drugiej zaś strony monarcha przypomina raczej właściciela, gospodarza państwa niż jego najemcę czy tymczasowego zarządcę. Najlepiej widać to na przykładzie monarchii patrymonialnej, w której skarb państwa jest nierozdzielny ze skarbcem króla. W takim ustroju monarcha nie ma powodu, by uszczuplać majątek publiczny – ponieważ oznaczałoby to zarazem niszczenie własnego dziedzictwa. Jego prywatny interes pokrywa się z interesem państwa – i to rozumianym w perspektywie długofalowej.

W nowoczesnych monarchiach konstytucyjnych lub parlamentarnych skarb państwa bywa formalnie oddzielony od królewskiego. Nie zmienia to jednak istoty rzeczy: zasada jedności interesu monarchy i państwa wciąż obowiązuje. Król i jego potomkowie utrzymują się – symbolicznie i realnie – z pracy wspólnoty, którą reprezentują. Dlatego ich dobro zależy od dobrobytu tejże wspólnoty i jej stabilności. Podkopywanie tego ładu, choćby poprzez krótkoterminowe, łupieżcze podatki, byłoby sprzeczne z ich własnym interesem.

Polityczno-ekonomiczne różnice między monarchią a demokracją przedstawia ekonomista i filozof Hans Herman Hoppe w artykule „Naturalne elity, intelektualisci i państwo”. Jak trafnie zauważa:

„król był właścicielem jakiegoś terytorium i mógł je przekazać synowi, dlatego starał się zachować jego wartość. Władca demokratyczny był i jest tymczasowym dzierżawcą, próbuje więc maksymalizować bieżące przychody rządu z rozmaitych źródeł kosztem wartości kapitału, tym samym marnując go.

Oto kilka konsekwencji: w trakcie trwania epoki monarchicznej, w okresie przed I wojną światową, wydatki rządowe, rozumiane jako procent PKB, rzadko przekraczały 5%. Od tamtego czasu wzrosły one średnio do 50%. Przed I wojną światową rządy zatrudniały zwykle mniej niż 3% pracującej populacji. Od tamtej pory odsetek ten wzrósł do poziomu 15–20%.

Era monarchiczna wiązała się z pieniądzem kruszcowym (złotem), którego siła nabywcza stopniowo rosła. Dla odmiany era demokratyczna jest erą pieniądza papierowego, którego siła nabywcza nieustannie maleje. Królowie stale pograżali się w długach, jednak podczas okresów pokoju zwykle je spłacali. W czasach demokracji długi rządów, zarówno podczas wojny, jak i pokoju, wzrosły do niewiarygodnych rozmiarów”².

Hans Hermann Hoppe podkreśla również, że aż do końca XIX wieku de facto nie istniała legislacja w dzisiejszym tego słowa rozumieniu. Uchwalanie dziesiątek tysięcy ustaw i regulacji to zatruty owoc demokracji. Im więcej praw, tym mniej sprawiedliwości – bo zamiast porządku wzrasta chaos normatywny i arbitralność. W konsekwencji, w demokracjach pogłębia się problem rozbitych rodzin, wzrasta przestępczość, a poziom oszczędności w relacji do dochodów systematycznie maleje.

2 Hans-Hermann Hoppe, *Naturalne elity, intelektualisci i państwo*, <https://mises.pl/artykul/94> (dostęp: 29 października 2025).

Długofalowość myślenia rodów dynastycznych nie oznacza oczywiście braku przypadków krótkowzroczności. Zdarzali się monarchowie nieodpowiedzialni czy lekkomyślni. Ich błędy wynikały jednak z cech osobistych lub z uwarunkowań epoki – a nie z samej natury ustroju.

Zasadniczo bowiem dynastie myślą w perspektywie dekad, a nawet stuleci. Politycy demokratyczni – w perspektywie miesięcy lub najbliższych lat.

Od tej reguły zdarzają się wyjątki. Jednak krótkowzroczny monarcha jest krótkowzroczny **pomimo** bycia królem. A dalekowzroczny demokratyczny przywódca jest taki **pomimo** funkcjonowania w demokracji. Monarchia sama w sobie sprzyja dalekowzroczności, a demokracja wręcz przeciwnie.

DEMOKRATYCZNY CHAOS I MONARCHICZNA JEDNOŚĆ

Demokracja jako taka wiąże się nie tylko z krótkowzrocznością, lecz również z narastającymi konfliktami społecznymi. Partyjniactwo prowadzi do niekończących się waśni – od publicznych po rodzinne. Nie jest to przypadek. Zła Eris – starożytna, opisywana przez Hezjoda, bogini zawiści i niezgody – jest wpisana w samą strukturę systemu demokratycznego. Jego przedstawiciele rozszarpują ciało Rzeczypospolitej na kawałki, nie bacząc na związaną z tym powolną agonię naszego państwa.

Rządy ludu opierają się na wielości rywalizujących ze sobą partii politycznych. Podział w parlamencie rodzi podziały w domach i na ulicach. Tymczasem monarchia – z natury rzeczy jedna – logicznie sprzyja jedności. Trafnie pisał św. Tomasz z Akwinu w traktacie *O władzy*:

„dobro i ocalenie społeczności polegają na tym, aby zachować jej jedność, którą nazywamy pokojem. Jeśli zabraknie pokoju, przepadają korzyści życia społecznego, owszem, społeczność skłócona – sama dla siebie staje się ciężarem. (...) Zatem im skuteczniej rządy przyczyniają się do jedności pokoju, tym bardziej są pożyteczne; to bowiem

nazywamy bardziej pożytecznym, co skuteczniej prowadzi do celu. Nie ma zaś wątpliwości, że jedność lepiej jest sprawiana przez to, co jest z istoty swej jedno, aniżeli przez licznych; (...). Zatem bardziej pożyteczne są rządy jednego niż wielu”.

Jedność ta może oczywiście iść w parze z różnorodnością. W dobrej monarchii nie chodzi bowiem o uniformizację, lecz o harmonijną współobecność odmiennych elementów pod jednym zwierzchnictwem. Warto też pamiętać, że monarcha nie jest wolny od konieczności troski o lud. Nawet jeśli jego władza ma charakter formalnie dożywotni, wciąż może ją utracić wskutek rewolucji.

Jak zauważa Bertrand de Jouvenel w książce *On Power: The Natural History of Its Growth* (s. 106), król musi dbać o poparcie ogółu społeczeństwa, aby nie ryzykować utraty autorytetu – a w skrajnych przypadkach także tronu. Właśnie dlatego monarcha nie może pozwolić sobie na decyzje pochopne czy samolubne. Cięży na nim odpowiedzialność znacznie głębsza niż wynikająca z samego aktu władzy – odpowiedzialność przed historią i własnym rodem.

Monarchia jednoczy społeczeństwo, a demokracja jakże często je dzieli.

DEMOKRACJA I MONARCHIA A SYMBOLIKA RODZINNA

Kolejną istotną różnicą między monarchią a demokracją jest związana z tymi ustrojami symbolika. Symbolika demokratyczna to więc plemienny albo zgromadzenie obcych ludzi. Symbolika monarchii dziedzicznej wiąże się z rodziną.

Nieprzypadkowo we współczesnych demokracjach instytucja rodziny pogrążona jest w kryzysie. Krótkoterminowość i dążenie do natychmiastowego zaspokojenia własnych potrzeb nie sprzyjają wyrzeczeniom niezbędnym do utrzymania rodziny, szczególnie wielopokoleniowej. Po części stąd bierze się rosnący współczynnik rozwodów, nieślubnych dzieci czy po prostu upadku więzi międzypokoleniowych.

Natomiast ideał monarchiczny jest ściśle związany zarówno z myśleniem długofalowym, jak i z instytucją rodziny wielopokoleniowej. W tradycyjnych porządkach władca był ojcem zarówno własnej rodziny, jak i całego państwa. Jako taki pełnił rolę punktu odniesienia – gwaranta trwania, porządku i tożsamości.

W epoce gloryfikującej jednostkę i propagującej konsumpcjonizm, idea monarchii przypomina, że najwyższym dobrem wspólnoty nie jest natychmiastowa skuteczność, lecz ciągłość struktur organicznych – opartych na dziedziczeniu nie tylko dóbr, ale też obowiązków i zobowiązań.

Rodzina królewska w dawnych społeczeństwach monarchicznych była ukoronowaniem rodzin rodowych. A jak zauważył, w książce *Duch rodzinny w domu, społeczeństwie i państwie*, francuski ksiądz Henri Delassus (1836–1921) – członek rodu jest świadomy, że jego życie wpisane jest w długą linię, zarówno wstecz, jak i ku przyszłości:

„Jego pradziad widział go z oddali, przez mgły przyszłości – gdy pracował, oszczędzał i dochowywał tradycji. On zaś dziś patrzy w tym samym kierunku, ku przyszłości: myśli, planuje i buduje z myślą o prawnuku, o tych, którzy są jeszcze daleko, na horyzoncie” – pisał francuski kapłan.

Dziedzictwo materialne to zaledwie jedna z form międzypokoleniowego przekazu. Obok majątku rodzice – zgodnie z naturalnym porządkiem – przekazują dzieciom konkretne zdolności wpisane w ich naturę. Są to szczególne dary, cechy i talenty charakterystyczne dla danej rodziny.

Historia zna liczne przykłady dynastii, w których kolejne pokolenia dziedziczyły nie tylko tytuł, ale i zdolność mądrego rządzenia. Dynastia panująca jest rodziną wielopokoleniową par excellence. Jednak jej przykład pociąga za sobą także inne rodziny.

Dotyczy to również rodzin artystów, rzemieślników, uczonych – tych, którzy przez pokolenia doskonalili się w swoim fachu. Przykładem może być Wolfgang Amadeusz Mozart, który pochodził z rodu muzyków. Jego ojciec, Leopold, sam był kompozytorem i pedagogiem.

Monarchia jest więc szczególną formą rządu właśnie ze względu na swój rodzinny charakter. W jej strukturze wyraża się przekonanie, że to, co najważniejsze – należy nie tylko posiadać, ale przekazać dalej.

DEMOKRATYCZNA BRZYDOTA I MONARCHICZNE PIĘKNO

Jak nauczał Platon, Piękno jest nierozzerwalnie związane z Prawdą i Dobrem. Stąd wziął się starożytny grecki ideał kalokagatii. W demokracji tego piękna brakuje na każdym kroku. Polityczna walka, hobbessowska *bellum omnium contra omnes* cechuje się brzydotą i ujawnia najgorsze cechy – moralne i estetyczne.

Brzydota demokracji ujawnia się nie tylko w słowach i gestach, lecz w całym stylu uprawiania polityki. Kampanie wyborcze przypominają spektakl pozorów, gdzie nie liczy się ani mądrość, ani powaga, lecz skuteczność, manipulacja emocjami i umiejętność wzbudzania resentymentów. Obrady parlamentów coraz częściej przypominają krzykliwą farsę. Wygrywa nie ten, kto ma rację, lecz ten, kto przerywa innym głośniejsze i częściej. W przestrzeni politycznej dominują slogany, doraźne kalkulacje, memy, klikalność. W efekcie staje się ona medialnym jarmarkiem, z którego znikają majestat, umiar i forma – a w ich miejsce wchodzi kakofonia. Piękno zostaje zredukowane do tła, a prawda i dobro stają się jedynie narzędziami w grze o władzę – natychmiast porzucanymi, gdy przestają służyć celowi.

Z drugiej strony monarchiczna forma rządu jako taka wiąże się z ponadczasowym pięknem. Jest niejako wpisana w strukturę wszechświata. Już św. Tomasz z Akwinu w traktacie *O królowaniu* porównywał ład monarchiczny do porządku natury – choćby do harmonii panującej w pszczelim roju. Podobne struktury hierarchiczne odnajdujemy również w świecie innych zwierząt.

Piękno monarchii objawia się także w jej symbolice. Gronostajowe płaszcze, berło, korona – nawet dziś budzą podziw i intuicyjny szacunek. Nieprzypadkowo w bajkach i baśniach królowie dominują nad prezydentami – także tych współczesnych. Monarchia sprzyja bowiem wzniosłości. Budzi zachwyt. Władca, jako figura symboliczna, pełni funkcję *pontifex maximus* – łącznika z wyższym porządkiem. Archetyp monarchy naturalnie kojarzy się z pięknem, majestatem i ładem.

Monarchia niesie w sobie również wymiar niedostępności. Królem nie można bowiem zostać. Trzeba się nim urodzić (z wyjątkiem dwuczynnej monarchii elekcyjnej).

Ten hierarchiczny porządek pozostaje anatemą dla współczesnego egalitaryzmu. A jednak – mimo dominacji hasła równości i – idea monarchii nie znika. Przeciwnie: jest tak głęboko zakorzeniona w ludzkiej naturze, że nawet społeczeństwa skrajnie egalitarne, jak Szwedzi czy Norwegowie, z łatwością akceptują istnienie dynastii królewskich.

MONARCHIA A RZĄD MIESZANY

Monarchia ma zatem wiele zalet, które wynoszą ją ponad inne formy rządów. Gdyby pominąć kontekst historyczny, kulturowy oraz aktualne uwarunkowania, jest ona niemal doskonała.

Monarchia, także konstytucyjna, stanowi gwarancję jedności narodu politycznego (nie mylić z narodem etnicznym), długofalowego myślenia, roztropności w sprawowaniu władzy oraz przeciwwagę dla często socjopatycznych polityków wyłanianych w demokracjach.

Ograniczenie konstytucją nie tylko zabezpiecza przed nadużyciami, ale i umożliwia, w sytuacjach skrajnych – odwołanie króla. W dawnych zaś czasach jeszcze skuteczniej władzę monarszą ograniczały tradycja i lokalne zwyczaje.

We właściwie rozumianej monarchii kluczową rolę odgrywają elity. Nie tylko arystokraci, lecz także, a nawet przede wszystkim – osoby i rodziny wyróżniające się przedsiębiorczością, cnotą,

dalekowzrocznością i troską o interes publiczny. To właśnie ta ostatnia cecha odróżnia współczesnego arystokratę od przedstawiciela klasy średniej, skupionego głównie na prywatnym dobru.

W monarchii przyszłej Polski lud miałby najwięcej do powiedzenia na poziomie samorządowym, lokalnym – tam, gdzie najlepiej zna realne problemy. Tak rozumiana monarchia byłaby zatem swoistym *regimen commixtum*, czyli ustrojem mieszanym.

Idea rządu mieszanego, którego zwieńczeniem jest władza monarchy, zajmuje ważne miejsce w historii myśli politycznej. Polibiusz, grecki historyk z II wieku p.n.e., twierdził, że sukces Republiki Rzymskiej wynikał z połączenia trzech form rządów: monarchii (uosabianej przez konsulów), arystokracji (Senatu) i demokracji (zgromadzeń ludowych). To stanowisko podzielał Ciceron – największy orator i myśliciel polityczny Rzymu. Dodawał on, że ustrój mieszany najlepiej realizuje zasadę równowagi i sprawiedliwości, harmonizując władzę jednego, nielicznych i wielu. Według niego ta zasada zapewniała stabilność i dobro wspólne.

Ideę rządu mieszanego – z mocno zaakcentowanym pierwiastkiem monarchicznym – promowali także myśliciele chrześcijańscy, tacy jak św. Tomasz z Akwinu. Rozumieli oni, że dobrze pojęta monarchia nie odrzuca innych form rządów, lecz potrafi je zintegrować i podporządkować wyższemu celowi: dobru wspólnemu.

MONARCHIA DZIŚ

Warto pamiętać, że monarchia to nie tylko kwestia historii. Nawet dziś monarchie – także te symboliczne, jak brytyjska – pozytywnie wpływają na jedność narodową. Istnieją też prawdziwe perełki, takie jak księstwa Monako czy Liechtenstein, gdzie książęta sprawują realną (choć ograniczoną konstytucyjnie) władzę, zapewniając wysoki poziom życia, stabilność oraz unikalną syntezę nowoczesności i tradycji.

Nie oznacza to jednak, że monarchia – nawet w swej konstytucyjnej odmianie i w ramach ustroju mieszanego – jest ustrojem najlepszym

dla każdego kraju i w każdej epoce. Arystoteles w *Polityce* zauważał, że najlepszy ustroj *in concreto* zależy od lokalnych uwarunkowań. Monarchię uznawał za odpowiednią w przypadku istnienia jednostki szczególnie wybitnej, lecz w wielu sytuacjach za najbardziej rozsądną uważał *politeę* – czyli republikę.

Politea to rządy wielu obywateli, ale oparte na prawie i trosce o dobro wspólne – a nie na populistycznej nienawiści do warstw wyższych, jak ma to miejsce w zdegenerowanych demokracjach. Tego rodzaju republiki są ustrojami równie szlachetnymi jak monarchie. Przykłady Szwajcarii czy – pod pewnymi względami – Stanów Zjednoczonych (choć dziś coraz bliższych formie oligarchii) potwierdzają tę tezę.

NOWY USTRÓJ DLA NOWEJ POLSKI

Wobec braku realnego kandydata na monarchę oraz słabej tradycji monarchicznej w Polsce ostatnich wieków, w nadchodzących latach – a pewnie nawet i dekadach – to właśnie ideał *politei* wydaje się najbardziej odpowiedni. Silna republika, oparta na prawie i dobru wspólnym, to bez wątpienia lepsze rozwiązanie niż słaba monarchia elekcyjna, która w przeszłości doprowadziła do rozbiorów.

Jeśli nawet Polska nie może stać się w krótkim czasie monarchią, niech przynajmniej przypomina arystotelesowską *politeę*, a nie populistyczną demokrację czy jej zdegenerowaną formę – ochlokrację.

Ideał monarchiczny – a wraz z nim także arystokratyczny – może jednak posłużyć jako inspiracja do tworzenia nowych, naturalnych elit: ludzi i rodzin wyróżniających się niezależnością polityczną, finansową, wysoką etyką, dobrym smakiem i poczuciem odpowiedzialności za dobro wspólne oraz przyszłe pokolenia. Być może po długim czasie – lub w obliczu historycznego przełomu – to właśnie jedna z tych rodzin zapoczątkuje nową dynastię królewską. I nową Polskę.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

STRATEGIE ROZWOJU POLSKI W OBLICZU WOJNY DEKARBONIZACYJNEJ I POWROTU „ZASAD WESTFALSKICH”

Rozpad liberalnego porządku międzynarodowego ustanowionego przez Stany Zjednoczone i zakwestionowanego przez samych Amerykanów, nowe wizje kształtującego się obecnie ładu międzynarodowego, włączenie innych państw w rywalizację o wpływy – wszystko to zmusza rządy do uaktualniania swoich strategii bezpieczeństwa i rozwoju, które wyznaczają kierunki działań na przyszłość. W ostatnim czasie Polski rząd przyjął kilka strategicznych dokumentów. Abstrahuje one jednak od zasadniczego zwrotu, jakiego dokonał nasz główny sojusznik.

STRATEGIA BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

12 maja 2020 roku prezydent Andrzej Duda zatwierdził na wniosek Rady Ministrów Strategię Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej, która zastąpiła dokument z 2014 roku. Obecna Rada Ministrów przyjęła 25 lipca 2025 roku nową, przedłożoną przez Ministra Obrony Narodowej, Strategię Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej. Wskazuje ona interesy narodowe i najważniejsze cele Polski w dziedzinie bezpieczeństwa. Na stronie rządowej poinformowano, że koncentruje się ona na czterech priorytetach: „nienaruszalności terytorium, bezpieczeństwie obywateli, zrównoważonym rozwoju oraz korzystnym z punktu widzenia Polski kształcie systemu bezpieczeństwa międzynarodowego”.

Zgodnie z dokumentem Rady Ministrów, najważniejsze jest „zachowanie niepodległości, nienaruszalności terytorialnej, suwerenności oraz bezpieczeństwa państwa i obywateli”. Należy też zwrócić uwagę na „zachowanie systemu demokratycznego, tożsamości i dziedzictwa narodowego”. W interesie RP jest „istnienie porządku międzynarodowego opartego na współpracy i poszanowaniu prawa,

dającego gwarancje bezpiecznego rozwoju Polski” oraz „istnienie korzystnych warunków do trwałego oraz zrównoważonego rozwoju społecznego i gospodarczego, a także do ochrony środowiska naturalnego”.

Ambicją Warszawy jest zwiększenie zdolności do kształtowania systemu międzynarodowego, w tym w szczególności polityki NATO i UE, w taki sposób, aby było to zgodne z interesami bezpieczeństwa Polski, a ponadto pozwalało na zachowanie strategicznego partnerstwa z USA i zintensyfikowanie współpracy regionalnej oraz dwustronnej. Polska miałaby rozwijać relacje i tworzyć doraźne koalicje z państwami o podobnych celach bezpieczeństwa, powstrzymywać rosyjskie zapędy związane z tworzeniem architektury bezpieczeństwa opartej na strefach wpływów i dalej wspierać Ukrainę jako państwo niepodległe, demokratyczne, o prozachodniej orientacji zdolne do skutecznej samoobrony.

W Strategii kładzie się przy tym nacisk na rozwijanie systemu powszechnej obrony, wzmacnianie zdolności odstraszenia agresorów w ramach kolektywnej obrony NATO, modernizację armii, reformę doktrynalną i organizacyjną, aby być w stanie prowadzić długotrwały konflikt zbrojny.

Ważne jest zwiększenie odporności państwa związane m.in. z rozwojem systemu obrony cywilnej i zachowania odporności kluczowej infrastruktury oraz usług. Państwo musi także sprostać większym wyzwaniom w cyberprzestrzeni, przestrzeni kosmicznej i informacyjnej.

Konieczne jest też budowanie spójności społecznej i aktywności obywatelskiej, tak aby obywatele byli zdeterminowani do obrony państwa i ochrony innych.

Wszystko to wymaga „wzmocnienia potencjału gospodarczego oraz technologicznego, bezpieczeństwa demograficznego i ochrony środowiska”. Polska musi rozwijać swoje zdolności do „zabezpieczenia

potrzeb wojska polskiego, rozbudowywać jego możliwości eksportowe oraz zredukować uzależnienie od zewnętrznych łańcuchów dostaw”. Koniecznie trzeba wzmacniać konkurencyjność gospodarki poprzez „rozwój nauki oraz zwiększenie nakładów na badania i rozwój, ze szczególnym uwzględnieniem technologii podwójnego zastosowania, w tym m.in. sztucznej inteligencji czy technologii kwantowych”.

Oczywiście, wspomina się też o wzmocnieniu bezpieczeństwa energetycznego państwa, podobnie jak o poprawie sytuacji demograficznej, w tym nawet o „wzmocnieniu ochrony i zapewnieniu rozwoju rodziny”, a także o konieczności zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego oraz zdrowotnego i „bezpieczeństwa ekologicznego państwa”.

Nowa strategia opracowana przez rząd Donalda Tuska nie została jednak zaakceptowana przez prezydenta Karola Nawrockiego, który uznał, że jest niekompletna i wymaga aktualizacji, uwzględniając wydarzenia z 2025 roku.

W obecnej sytuacji więc nie ma adekwatnej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego RP. I wiele w tej materii zależy od prezydenta, który musi zatwierdzić dokument, by mógł zostać wdrożony w praktyce, stając się tym samym podstawą do dalszych działań.

Brak akceptacji prezydenta dla nowej strategii bezpieczeństwa jest jak najbardziej uzasadniony, zwłaszcza w obecnie szybko zmieniającej się sytuacji międzynarodowej, gdy praktycznie cały świat z niecierpliwością oczekuje na opublikowanie najważniejszego dokumentu strategicznego rządu USA, to jest Strategii Bezpieczeństwa Narodowego (NNS). Znając główne priorytety USA – wciąż najważniejszego sojusznika Warszawy – można odpowiednio dostosować swoje cele i przemodelować koncepcję obrony państwa, szukając nowych szans i możliwości osiągania własnych celów związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa narodowego.

Mimo braku nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, w ostatnim czasie pojawił się inny, bardzo ważny dokument, *Strategia Rozwoju Polski do 2035 r.*, który nie snuje jedynie wizji tego, w jakim kierunku powinno się rozwijać państwo polskie, ale proponuje program i podstawę działania dla rządu oraz samorządów.

Strategia ta została opublikowana i w ostatnich tygodniach trafiła do konsultacji społecznych, ale na próżno szukać więcej informacji na ten temat. Wiadomo, że pod koniec października 2025 r. swoje uwagi do niej złożyła Krajowa Rada Izb Rolniczych niezadowolona między innymi z konieczności dostosowania się do Zielonego Ładu.

Wydaje się, jakby dokument też przeszedł niemal bez echa opinii publicznej. A przecież wyznacza on kierunki działań na najbliższą dekadę, ugruntowuje to, co czyniono od ponad 30 lat, abstrahując od tego, co się dzieje w polityce światowej.

W lipcu 2022 roku, w artykule zamieszczonym na stronie PCh24.pl, *Rozwój przez ujednolicenie. Co fundują Polakom politycy pod dyktando globalistów?*, zwracałam uwagę, że „Polska nie ma własnej wizji rozwoju” i „od lat przyjmuje programy oenzetowskie, a z racji tej, że jest członkiem Unii Europejskiej, realizuje strategię unijną. Oryginalność elity rządzącej w danym okresie – jaka by nie była, czy to z prawa, czy z lewa – przejawia się jedynie w opracowaniu menadżerskich strategii wdrażania koncepcji wymyślonych poza naszym krajem”. Postawiona wtedy teza wciąż jest aktualna.

To, w jakim kierunku miała rozwijać się niepodległa Polska, zostało określone już przed 1989 rokiem, gdy banki i inwestorzy ogłosili, że będziemy musieli postępować zgodnie z paradygmatem „zrównoważonego rozwoju”. Od tego między innymi zależała konwersja naszego długu powstałego w czasie rządów komunistów. Stąd między innymi w art. 5 naszej Konstytucji przyjętej w 1997 roku uznano zrównoważony rozwój za jedną z fundamentalnych „wartości”.

Ustawa z 6 grudnia 2006 roku o zasadach prowadzenia polityki rozwoju wyraźnie określa, kto ma kierować tą polityką, na jakich zasadach ma się ona opierać i w jakim trybie odbywać. Polityka „musi zapewnić trwałą i zrównoważony rozwój kraju, spójność społeczno-gospodarczą, spójność regionalną i przestrzenną, konkurencyjność i tworzyć nowe miejsca pracy”.

Zgodnie z ustawą, zajmują się tym Rada Ministrów, samorząd województwa, związki metropolitalne, samorząd powiatowy i gminny oraz ich związki. Za realizację tej polityki w skali całego państwa odpowiada minister rozwoju.

Swoje strategie mają poszczególne miasta i gminy. Koordynacją wszystkich tych programów zajmuje się Komitet Koordynacyjny do spraw Polityki Rozwoju (Komitet Koordynacyjny), w skład którego wchodzi m.in. przedstawiciele resortów, szef Komitetu do spraw Pożytku Publicznego oraz Prezes GUS, a pracom przewodniczy Minister Funduszy i Polityki Regionalnej.

KONCEPCJA ROZWOJU KRAJU 2050

Komitet Koordynacyjny opracował długo oczekiwaną „Koncepcję Rozwoju Kraju 2050” (KRK 2050). Początkowo miała zostać zaprezentowana pod koniec 2023 roku, zgodnie z innymi dokumentami unijnymi określającymi ścieżki rozwoju na następne 30 lat. Dokument ostatecznie pojawił się w maju 2024 roku, a Rada Ministrów go zatwierdziła 25 lipca 2025 roku.

Z grubsza rzecz ujmując, KRK 2050 „wyrasta z nowego myślenia o roli planowania długofalowego”. Jest to „dokument mający umożliwić najlepsze wybory strategiczne w perspektywie nadchodzącego ćwierćwiecza, w ramach średniookresowych strategii i polityk publicznych wdrażanych przez rząd, samorząd terytorialny i innych interesariuszy gry o rozwój. Innymi słowy, KRK jest dokumentem-droowskazem dla planowania rozwoju państwa mającym dać szeroki kontekst w dłuższej perspektywie czasowej” (s. 2).

Zatem identyfikuje trendy i wyzwania rozwojowe dla państwa, dostarcza scenariusze przyszłości, symulując warunki, w jakich władza zacznie podejmować decyzje, która będzie musiała przygotować instytucje publiczne do realizacji celów rozwojowych w różnych okolicznościach, a także „zarysowuje celowo wyidealizowaną wizję kraju w 2050 r. wyznaczającej poziom ambicji dla przyszłych polityk publicznych” (s. 2).

Zastrzeżono, że „dokument nie przewiduje przyszłości, a zarysowuje możliwe transformacje, które mogą wydarzyć się w długookresowej perspektywie i zmienić rzeczywistość naszego kraju” (s. 2).

Pracując nad KRK przyjęto kilka aksjomatów: inkluzywność oraz solidarność społeczną i pokoleniową, odporną gospodarkę odpowiedzialną społecznie i zorientowanie środowiskowe na przestrzeń i środowisko jako ograniczone dobro wspólne, a także odpowiedzialne organizacje i integrację europejską (s. 3).

Dodano do tego – w związku z dynamicznie zmieniającą się sytuacją na świecie – kwestię bezpieczeństwa międzynarodowego, utrzymanie światowego pokoju, krzewienie i umacnianie demokracji oraz praworządności, a także poszanowanie praw człowieka i podstawowych swobód.

Ma to być dokument nowatorski i oparty na wiedzy naukowej, eksperckiej i danych.

W *Wizji KRK*, Polska w 2050 r. jawi się jako kraj, w którym „panuje konsensus między społeczeństwem i decydentami co do potrzeby spójności społecznej oraz kluczowej roli środowiska naturalnego w procesach rozwojowych, zwłaszcza w obliczu coraz bardziej dotkliwych i nieodwracalnych skutków zmian klimatu” (s. 13). Do tego czasu miałyby być zniwelowana luka demograficzna, dzięki między innymi polityce migracyjnej. Miałyby być optymalnie wykorzystywane rozwiązania technologiczne, instytucjonalne i społeczne. Miałyby panować tak zwana zielona, zrównoważona gospodarka. Ponadto zakłada

się, że „Polska jest bezpieczna pod względem militarnym, żywnościowym i energetycznym oraz odporna na zagrożenia” (s. 13). Ma także „silną pozycję w zmieniających się układach międzynarodowych”, a społeczeństwo jest „otwarte, inkluzywne, zdrowe, adaptujące się do postępu technologicznego oraz konsekwencji zmian demograficznych i klimatu” (s. 13).

„W 2050 r. społeczeństwo z szacunkiem, akceptacją i zrozumieniem odnosi się do różnorodności kulturowej, etnicznej i światopoglądowej. Niezależnie od rasy, płci, pochodzenia, wyznania czy światopoglądu wszyscy znajdują w Polsce odpowiednie miejsce do życia, pracy lub prowadzenia działalności gospodarczej czy społecznej. Państwo dąży do inkluzji i integracji społecznej oraz wsparcia osób i rodzin w kryzysie. Sprzyjają temu instytucje publiczne i programy rozwoju skoncentrowane na budowie i wzmacnianiu spójności społecznej, zabezpieczeniu i respektowaniu prawa oraz zaspokajaniu podstawowych potrzeb każdego mieszkańca kraju” (s. 13).

Zagwarantowane jest prawo do mieszkania, dostępny jest „sprawny i nowoczesny system ochrony zdrowia”, a przy tym edukacja, która pozwoli społeczeństwu stale adaptować się do zmian. Funkcjonuje elastyczny rynek pracy oraz „podmioty świadczące usługi społeczne nastawione są na umożliwienie wejścia, pozostania i powrotu na rynek pracy w coraz bardziej zautomatyzowanym i cyfrowym otoczeniu. Ich oferta skierowana jest do wszystkich mieszkańców Polski, w tym migrantów i uchodźców” (s. 13).

Państwo ma prowadzić politykę pronatalistyczną, prorodzinną, ochrony zdrowia, zorientowanej na wydłużenie trwania życia oraz poprawę stanu zdrowia mieszkańców. Wszystko to wraz z polityką edukacyjną, zdrowotną i migracyjną ma zapobiec niedoborowi kadr w kluczowych dla gospodarki sektorach oraz w deficytowych zawodach. „Wytyczne wdrożeniowe polityki migracyjnej są uwzględnione w rozwiązaniach w obszarze rynku pracy, ochrony zdrowia, systemu edukacji oraz integracji społecznej. Osiągnięto podmiotowe społeczeństwo, w którym każdy jest i czuje się szanowany, i bezpieczny,

jest jego pełnoprawnym członkiem, ma warunki do rozwoju i samo-realizacji, a rozbudowane i silne więzi oraz relacje społeczne, pozwalają rozwijać się społeczeństwu jako całości i jego poszczególnym grupom” (s.14).

Zakłada się, że do połowy wieku uda się wdrożyć w życie gospodarkę o obiegu zamkniętym, zeroemisyjną i zieloną. Ma to być tzw. „gospodarka umiaru”. Nasz kraj miałby tworzyć, absorbować i rozpowszechniać służące jej nowe technologie. „Polskie marki terytorialne w dziedzinie zdrowej żywności, zielonych technologii czy innowacji cyfrowych są globalnie rozpoznawalne i dochodowe” (s. 14). Ich promocją zajmuje się MSZ. Polska miałby być krajem stabilnym i bezpiecznym pod każdym względem, w którym inwestorzy chętnie będą inwestować. Będzie zintegrowana z różnymi organizacjami paneuropejskimi i międzynarodowymi. Będzie wykorzystywać nowoczesne technologie do zapewnienia bezpieczeństwa w każdym aspekcie, opierając się na analizie danych i predykcji potencjalnych zagrożeń oraz ich rozbrajaniu. Miałby to być kraj z nowoczesnym rolnictwem „zdrowym, przyjaznym dla środowiska oraz odpornym na kryzysy, w tym związane z długofalowymi skutkami zmiany klimatu” (s. 14).

W idealizowanej wizji KRK, do połowy stulecia także system energetyczny miałby być stabilny i odporny na zagrożenia. „Jego bezpieczeństwo jest zapewnione dzięki najnowszym technologiom pozwalającym na magazynowanie energii i wykorzystującym inteligentną infrastrukturę energetyczną. System bazuje na modelu rozproszonych, zdywersyfikowanych źródeł zeroemisyjnych, ze znacznym udziałem energetyki obywatelskiej. To, w połączeniu ze stosunkowo niską energochłonnością kraju, także w zakresie budownictwa, sprawiło, że energia stała się czysta, dostępna i tania. Rewolucja dokonała się także w transporcie i logistyce. Dzięki wzrostowi znaczenia zrównoważonej mobilności, nowym technologiom, w tym automatyzacji transportu i inteligentnym rozwiązaniom, sektor ten jest zintegrowany, bezpieczny i zeroemisyjny, dostosowany do potrzeb mieszkańców i gospodarki. Troska o środowisko i klimat, odpowiedzialność

i wysoka kultura instytucjonalna są standardem działania podmiotów publicznych i prywatnych” s. 14).

KRK 2050 wskazuje, że do połowy wieku będzie wiele obszarów chronionych, wyłączonych z aktywności gospodarczej. „Kapitał naturalny jest uznany za zasób krytyczny i jest uwzględniany w procesach zarządzania rozwojem. Dzięki wysokiej świadomości ekologicznej decydenci oraz mieszkańcy Polski dostrzegają skalę toczących się, nieodwracalnych zmian klimatu i ich skutków oraz rozumieją wagę dbania o środowisko. Odpowiedzialne korzystanie z zasobów Ziemi jest powszechne dzięki promowaniu takich zachowań oraz edukacji ekologicznej i klimatycznej. Proekologiczne wartości i styl życia stały się dominujące w społeczeństwie” (s. 14).

„Dzięki wykorzystaniu nowych technologii w energetyce, transporcie i budownictwie oraz uczynieniu zrównoważonej mobilności w miastach priorytetem, jakość powietrza w Polsce jest wysoka. Oszczędność zasobów i złagodzenie zmian klimatu zostały osiągnięte dzięki wdrożeniu gospodarki o obiegu zamkniętym, w tym wykorzystywaniu wodooszczędnych technologii m.in. w rolnictwie, przemyśle i gospodarce komunalnej” (s. 15).

Nie będzie presji na gleby, wodę. Miasta powszechnie się zazielenią „aż do osiągnięcia zadowalającego poziomu, dzięki czemu warunki życia na obszarach miejskich poprawią się” (s. 15).

Polska będzie „nowoczesna”, „odporna, demokratyczna, solidarna i bezpieczna w układach międzynarodowych” (s. 15). Obywatele powszechnie będą angażować się w działalność publiczną, darząc instytucje i władze ogromnym zaufaniem. „Zasadnicza zmiana myślenia o rozwoju pozwoliła na odejście od kierowania się w działalności politycznej i gospodarczej przesłankami krótkookresowego zysku i doraźnych korzyści oraz na skoncentrowanie się na długofalowych celach zorientowanych na szczęśliwe i spełnione życie mieszkańców, zielony rozwój gospodarczy odpowiedzialny społecznie i pokoleniowo oraz przestrzennie. System demokratycznego państwa prawa,

oparty na prawach człowieka oraz ochronie podstawowych wolności i praworządności daje mieszkańcom kraju możliwość aktywnego i pełnego uczestnictwa w jego rozwoju” (s. 15).

Wizja KRK 2050 przewiduje także, że Polska będzie mieć profesjonalną, nowoczesną i wielozadaniową armię, sprawny system obrony cywilnej, zapewniona zostanie umiejętność współpracy, solidarność i duża aktywność na polu innowacji. Jej pozycję na świecie będą wspierać aktywnie działające i liczne organizacje pozarządowe (NGO-sy).

Mieszkańcy, świadomie podejmując decyzje wyborcze, będą „odporni na dezinformację i populizm oraz świadomi cyberzagrożeń” (s. 15).

Kraj będzie się równomiernie rozwijał, zostaną „zahamowane procesy niekontrolowanej suburbanizacji oraz antropopresji na obszary cenne przyrodniczo i rolne” (s. 16). „Niezależnie od miejsca, mieszkańcy będą mogli zaspokoić swoje racjonalne i zrównoważone potrzeby w zakresie dostępności do usług publicznych, energii, dostępu do Internetu i sieci łączności, wody, terenów zieleni i dobrej jakości środowiska” (s. 16). „Obszary wiejskie są wielofunkcyjne. Rolnictwo, przetwórstwo, usługi związane z rolnictwem, produkcja żywności lokalnej, energia odnawialna, ekoturystyka i unikalne rzemiosła stanowią jedne z wielu możliwych źródeł utrzymania. Krajobraz wiejski uległ zmianie. Choć jego rolniczy charakter został w dużej mierze zachowany, w wyniku wzrostu wydajności i efektywności rolnictwa, część terenów rolnych została przekształcona w obszary o innym przeznaczeniu, przyczyniając się do ochrony klimatu. Mobilność w całym kraju ma zrównoważony charakter dzięki rozwiniętej infrastrukturze zeroemisyjnego transportu zbiorowego, zharmonizowanego z drogami dla pojazdów mikromobilności i pieszych, w szczególności na terenach zurbanizowanych. Sprawna logistyka i wygodny system transportu publicznego, coraz szerzej wykorzystujący pojazdy autonomiczne, znacznie ograniczyły, a miejscami wyeliminowały samochody z centrów miast. Spójna i ustandaryzowana sieć transportowa oraz nowoczesne technologie wspomagają także transport dalekobieżny i regionalny. Nowe systemowe podejście do planowania

przestrzennego umożliwia tworzenie funkcjonalnych i estetycznych przestrzeni. Wzrosło poczucie wspólnoty i odpowiedzialności, przejawiające się troską o przestrzeń i lokalne społeczności” (s. 16).

To oczywiście wizja nieco wyidealizowana (na co zresztą wskazali sami jej autorzy), aczkolwiek jasno z niej wynika, że nie powinno zdarzać się odstępstwo od modelu rozwoju zgodnego z paradygmatem zrównoważonego rozwoju.

W ramach KRK 2050 uwzględniono cztery scenariusze rozwoju Polski, biorąc pod uwagę cztery różne sytuacje: 1) założenie dalszej globalizacji, 2) intensywne wykorzystanie technologii i powolną atomizację społeczeństwa, 3) przerwanie łańcuchów dostaw i niedobory, 4) drastyczne zróżnicowanie technologiczne, gospodarcze i społeczne.

W każdym scenariuszu przyjmuje się rozwój tak zwanej zielonej gospodarki, tyle że w niektórych z nich będzie to mniej lub bardziej uciążliwe, i będzie wiązało się z zajęciem wieloma problemami społecznymi. W żadnym z nich nie zakłada się rezygnacji z paradygmatu zrównoważonego rozwoju, gdyż w różnych warunkach rządzący mieliby dążyć do realizacji wyidealizowanej wizji Polski.

Jak zaznacza się w KRK 2050, z założenia „zadaniem polityk publicznych jest podnoszenie jakości życia społeczeństwa jako całości i każdego mieszkańca z osobna”, przy czym należy „nie pozwolić nieść się nurtowi wydarzeń (trendy), a próbować wpłynąć na ich kształt”, by wybraną wizję zrealizować (s. 23).

Jednocześnie w tym ważnym z punktu widzenia polskich ustaw dokumencie zidentyfikowano cztery główne wyzwania: „(1) Transformację społeczną sprzyjającą wszystkim grupom społecznym; (2) Nowoczesną gospodarkę respektującą środowisko naturalne i klimat; (3) Odporne państwo z silną pozycją w Europie i na świecie; (4) Zrównoważoną przestrzeń uwzględniającą potrzeby człowieka i środowiska” (s. 23).

Dokument KRK 2050 jest nie tylko diagnozą obecnego stanu, ale także źródłem danych dla polityki regionalnej i samorządowej oraz punktem wyjścia dla dalszej terytorializacji polityki rozwoju.

W związku z tymi wyzwaniami kluczowe są zmiany w edukacji, konieczne jest przeformułowanie dotychczasowych modeli rynku pracy, polityki migracyjnej, mieszkalnictwa, polityki pronatalistycznej i prorodzinnej, ochrony zdrowia (fizycznego i psychicznego) oraz systemu emerytalnego.

Nacisk w edukacji ma być położony na kompetencje cyfrowe, STEM, umiejętność pracy w środowisku wirtualnym, kompleksowe rozwiązywanie problemów, łączenie i krytyczną analizę informacji oraz danych, elastyczność poznawczą, komunikowanie się i współpracę, edukację finansową, bezpieczeństwo, negocjacje, kreatywność. Umiejętność bezpiecznego użytkowania lub kreowania technologii. rozwój umiejętności z zakresu inteligencji emocjonalnej i kompetencji społecznych (rozumienie emocji i zarządzanie nimi, motywowanie siebie, empatia, zaufanie, tolerancja, radzenie sobie z krytyką, akceptacja porażek, otwartość na nowe wyzwania, umiejętność rozwiązywania konfliktów, argumentowanie własnych racji, efektywne komunikowanie się). Ma panować solidarność i zrozumienie międzykulturowe oraz międzypokoleniowe. Obywatele powinni w znacznie większym stopniu niż dotychczas angażować się społecznie i odznaczać się większą wrażliwością ekologiczną.

Chodzi tu o „stałe podwyższanie wrażliwości ekologicznej, aby uczyniwić gospodarkę umiaru opartą m.in. na ograniczaniu nadmiernej konsumpcji, zmniejszaniu śladu węglowego, proklimatycznych postawach, zrównoważonym chowie zwierząt, niemarnowaniu żywności, zmianie nawyków żywieniowych czy szerszym wykorzystaniu produktów lokalnych” (s. 26).

Nowoczesna gospodarka ma respektować środowisko naturalne i klimat. Ludzie mają być stale zachęcani do aktywności fizycznej, „w tym także tej związanej z wyborem bezemisyjnych form transportu (np.

jazdy na rowerze). Takie działania w długiej perspektywie przyniosą pozytywny skutek dla środowiska, dobrostanu człowieka oraz oszczędności dla systemu ochrony zdrowia” (s. 26).

Równie istotna jest „zmiana postrzegania przestrzeni, zwłaszcza w odniesieniu do jej roli jako dobra wspólnego” (s. 26) i znacznie ograniczonego zasobu. W związku z szybko starzejącym się społeczeństwem, autorzy KRK 2050 zarazem uznali za konieczność „uzgodnienie społecznie i politycznie jasnej doktryny migracyjnej, zorientowanej na wypełnienie luki wynikającej z niedoboru kadr w kluczowych dla gospodarki sektorach oraz w deficytowych zawodach, która uwzględni kwestie inkluzji społecznej i kulturowej” (s. 29).

Dokument wskazuje ponadto na „rosnący dług ekologiczny” (s. 33), który mieszkańcy Ziemi pozostawiają przyszłym pokoleniom. W związku z tym „działalność człowieka musi zostać dostosowana do zmieniających się uwarunkowań” (s. 33). Stąd „dla zachowania zdolności planety do życia niezbędne jest uznanie, że kapitał naturalny ma fundamentalną wartość, a zmiana modelu rozwoju jest imperatywem” (s. 33).

A zatem przyjmuje się, że nie ma alternatywy dla rozwoju zgodnego z paradygmatem zrównoważonego rozwoju, przy czym trzeba pamiętać, że koncepcja ta na przestrzeni lat ewoluowała; dziś ma inne znaczenie niż 30 lat temu, wszyscy muszą się do niej dostosować. Wszak imperatyw to nic innego, jak bezwzględny nakaz, reguła i zasada, która ma być respektowana bez żadnych dyskusji.

W KRK 2050 zakłada się, że „świat nie może dłużej opierać się na nieograniczonym wzroście, ponieważ Ziemia ma skończone zasoby, a niektóre toczące się procesy mają nieodwracalny charakter. Kluczowe są zatem następujące kwestie: transformacja energetyczna oraz ograniczanie konsumpcji zasobów (przyrodniczych, energetycznych, produkcyjnych, konsumpcyjnych) w ramach gospodarki umiaru” (s. 33).

Transformacja energetyczna związana z dekarbonizacją, czyli pozbywaniem się paliw kopalnych i rozwojem OZE (na szczęście dopuszcza się tutaj rozwój energetyki jądrowej), jest zasadniczym warunkiem rozwoju Polski. Nie ma alternatywy dla dążenia do neutralności klimatycznej. Zaznacza się, że „cele klimatyczne muszą być powiązane z celami gospodarczymi, tak aby zapewnić bezpieczeństwo i konkurencyjność polskiej gospodarki oraz służyć zrównoważonemu rozwojowi” (s. 33). „Reformy energetyczne muszą systemowo objąć wszystkie sektory gospodarki. Potrzebna jest bardziej zdecydowana niż dotychczas redukcja emisji gazów cieplarnianych poprzez zmianę struktury wytwarzania energii – decentralizację i dywersyfikację źródeł wytwarzania opartych na zrównoważonych zasobach (m.in. zwiększenie udziału źródeł alternatywnych, w tym energii jądrowej oraz zwiększenie wykorzystania wodoru w miksie energetycznym)” (s. 33).

Nic się nie zmieniło co do wzbudzającego ogromny opór społeczny Zielonego Ładu i podkreśla się, że transformacja konieczna jest także w innych sektorach niż energetyczny, tj. zwłaszcza w transporcie, przemyśle, rolnictwie oraz logistyce i budownictwie; wszystko to ze względu na ich energochłonność i emisyjność. Musi zmienić się podejście do mobilności i logistyki w ogólności.

Dużą wagę przywiązuje się też do ochrony kapitału naturalnego jako „fundamentalnego komponentu wszystkich procesów społeczno-gospodarczych i przestrzennych, zmierzającego do eliminacji trendów przyczyniających do degradacji środowiska oraz budowania neutralności klimatycznej” (s. 35). Jest to „bezwzględny warunek bezpieczeństwa obecnych i przyszłych pokoleń” (s. 35).

Stąd konieczność promocji nowych wzorców produkcji i konsumpcji, które przyczynią się do ograniczenia popytu na dobra i usługi. Ma powstawać gospodarka umiaru – zasobooszczędna i niskoemisyjna o obiegu zamkniętym, w której wycenia się usługi ekosystemowe i uwzględnia się proekologiczne wymagania NGO-sów. Istotne jest „uznanie w systemie prawnym błękitno-zielonej infrastruktury za zasób krytyczny” (s. 35).

Zakłada się istnienie zrównoważonego rolnictwa z precyzyjnymi systemami nawadniania, stosowania środków ochrony roślin, jak również przekształcanie obszarów rolnych na farmy OZE, magazyny energii, elektrownie atomowe, sieci przesyłowe, nowe nisko- i zeroemisyjne sieci transportu, infrastrukturę elektromobilności, dla urządzeń autonomicznych lub innowacyjnej mobilności powietrznej, tworzenie nowych stref ekonomicznych i przenoszenie biznesów do miejsc usytuowanych bliżej nowych źródeł energii (zob. s. 43).

W KRK 2050 uwzględniono pozycję Polski w szybko zmieniającym się świecie. Położono nacisk na „aktywną współpracę w ramach istniejących sojuszy międzynarodowych oraz konstruktywny udział w budowie silnej Unii Europejskiej i NATO” (s. 44). Ponadto zauważono, że w związku ze zwrotem w kierunku regionalizacji świata, konieczne staje się wzmacnianie powiązań gospodarczych w skali lokalnej oraz równoważenie relacji państwo-korporacje.

Jednocześnie zaznaczono, że istnieje pilna potrzeba wypracowania i realizacji paradygmatu rozwoju nastawionego na budowanie odporności Europy i kraju, który uwzględnia zarówno aspekty społeczne, gospodarcze, technologiczne, środowiskowe (w tym klimatyczne), jak również kwestie bezpieczeństwa. Polska miałaby uczestniczyć w europejskich i światowych pracach nad przyszłością architektury bezpieczeństwa we wszystkich jej wymiarach.

Potencjał wojskowy ma uwzględniać wyzwania nowoczesnego pola walki na lądzie, wodzie, w powietrzu i w cyberprzestrzeni. Armię należy nie tylko lepiej wyszkolić, ale także zaopatrzyć w zaawansowane technologie, w tym np. rozwiązania oparte na tak zwanej sztucznej inteligencji, statkach bezzałogowych, rozwiązaniach zapewniających cyberbezpieczeństwo. Powinno się rozwijać pozamilitarną infrastrukturę transportową, energetyczną, logistyczną i wytwórczą. Plan ten zakłada również kierunkowe szkolenia proobronne oraz taki rozwój systemu zarządzania kryzysowego i ochrony ludności, który będzie się opierał na skoordynowanych procedurach administracji krajowej i regionalnych, a także lokalnych sieciach ostrzegania

o zjawiskach ekstremalnych i reagowania na zagrożenia. System ten ma uwzględniać potencjał NGO-ów w zakresie mobilizacji społecznej i reagowania na sytuacje kryzysowe.

KRK 2050 zakłada taką kontynuację pomocy dla krajów rozwijających się, która byłaby ukierunkowana na rozwój zgodny z paradygmatem zrównoważonego rozwoju.

Polska chce się mocniej włączyć w międzynarodową współpracę w dziedzinie rolnictwa, eksploracji kosmosu, rozwoju technologii kosmicznych i sektora IT jako jednej z płaszczyzn zaostrzającej się rywalizacji geopolitycznej. Chce przy tym wzmacniać markę kraju w oparciu o promocję kultury.

Zauważono, że ani nasz kraj, ani UE nie cieszą się suwerennością technologiczną, podczas gdy wiele znaczących technologii powstaje poza Europą. Trzeba więc dążyć do zapewnienia sobie dostępu do kurczących się złóż metali ziem rzadkich. Zadanie to jest jednak trudne w realizacji i wiąże się z dużym ryzykiem wystąpienia nowych rodzajów incydentów (awarie niewiadomego pochodzenia, eskalacja konfliktów wywoływanych przez podmioty niepaństwowe, wojna „zaprzeczalna”, lokalne konflikty zbrojne). W tym kontekście jeszcze większym wyzwaniem okazuje się wzmocnienie systemów bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego, zarządzania kryzysowego i ochrony ludności, a także odnawianie celów strategicznych.

Polska musi sobie lepiej radzić z cyberprzestępczością i cyberterroryzmem. Mogą one wszakże skutecznie zaburzyć ciągłość funkcjonowania państwa lub wywołać panikę społeczną. W KRK 2050 podkreśla się zagrożenie związane z „tworzeniem i rozpowszechnianiem fałszywych informacji, mających na celu wprowadzenie odbiorców w błąd, powodowanie szkód i kosztów” (s. 45). Tymczasem z powodu cyfryzacji, większej liczby urządzeń podłączonych do sieci i podlegających bezprzewodowej kontroli oraz niestabilnej sytuacji geopolitycznej – wzrośnie też liczba cyberzagrożeń.

KRK 2050 sugeruje, że należy przygotować się na deglobalizację spowodowaną przenoszeniem produkcji bliżej rynków zbytu, regionalizacją świata i jego ewentualną dwubiegunowością. Istotne okazują się mocniejsze lokalne powiązania gospodarcze, rozumiane jako element polityki budowania odporności. „Istotne w tym kontekście jest wspieranie sektora mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw, który – ze względu na mniejsze niż w przypadku korporacji zasoby finansowe i organizacyjne – jest bardziej wrażliwy na efekty globalnych szoków i kryzysów. Jednocześnie sektor ten jest stosunkowo słabo powiązany z globalnymi sieciami gospodarczymi i silnie osadzony w lokalnych gospodarkach. W połączeniu z bardzo wysokim udziałem mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw w strukturze gospodarczej kraju, przy zastosowaniu odpowiednich mechanizmów wsparcia, sektor ten może zwiększyć elastyczność i odporność krajowej gospodarki w zmieniającym się globalnym otoczeniu” (s. 48).

KRK 3050 akcentuje kwestię stabilnego systemu zarządzania i współrządzenia państwem, które jest możliwe dzięki rozwijaniu predykcji w oparciu o dane z sektora publicznego i prywatnego. Wchodzą tu w grę także nowe narzędzia zarządzania, w tym działające za pośrednictwem cyfrowych bliźniaków, symulujące procesy i inwestycje w świecie wirtualnym oraz stosowanie metod z zakresu foresightu strategicznego, wykorzystywania endogenicznych potencjałów terytoriów i własnych zasobów. Możemy się więc spodziewać jeszcze większego nacisku na inwentaryzację wszelkich dóbr, gromadzenie danych do wszechstronnej analizy oraz długofalowego planowania rozwoju czy podejmowania decyzji na wszystkich szczeblach zarządzania.

Warto podkreślić, że chociaż obecne władze prowadzą walkę z niepoprawnymi politycznie NGO-ami i powiązanymi politycznie, w KRK 2050 organizacje społeczeństwa obywatelskiego pełnią istotną rolę. Państwo planuje wykorzystać je do oddziaływania na szerszą opinię publiczną, tak aby ta zaakceptowała wizję rozwoju państwa zgodną z paradygmatem zrównoważonego rozwoju (zaangażowanie w procesy partycypacji i tak zwanej demokracji deliberatywnej). Mają one przeciwdziałać i ograniczać postępującą polaryzację społeczną,

zwalczać radykalizm, podatność na manipulacje i rosnącą frustrację. Dlatego proponuje się „rewizję i wsparcie warunków rozwoju organizacji działających na rzecz zwalczania nierówności, dezinformacji i korupcji, obrony praw człowieka, wzmacniania praworządności, umiejętnego korzystania z mediów, tak by mogły skutecznie wywierać wpływ na dyskurs publiczny, decyzje świata polityki i biznesu, kształt aktów prawa i wdrażanie polityk” (s. 51).

Dostrzeżono w KRK 2050 postępującą monopolizację ze strony globalnych korporacji, które zagrażają systemom zarządzania państwem. Stąd, by zapobiec dominującej roli korporacji, „konieczne jest odpowiednie zdefiniowanie relacji na linii państwo-korporacje”. Miałyby to być współpraca zgodna z zasadą odpowiedzialności społecznej, przynosząca obopólne korzyści (s. 51).

W związku z przejmowaniem przez korporacje wybranych funkcji publicznych, KRK 2050 kładzie nacisk na rozbudzanie wśród obywateli identyfikacji z państwem. „Mieszkańcy kraju powinni czuć, że państwo służy ich potrzebom zarówno w świecie rzeczywistym, jak i wirtualnym a instytucje publiczne działają w ich najlepszym interesie. Zwiększy to zaangażowanie obywateli i gotowość do współpracy w budowie lepszego i bardziej stabilnego państwa, w dynamicznie zmieniającym się świecie globalnych korporacji i technologicznego postępu. W ten sposób może zostać wygenerowane sprzyjające otoczenie do wypromowania patriotyzmu obywatelskiego, rozumianego jako odpowiedzialność i zaangażowanie w dobro wspólne” (s. 51).

Państwo i obywatele mieliby również mieć zapewnioną kontrolę nad kluczowymi zasobami materialnymi (np. transport, infrastruktura krytyczna) i niematerialnymi (np. dane, informacje, serwery), aby nie mogły zostać one wykorzystane przeciwko użytkownikom, np. poprzez ograniczenie możliwości używania środków transportowych, czy telekomunikacyjnych (zob. s. 51). Postępuje wszakże proces prywatyzacji usług publicznych, który w innych państwach, jak chociażby w Holandii, prowadzi do wzrostu cen podstawowych usług komunalnych. Przyczyną tego stanu rzeczy jest bezrefleksyjne przekazywanie

uprawnień przez samorządowców na rzecz korporacji realizujących wizje inteligentnych miast (smart city). W wyniku tego ceny usług gwałtownie wrosły. Gdy określone usługi stają się mniej opłacalne lub wymagają dużych nakładów inwestycyjnych, korporacje oczekują finansowania w dużej mierze z budżetu samorządów. Jeśli zaś do tego nie dojdzie, ograniczają zakres usług.

Uwzględniając ww. dokument, widać wyraźnie, że przyszłe rządy – zgodnie z wcześniej przyjętymi zobowiązaniami – wcale nie zamierzają rezygnować z działań na rzecz „zwalczania zmian klimatycznych”, z dekarbonizacji gospodarki, ani z wprowadzania daleko idących zmian wynikających z podpisania globalnych porozumień w sprawie klimatu, bioróżnorodności itp.

Dekarbonizacja i digitalizacja zostały uznane za priorytety tak w Agendzie 2030, jak i w unijnych strategiach rozwoju. Znalazły też odzwierciedlenie w Europejskim i Polskim Ładzie oraz najnowszych dokumentach strategicznych: w KRK, która zastąpiła Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju do 2020 roku (z perspektywą do 2030 roku) i Strategii Rozwoju państwa do 2035 roku.

STRATEGIA ROZWOJU PAŃSTWA DO 2035 R.

Najnowsza „Strategia rozwoju państwa do 2035 r.” powstała w związku z dynamicznie rozwijającą się sytuacją na arenie międzynarodowej (kryzys migracyjny, „pandemia Covid-19” i atak Rosji na Ukrainę), aby zbudować odporność na kryzysy i być w stanie szybko mobilizować zasoby. Wprowadza „elastyczność celów i zasad działania”. „Wyzwaniem jest takie budowanie odporności i bezpieczeństwa, żeby nie tylko nie zakłócało to procesów gospodarczych, lecz stało się jednym z katalizatorów rozwoju” (s. 5).

„Średniookresowa strategia rozwoju kraju jest kluczowym dokumentem strategicznym polskiego państwa. Wizja rozwoju Polski została określona w koncepcji Rozwoju Kraju do 2050 r. Średniookresowa strategia rozwoju kraju zawiera operacjonalizację tej wizji w horyzoncie do 2035 r. Zgodnie z Ustawą o zasadach prowadzenia polityki

rozwoju określa uwarunkowania, cele i kierunki rozwoju kraju w wymiarze społecznym, gospodarczym i przestrzennym. Jest także istotnym punktem odniesienia dla strategii niższego rządu: ponadregionalnych, regionalnych i sektorowych” (s. 5).

„Wiodącym motywem Strategii jest poszukiwanie nowej równowagi między konkurencyjnością gospodarki, spójnością społeczną oraz bezpieczeństwem kraju” (s. 5).

Przyjmuje się w niej, że Polska to kraj o umiarkowanym rozwoju. Wskazuje na to PKB oraz inne wskaźniki, chociaż elity międzynarodowe włączyły nasz kraj do grupy państw najbardziej rozwiniętych (do której nie należą np. Chiny). Toteż, zgodnie z oficjalną dokumentacją międzynarodową, mamy obowiązek przeznaczania określonych środków na rozwój krajów mniej rozwiniętych. Stąd teoretycznie środki przekazywane przez Polskę jako ODA (Official Development Assistance) mogą trafić do drugiej globalnej potęgi gospodarczej na świecie, za jaką uznaje się Chiny. W 2023 roku wartość polskiej pomocy ODA wyniosła blisko 11 mld zł, czyli 0,33 proc. Dochodu Narodowego Brutto. W tamtym okresie duża jej część została przeznaczona na wsparcie uchodźców z Ukrainy.

W obejmującej blisko 300 stron Strategii rozwoju do 2035 roku, zwraca się uwagę na zachwianie bezpieczeństwa Polaków z powodu wojny na Ukrainie. W związku z tym Strategia koncentruje się głównie na tej właśnie kwestii. Jeśli chodzi o konkurencyjność, to stawia się na wysoki wzrost gospodarczy. W przypadku spójności społecznej i terytorialnej – na dobrą jakość życia wszystkich obywateli bez względu na miejsce zamieszkania, a w przypadku bezpieczeństwa kraju – na siłę militarną, odporność społeczeństwa i instytucji państwa na kryzysy.

„W polityce regionalnej kraju nowa równowaga oznacza dbałość w równym stopniu o rozwój metropolii, małych i średnich miast oraz obszarów wiejskich” (policentryzm) (s. 6).

Strategia jest ponoć możliwa do wykonania. Stąd też jej elastyczność. Zresztą, co roku ma być przedstawiany dokument pt. „Roczna Diagnoza Strategiczna”. Postęp będzie wówczas oceniany za pomocą wybranych wskaźników. Strategia obejmuje także Plan działań z kluczowymi projektami, które miałyby być zrealizowane w latach 2026–2029.

„Ważnym uczestnikiem realizacji Strategii będzie samorząd terytorialny. Strategia wdraża ideę terytorializacji polityk publicznych szczebla krajowego i wskazuje, że warunkiem jej wypełnienia jest współpraca z samorządami i między samorządami różnych poziomów administracyjnych” (s. 6).

Złożona z czterech części (tj. diagnostycznej, kierunkowej, wdrożeniowej i opisującej system realizacji strategii), zawiera 4 cele i 17 priorytetów.

„Strategia określa trzy główne cele dla polityki rozwoju państwa w najbliższej dekadzie: cel demograficzny: Łagodzenie zmian demograficznych i adaptacja do nich; cel gospodarczy: Tworzenie warunków dla konkurencyjnej i sprawiedliwej gospodarki, z poszanowaniem dla środowiska i klimatu; cel bezpieczeństwa: Wzmocnienie bezpieczeństwa, odporności i sprawności państwa. Strategia wskazuje także jeden cel horyzontalny: Zrównoważony rozwój terytorialny oparty na policentrycznej sieci osadniczej” (s. 8).

Zauważając wielki problem demograficzny, zaznaczono, że „zmiany demograficzne w Polsce w najbliższej dekadzie znacząco zmieniają dotychczasowy porządek ekonomiczny i społeczny”. Państwo ma łagodzić skutki spadku dzietności i liczby osób w wieku produkcyjnym, dostosowując usługi publiczne, infrastrukturę i regulacje do nowych okoliczności.

Trend spadku dzietności powinien się odwrócić choćby za sprawą budowania pozytywnego wizerunku rodzicielstwa, ułatwiania dostępu do mieszkań, usług placówek przedszkolnych, żłobków, zwiększania stabilności dochodów młodych ludzi, itp.

Jednocześnie zakłada się, że Polacy będą pracować dłużej, często się przekwalifikowując. Przyjmuje się także „kontrolowaną migrację” (s. 8). Zastrzeżono, że skala migracji będzie ograniczona ze względu na „potrzeby zachowania bezpieczeństwa wewnętrznego i spójności społecznej” (s. 8).

Usługi mają być dostosowywane do potrzeb szybko starzejącej się ludności (opieka zdrowotna, długoterminowa, aktywizowanie i socjalizacja seniorów – to zadanie przede wszystkim dla samorządów). Mają upowszechnić się „Centra Usług Społecznych” (s. 9).

Jeśli chodzi o cel gospodarczy, to „Polski model gospodarczy powinien ewoluować w kierunku wytwarzania dóbr i usług o wysokiej wartości dodanej. Dotychczasowy model, oparty o przewagę w produkcji dóbr o niskim zaawansowaniu technologicznym, inwestycje zagraniczne i słabą pozycję pracowników, ma ograniczenia, które mogą uniemożliwić dalszą poprawę pozycji gospodarczej Polski i wzrost jakości życia obywateli. Model ten ma bowiem tendencję do utrwalania pozycji gospodarki jako konkurującej kosztami pracy, a nie innowacyjnością czy jakością dóbr i usług” (s. 9).

Aby przezwyciężyć te ograniczenia, strategia przyjmuje, że krajowe firmy położą większy nacisk na realizację funkcji przed- i poprodukcyjnych, takich jak badania i rozwój, zarządzanie, marketing czy logistyka. Tyle tylko, że problemem jest tutaj dominacja w naszym kraju pośród największych firm, tych z kapitałem zagranicznym. Niewiele znajdziemy krajowych podmiotów prywatnych o tak dużym potencjale. Dlatego w Strategii mówi się o potrzebie „wyraźnie większego apetytu na ryzyko w gospodarce” (s. 9).

Sugerowane są inwestycje ryzykowne, eksperymentalne. Jednocześnie nowe, duże przedsiębiorstwa miałyby powstać dzięki wzrostowi liczby zamówień publicznych. Państwo miałoby stymulować popyt za sprawą działań w pięciu poszczególnych obszarach. Pierwszy z nich to obszar edukacji, tj. kolejna reforma edukacji i nacisk na umiejętności przekrojowe, samokształcenie, myślenie krytyczne, współpracę

w zespole, wzmacnianie prestiżu zawodu nauczyciela, zmniejszenie nierówności edukacyjnych i kształcenie przez całe życie. Drugi obszar dotyczy budowy infrastruktury. Polska ma być hubem logistycznym Europy. Dlatego w Strategii uwzględniono budowę CPK, portów, terminali intermodalnych, nowych połączeń kolejowo-drogowych, transgranicznych itp.

Trzeci obszar to tworzenie ekosystemu finansowego i bazy naukowej. Wlicza się w to kompletny system finansowania przedsiębiorstw, wsparcie państwa dla zagranicznej ekspansji oraz transfer wiedzy między przedsiębiorstwami a naukowcami.

Czwarty obszar dotyczy prowadzenia polityki przemysłowej, tj. wsparcia dla branży związanej z zapewnieniem bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego, rozwoju branży energochłonnych i wysokoemisyjnych, wymagających szybkiej dekarbonizacji, także branży powiązanych z celami społecznymi Strategii, nowych globalnych branży wiodących oraz krajowych inteligentnych specjalizacji.

Piąty obszar dotyczy zapewnienia dostaw i stabilnych cen energii. W tym wypadku Strategia wskazuje na potrzebę pogodzenia trzech komponentów: 1) bezpieczeństwa dostaw, 2) niższej emisyjności sektora oraz 3) stabilnych cen energii. Stawia się zatem na „intensywny rozwój OZE połączony z inwestycjami w moce bilansujące, głównie elektrownie gazowe i magazyny energii, a także inwestycje w energię jądrową” (s. 10). Wymaga to jednak gruntownej przebudowy sieci elektroenergetycznej, a także działań łagodzących skutki społeczne kosztownej transformacji.

Planuje się też odejść od słabo płatnych miejsc pracy oraz podjąć walkę z polaryzacją społeczną. Mają być wzmocnione prawa pracowników. Będzie więcej działań na rzecz dekarbonizacji, poprawy jakości powietrza, lepszego zarządzania zasobami wody i odbudowy zasobów przyrodniczych.

Jeśli chodzi o cel bezpieczeństwa, to stawia się na rozbudowę krajowych zdolności obronnych, przemysłu zbrojeniowego, modernizację infrastruktury, itp. Ponadto wskazuje się na budowę gotowości społecznej (ma powstać nowoczesny system obrony cywilnej), jak również sprawnej administracji opartej na danych oraz nowych technologiach.

Cel horyzontalny to zrównoważony rozwój terytorialny, czyli kontynuowanie policentrycznej struktury osadniczej, która zwiększa odporność państwa na wypadek konfliktu zbrojnego. Wszystko powinno być dostosowane do sieci 80 miast metropolii, ośrodków regionalnych i subregionalnych. Cel policentryczności zostanie także wpisany w różne polityki publiczne. Akcentuje się cztery elementy tych polityk: 1) rozwiniętą bazę ekonomiczną, 2) dostępne mieszkania, 3) silne powiązania komunikacyjne i 4) dobrą jakość usług publicznych. Rozbudowana sieć publicznego transportu odgrywa istotną rolę w rozwoju państwa.

Przewidziano obszary strategicznej interwencji, czyli tereny, gdzie państwo będzie jeszcze bardziej obecne niż dotychczas. Chodzi o gminy w otoczeniu CPK, energetyki jądrowej i morskiej energetyki wiatrowej, szczególnie dotknięte transformacją energetyczną, przy zewnętrznych granicach. Władza centralna ma wspierać policentryczną sieć miast i gminy wiejskie w sposób szczególnie zagrożone z powodu złej struktury demograficznej.

W diagnozie *Strategii rozwoju państwa do 2035 r.* zaznaczono, że rosyjska agresja na Ukrainie i zmiany demograficzne wymusiły zmianę strategii. Trzeba budować konkurencyjną gospodarkę, zdolną sprzedawać na globalnym rynku coraz bardziej zaawansowane technologicznie dobra i usługi, by osiągnąć przewagi komparatywne. Ważne jest przy tym nie tylko to, co produkuje się w danej gospodarce, ale także na jakim etapie łańcucha dostaw się jest. Chodzi o to, by coraz więcej przedsiębiorstw krajowych było na etapie przed- i poprodukcyjnym. By odejść od produkcji dóbr o niskim i średnim poziomie zaawansowania technologicznego i niskich kosztów pracy.

Wskazuje się, że „Polska posiada silną pozycję na etapie produkcji dóbr, umiarkowaną w fazie poprodukcyjnej oraz słabą w fazie przedprodukcyjnej. Polska gospodarka w globalnych łańcuchach wartości realizuje przede wszystkim funkcję produkcyjną oraz poprodukcyjną” (s. 18).

Aby utrzymać wysoką dynamikę wzrostu gospodarczego w Polsce, trzeba odejść od modelu, w którym wzrost napędza integracja z UE, napływ inwestycji zagranicznych, upowszechnienie szkolnictwa wyższego i sprzyjająca struktura demograficzna. Już od 2028 roku KE prognozuje spadek dynamiki PKB w Polsce do poziomu ok. 2% rocznie.

W Strategii zwraca się uwagę na stabilność gospodarki i niskie zadłużenie publiczne, jak i prywatne (zob. s. 21), chociaż zadłużenie to rośnie w bardzo szybkim tempie. Według KE, Polska ma lepszą sytuację niż większość państw UE, jeśli weźmie się pod uwagę wysokość długu publicznego i prywatnego, z dopuszczalnymi progami wynoszącymi odpowiednio 60 proc. PKB oraz 133 proc. PKB.

W 2023 roku zadłużenie sektora prywatnego wyniosło 56% PKB. Ma to nas sytuować na czwartym od końca miejscu z najniższym wynikiem w Unii Europejskiej. Niski dług prywatny z jednej strony zmniejsza podatność gospodarki na kryzysy, ale z drugiej – stanowi jej niewykorzystany potencjał (zob. s. 21).

Takie sugestie ze strony Brukseli mogą tłumaczyć niefrasobliwą politykę zadłużeniową obecnej ekipy rządzącej.

W Strategii stawia się na mocny rozwój rynku IT. Jednocześnie spodziewany jest spadek podaży pracy: do 2035 roku liczba osób w wieku produkcyjnym spadnie o 1,5 mln, a do połowy wieku o 6 mln (zob. s. 23). Taka perspektywa może wymusić automatyzację i robotyzację pracy. Chociaż problemem jest niska innowacyjność, zwłaszcza małych i średnich przedsiębiorstw (zob. s. 26).

Wobec tego istotny jest znaczny i ciągły spadek znaczenia UE pod względem konkurencyjności wobec USA i Chin.

„W 1995 r. PKB USA było wyższe od PKB krajów UE w obecnym kształcie o 9%, podczas gdy w 2023 r. było to już 44%. Jednocześnie nastąpił znaczący wzrost PKB Chin, wskutek czego w drugiej dekadzie XX wieku wielkość gospodarki Chin przewyższyła wielkość gospodarek krajów Unii i znacząco przybliżyła się do wielkości gospodarki USA” (s. 26). Przewiduje się, że wskutek zastosowania technologii przełomowych, do których zalicza się tak zwaną sztuczną inteligencję (AI), komputery kwantowe itp. dojdzie do istotnych zmian w systemie gospodarczym świata, a punkt startowy UE w tym wyścigu jest słaby. Przykładowo, zaledwie jedna na dziesięć największych spółek technologicznych na świecie pochodzi z państw członkowskich UE.

Wszystko to będzie miało decydujące znaczenie dla konkurencyjności polskiej gospodarki w najbliższych dekadach. Podkreśla się, że pozycja Polski jest silnie zależna od pozycji całej UE. Państwa UE pozostają najważniejszym partnerem handlowym Polski – odpowiadają za 74% krajowego eksportu oraz 53% importu (dane GUS). Po drugie, „w takich okolicznościach tym ważniejsza dla konkurencyjności polskiej gospodarki wydaje się być jej zdolność do absorpcji i adaptacji szybko zmieniających się technologii” (s. 26).

Jednocześnie „Polska gospodarka należy do najbardziej emisyjnych w Europie w sektorze energii” (s. 27). W 2023 roku udział węgla w produkcji energii elektrycznej wynosił 61% (dane GUS). Tak energochłonny jest bowiem nasz rodzimy przemysł.

Nasza konkurencyjność ma spadać za sprawą wysokich cen energii oraz trudności w realizacji celów klimatycznych. Jednak, jak przyznano, negatywne konsekwencje „wysokiej emisyjności” biorą się raczej ze stworzonego w wyniku decyzji politycznych systemu opłat za uprawnienia do emisji CO₂. Stanowi on mianowicie barierę dla rozwoju części firm, znacząco obciążając gospodarstwa domowe.

Unijny system handlu emisjami sprawił, że Polska ma jedną z najwyższych średnich cen energii elektrycznej w UE. Cena ta na rynku hurtowym w III kw. 2024 roku wynosiła w Polsce 101euro za MWh wobec średniej unijnej na poziomie 78 euro za MWh.

Co więcej, skutek wymuszania raportowania pozafinansowego związanego ze zrównoważonym rozwojem jako imperatywem (raportowanie ESG), „wysoka emisyjność staje się bezpośrednią barierą w realizowaniu przedsięwzięć biznesowych, gdyż kontrahenci w globalnych łańcuchach dostaw coraz częściej stawiają wymogi dotyczące realizowania transformacji klimatycznej przez przedsiębiorstwa” (s. 27).

W Strategii zaznacza się, że „Dekarbonizacja krajowej i globalnej gospodarki jest niezbędna dla ochrony klimatu, a sprawnie przeprowadzona może być także korzystna dla wzrostu gospodarczego i jakości życia obywateli” (s. 27). Na poparcie tej tezy przywołuje się badania Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu, a więc ciała politycznego, który forsuje „konsensus naukowy”, jakoby działalność człowieka przyczyniła się do wzrostu emisji gazów cieplarnianych, tym samym odpowiadając za ocieplenie się klimatu i rzekomo związane z tym ekstremalne zjawiska naturalne takie, jak fale gorąca, susze, pożary, gwałtowne cyklony czy intensywne opady.

„W celu zmniejszenia negatywnego wpływu na klimat Unia Europejska przyjęła Europejski Zielony Ład, czyli plan osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r., a następnie pakiet Fit for 55, zakładający do 2030 r. redukcję emisji w UE o 55% w stosunku do 1990 r. Elementem działań w tym kierunku jest rozszerzanie systemu handlu uprawnieniami do emisji na kolejne sektory, tj. budowlany, transportu drogowego i inne sektory dodatkowe. Badania wskazują, że dla osiągnięcia celów w zakresie dekarbonizacji polskiej gospodarki konieczna jest intensyfikacja działań w tym obszarze. Jednocześnie działania te mogą przyspieszyć dynamikę PKB w Polsce, m.in. ze względu na stosunkowo silną pozycję krajowych firm w wiodących łańcuchach wartości czystych technologii” (s. 27).

Nie ma się więc co łudzić co do Europejskiego i Polskiego Zielonego Ładu. Programy te będą konsekwentnie realizowane.

W Strategii zwraca się uwagę na budowanie spójności społecznej. Dokument wyróżnia trzy jej wymiary. Pierwszy wymiar ekonomiczny wiąże się z pogłębiającymi się nierównościami dochodowymi. „Uboższe 50% społeczeństwa ma do dyspozycji mniejszą część dochodu niż 10% najlepiej zarabiających. W 2019 r. ci pierwsi dysponowali 27,5% całkowitego dochodu w gospodarce, a ci drudzy – 31%. Co więcej, do 1% najlepiej zarabiających trafiało niemal 12% całkowitego dochodu – wśród krajów UE jedynie Bułgaria odnotowała wyższą wartość tego wskaźnika. Zróżnicowane są także źródła dochodu: uboższe 50% społeczeństwa prawie całość swoich dochodów czerpie z pracy i emerytur, podczas gdy najlepiej zarabiający częściej czerpią dochody głównie z działalności gospodarczej” (s. 29).

Szacuje się, że w 2014 r. 10% najbogatszych osób posiadało niemal 50% całego majątku w Polsce. Te dysproporcje jeszcze się zwiększą. W 2023 roku nastąpił niepokojący wzrost ubóstwa skrajnego względem roku poprzedniego o 2 pkt. proc. do 6,6% . Istotnym problemem w Polsce są także nierówności w zdrowiu. Jest wysoka polaryzacja i bardzo niska formalna aktywność społeczna i polityczna (zob. s. 31).

Wyraźnie większe jest zarazem zaangażowanie nieformalne, w tym zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Polacy wybierają nieformalne działania wolontariackie, niosąc pomoc innym. Nie darzą rządzących i instytucje państwa zaufaniem. Zaledwie 1/3 ma zaufanie do sądów, a mniej niż 1/4 ufa Sejmowi i Senatowi oraz Trybunałowi Konstytucyjnemu. Młodzi ludzie zaś czują się wyobcowani w szkole, a blisko 30% ma trudności w nawiązywaniu relacji (zob. s. 33).

Postępuje poziom wyludniania gmin i starzenia populacji, co zacznie nam stawiać coraz większe wyzwania, generując konflikty i nierówności międzypokoleniowe, niechęć do rodzin z dziećmi, itp.

Dlatego w Strategii kładzie się nacisk na ochronę ludności przed zagrożeniami nie tylko zewnętrznymi, ale także wewnętrznymi. Nie chodzi tu jedynie o ataki o charakterze militarnym, cybernetycznym czy hybrydowym. Strategia wskazuje także na problem zakłócania wewnętrznego porządku publicznego.

Zakłada się budowę odporności na nagłe nieprzewidziane zdarzenia mogące wywołać kryzys w określonym obszarze, np. zdrowotnym czy w zakresie dostępności do podstawowych dóbr.

„Bezpieczeństwo w Strategii obejmuje więc odporność, rozumianą jako umiejętność radzenia sobie przez państwo i społeczeństwo z nietypowymi sytuacjami i zdolność do sprawnego powrotu do normalnego funkcjonowania. Szczególnym wymiarem bezpieczeństwa jest bezpieczeństwo łańcuchów dostaw przejawiające się w możliwie najniższej zależności importowej w łańcuchu produkcji kluczowych dóbr” (s. 39).

Jednym z gwarantów bezpieczeństwa Polski ma być zaangażowanie w sojusze międzynarodowe i liczne wspólne inicjatywy NATO na rzecz bezpieczeństwa wschodniej flanki. Polska powinna aktywnie działać na rzecz wzmocnienia bezpieczeństwa w ramach UE, w tym na rzecz realizacji wspólnej obrony powietrznej i przeciwrakietowej. Wspólnie z państwami nadbałtyckimi pełni ona działania na rzecz obrony granicy z Białorusią i Rosją; polegają one na budowie umocnień, wałów, magazynów i miejsc schronienia.

Poważnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa wewnętrznego kraju okazuje się nielegalna, stymulowana przez wsparcie rosyjskich sił (zob. s. 40), migracja ludności przez granicę Polski z Białorusią.

Polska pozostaje jednocześnie silnie uzależniona od importu produktów spoza UE. Obniża to jej odporność na kryzysy. „Analiza Polskiego Instytutu Ekonomicznego wskazuje na blisko 900 produktów, w przypadku których istnieje wysoki stopień uzależnienia Polski od ich importu spoza UE (na ok. 5300 analizowanych). Do najbardziej

wrażliwych na import spoza UE ekosystemów produkcji należą energochłonne gałęzie przemysłu, cyfryzacja i elektronika oraz zdrowie” (s. 41).

Co szczególnie istotne, za kluczowe zagrożenia dla bezpieczeństwa uznaje się nie tylko konflikt militarny z Rosją i Białorusią, bądź też ataki o charakterze niemilitarnym (presję migracyjną) oraz ataki cybernetyczne, lecz również dezinformację w celu wywołania polaryzacji społecznej.

Innym zagrożeniem jest rosnący protekcyjizm. Może on skutkować przerwaniem łańcuchów dostaw; dotyczy to zresztą relacji między największymi blokami gospodarczymi, tj. UE, USA i Chinami.

„Zaostrzające się wojny handlowe mogą doprowadzić do znaczącego wzrostu cen niektórych dóbr, a w skrajnym scenariuszu przerwania łańcuchów dostaw. Taka sytuacja byłaby szczególnie dotkliwa w sektorze ochrony zdrowia, gdzie mogłaby skutkować niedostępnością wybranych leków, a także w sektorze energii, gdzie konsekwencją byłby wzrost cen energii i utrudnienia procesu transformacji energetycznej. Utrzymanie bezpieczeństwa wymaga także posiadania rozwiniętego krajowego łańcucha dostaw w zakresie dostarczania i serwisowania sprzętu wojskowego oraz produkcji amunicji” (s. 42-43).

Polska w coraz większym stopniu boryka się z problemem postępującego kryzysu miast średnich. Elementami walki z depopulacją ma być z jednej strony propagowanie procedury in vitro, a z drugiej kreowanie pozytywnego wizerunku rodziny, macierzyństwa, dobrostanu dzieci oraz chętnie przyjmowanie migrantów.

„Rosnąca liczba cudzoziemców niemających przed przyjazdem związków z Polską wymaga systematycznego podejścia do włączenia ich w społeczeństwo – tak, by zmniejszyć ryzyko powstania społeczności równoległych” (s. 73).

Za najważniejsze bariery dla realizacji odpowiedzialnej polityki migracyjnej Strategia uznaje: brak dostatecznej kontroli nad procesami migracyjnymi, co doprowadziło w ostatnich latach do znaczącego wzrostu imigracji z krajów Azji, Bliskiego Wschodu i Ameryki Południowej. Nastąpiła „prywatyzacja” polityki migracyjnej, polegająca na sprowadzaniu migrantów przez pracodawców i pośredników w zakresie zatrudnienia. Niefrasobliwie postępowały także uczelnie, które „oferowały miejsca dla studentów z zagranicy bez dostatecznej weryfikacji kwalifikacji oraz kontroli nad ich procesem edukacji, w tym obecności na zajęciach i faktycznego podjęcia studiów” (s. 74).

Obecnie postuluje się „stworzenie modelu dopuszczania cudzoziemców do rynku pracy w zawodach deficytowych” (s. 75). W ten sposób powstaną warunki dla bezpiecznej i kontrolowanej imigracji zarobkowej. W grę wchodzi tutaj specjalne regulacje dotyczące zawodów długotrwale deficytowych. Polska „ma ściągać” do pracy pracowników posiadających „unikatowe, wysokospecjalistyczne umiejętności”. Pracodawcy realizujący inwestycje o strategicznym znaczeniu dla kraju lub obronności państwa będą mogli liczyć na ułatwienia w celu sprowadzania migrantów.

W Strategii zwraca się również uwagę na większe aktywizowanie Polonii na polu dyplomacji publicznej. Wcześniej przewidziano odpowiedni system edukacji ukierunkowany na promocję pozytywnych cech członkostwa Polski w UE i NATO. Pojawią się wizy dla zagranicznych naukowców, zaś samo państwo będzie nie tylko wymagać nauki języka polskiego wśród migrantów, lecz również wprowadzi test obywatelski, itp.

Strategia obejmuje kwestie zwiększenia profilaktyki zdrowotnej na przykład poprzez szczepienia (w tym przeciw HPV) czy walkę z „dezinformacją” na temat chorób. Systemy szpitalne mają zostać odciążone. Dzięki profilaktyce do szpitali będzie się przyjmowało mniej osób, nastąpi na tym gruncie rozwój telemedycyny, tzw. sztucznej inteligencji i innych rozwiązań cyfrowych.

Ma się rozwijać infrastruktura transportowa, w tym kolej dużej prędkości, a Ogólnopolski Bilet Zintegrowany miałby zniechęcić do transportu indywidualnego (zob. s. 127). Stawia się też na racjonalny rozwój mobilności zero- i niskoemisyjnej, miejską mobilność powietrzną opartą o platformy bezzałogowe i statki elektryczne (eVTOL) oraz dostosowane do niej instalacje logistyki i systemy zarządzania ruchem zautomatyzowanym. Mają one stać się częścią przyszłej multimodalnej, inteligentnej mobilności w miastach. Docelowo powstanie również zintegrowany system transportu obejmujący infrastrukturę naziemną i powietrzną (zob. s. 130).

Polska ma być „hubem innowacji Europy Środkowo-Wschodniej i jednym z motorów napędowych innowacyjności w Europie” (s. 135). Tę innowacyjność będzie wymuszać sam rząd. Władza będzie jednocześnie wspierać skalowanie działań firm oraz ich ekspansję na rynki zagraniczne.

W naszym kraju mamy ponadprzeciętnie wysoki udział firm mikro w strukturze wielkościowej. Aż 37% pracowników znajduje zatrudnienie w tego typu biznesach zatrudniających od 1 do 9 pracowników. Średnia w UE wynosi 32%. Mamy zarazem niewielką liczbę firm małych i średnich, tj. zatrudniających od 10 do 249 pracowników. Zaledwie co dziesiąta z nich rośnie szybko, to znaczy zwiększa zatrudnienie o co najmniej 10% rocznie przez trzy kolejne lata (zob. s. 135).

Wśród największych firm niewiele znajdziemy dużych krajowych firm prywatnych. Dominują spółki Skarbu Państwa oraz spółki z przewagą kapitału zagranicznego. Na liście 100 największych przedsiębiorstw w Polsce udział firm z dominującym krajowym właścicielem prywatnym nie przekracza 25%.

Przedsiębiorstwa za mało inwestują w badania i rozwój (B+R). W grupie 1000 firm w Europie z największymi inwestycjami w B+R znalazły się tylko trzy polskie rodzime przedsiębiorstwa z sektorów o wysokim stopniu innowacyjności. Są to CD Projekt, Asseco i Captor Therapeutics.

Wyzwaniem dla rozwoju firm są nadmierne regulacje i zniekształcona konkurencja na rynku. Obserwuje się też niski poziom transferu wiedzy i technologii pomiędzy nauką a biznesem.

By poprawić tę sytuację, postuluje się deregulację i uproszczenie procedur administracyjnych, maksymalne wykorzystanie potencjału Sieci Badawczej Łukasiewicz, zagwarantowanie minimalnego wskaźnika sukcesu w konkursach o kontrakty publiczne dla rodzinnych firm, dalszą dekarbonizację przemysłu, rozwój infrastruktury sztucznej inteligencji (obliczeniowej), zapewnienie dostępu do zbiorów danych dla testowania i rozwijania algorytmów AI, wzmacnianie transformacji cyfrowej przedsiębiorstw, w tym robotyzacji i automatyzacji, utworzenie Funduszu Transformacji Cyfrowej i Przyjaznej dla Środowiska (zob. s. 153).

W miejsce Przemysłu 4.0 rozpoczną się prace nad rozwijaniem koncepcji Manufacturing-X. Obejmą one ściślejszą integrację europejską w sferze cyfrowej i zielonej, a także integrację baz danych i łańcuchów dostaw, która sprzyja realizacji zrównoważonego rozwoju. Specjaliści zaczną badać „rozwój zastosowań nowych koncepcji Przemysłu X.0, takich jak Przemysł 5.0, który łączy aspekty orientacji na człowieka, zrównoważonego rozwoju oraz budowania odporności (human – centric – sustainability – resilience)” (s. 154).

Do 2035 roku Strategia przewiduje także intensywny rozwój OZE, zwiększenie mocy magazynów energii oraz innych źródeł bilansujących, rozwój energetyki obywatelskiej i zwiększenie elastyczności po stronie odbiorców (np. większą dynamikę zmian cen energii).

Produkcja energii elektrycznej brutto miałaby w przeciągu 10 lat od 2025 roku wzrosnąć ze 180 TWh do 220 TWh. Stąd „niezbędna będzie rozbudowa mocy wytwórczych w polskim systemie elektroenergetycznym. Szacuje się, że między 2025 a 2035 r. moc zainstalowana konieczna do pokrycia zapotrzebowania na energię elektryczną wzrośnie z ok. 75 GW do ponad 126 GW. Jednocześnie w tym okresie wygaszone zostanie blisko 16 GW mocy, głównie w przestarzałych

elektrowniach zasilanych węglem kamiennym i brunatnym. W związku z tym istnieje potrzeba budowy blisko 67 GW nowych mocy wytwórczych w ciągu zaledwie dekady. Pokrycie tego zapotrzebowania opierać się będzie w przeważającym stopniu na budowie nowych źródeł fotowoltaicznych oraz lądowych elektrowni wiatrowych. Są to technologie, które mają w Polsce największy potencjał do szybkiego wdrożenia, przy stosunkowo niskich kosztach. Ich uzupełnieniem będzie rozwój magazynów energii oraz dyspozycyjnych bloków gazowych (zdolnych do pracy także w oparciu o biometan i wodór). Ważnym dopełnieniem systemu będzie powstanie morskich farm wiatrowych oraz inwestycje w energetykę jądrową” (s. 156). Oszacowano, że na inwestycje z tym związane potrzeba będzie blisko 730 mld zł, a „warunkiem powodzenia transformacji energetycznej jest społeczna akceptacja dla niej” (s. 158).

Polska stawia na budowę morskich elektrowni wiatrowych. Planowane jest też ustanowienie obszarów przyspieszonego rozwoju energii ze źródeł odnawialnych. Państwo będzie wspierać rozwój obywatelskich społeczności energetycznych, spółdzielni energetycznych, klastrów energii, a także projekty związane z wytwarzaniem niski i zeroemisyjnego wodoru, jego magazynowanie i transport. Będzie można liczyć na wsparcie rozwoju rynku biogazu i biometanu, tak aby został wykorzystany do bilansowania produkcji energii ze słońca i wiatru. Z szacunków NCBR wynika, że możliwa jest produkcja na poziomie 3,2-4,7 mld m³ biometanu rocznie.

Do 2028 roku ma pojawić się zezwolenie na budowę wielkoskalowej elektrowni jądrowej w gminie Choczewo. Planuje się ukończenie budowy pierwszego bloku EJ o mocy 1250 MW w latach 2036–2040.

Do 2035 roku wyznaczy się też lokalizację kolejnej (ew. kilku kolejnych) wielkoskalowej elektrowni jądrowej (zob. s. 161).

Powstanie nowe składowisko powierzchniowe odpadów promieniotwórczych. Nastąpi modernizacja już istniejących oraz budowa

nowych sieci przesyłowych i dystrybucyjnych. Upowszechni się umowy z ceną dynamiczną za prąd (smart grid).

W Strategii mówi się o dywersyfikacji dostaw surowców strategicznych i krytycznych, a także o zwiększeniu krajowych zdolności odzyskiwania tego typu surowców oraz o ich poszukiwaniu i eksploracji, także zagranicą.

Mieszkańcy naszego kraju muszą być przygotowani na wymianę źródeł ciepła i termomodernizację budynków. Utrzymuje się, że do 2040 roku węgiel musi zostać wycofany z gospodarstw domowych. Zgodnie z szacunkami, w miastach nastąpi to najpóźniej do 2030 roku. Władza wesprze instalację pomp ciepła sprzężonych z instalacjami fotowoltaicznymi, magazynami energii i ciepła. W okresie przejściowym dopuszczalne będzie wykorzystanie biomasy i gazu ziemnego oraz rozwiązań hybrydowych.

Co ważne, trzeba nauczyć się oszczędzać energię. Władza planuje bowiem zwiększyć skalę oszczędności w zużyciu energii finalnej (czyli u odbiorcy końcowego). Osiągnie się to za pomocą systemu świadectw efektywności energetycznej oraz „środków alternatywnych”. Zostanie też wdrożona zasada „efektywności energetycznej przede wszystkim”.

Instytucje publiczne będą miały obowiązek zmniejszenia zużycia całkowitej energii finalnej do 2030 roku i dalej, średnio o 1,9% rocznie w porównaniu z 2021 rokiem. Rząd będzie stale monitorował te kwestie. Pojawią się stosowne zmiany legislacyjne w tym zakresie (zob. s. 177). Pojawi się nowy zawód regulowany: audytor efektywności energetycznej. Jednocześnie na przedsiębiorców zostaną nałożone nowe obowiązki wdrożenia systemu zarządzania energią.

Dekarbonizacja ciepłownictwa ma się dokonać poprzez elektryfikację i magazynowanie ciepła. Będzie promowana integracja fotowoltaiki z budownictwem modułowym, tzw. Building-Integrated.

Władza centralna będzie wspierać samorządy w zakresie tworzenia i ochrony terenów zielonych, zazieleniania infrastruktury (dachy, ściany, przystanki), budowy i modernizacji infrastruktury na rzecz małej retencji.

„W oparciu o doświadczenia NetZero Emission and Environmentally Sustainable Territories (NEEST) powstanie narzędzie informatyczne dla samorządów, które umożliwi im wypracowanie – poprzez modelowanie – regionalnej/miejskiej ścieżki transformacji energetyczno-klimatycznej” (s. 180).

Ściślej będzie się monitorować zużycie wody, podejmie się też więcej działań związanych z zachowaniem bioróżnorodności, co w praktyce przełoży się na wyłączanie większej powierzchni terenów zielonych z aktywności ludzkiej i zagospodarowania.

Konsekwentnie ma być realizowany model gospodarki o obiegu zamkniętym. Wspierane będą przedsiębiorstwa stawiające na zrównoważony rozwój. Ma się zwiększyć świadomość ekologiczną, a rząd wdroży system kaucyjny. „Realizowane będą działania odnoszące się przede wszystkim do: (i) zmiany postaw społecznych na takie, które sprzyjają ochronie środowiska i krajobrazu (np. zrównoważona konsumpcja, zmniejszanie śladu węglowego, odpowiedzialne korzystanie z energii, przeciwdziałanie dezinformacji klimatycznej); (ii) zapewnienia wzrostu zaangażowania mieszkańców i przedsiębiorców w działania na rzecz ochrony środowiska; (iii) integracji edukacji ekologicznej z programami nauczania” (s.182).

Władze zajmą się odbudową siedlisk lądowych dla zwierząt, do 35% w 2035 roku (zob. s. 185).

„Zostanie wzmocniony potencjał demokracji partycypacyjnej i deliberyatywnej” (s. 191). W ten sposób tradycyjne media uzyskają wsparcie w celu zwalczania polaryzacji politycznej.

Władze mają się mocniej angażować na forum międzynarodowym, a to w celu zwalczania negatywnego oddziaływania mediów społecznościowych na społeczeństwo i przeciwdziałania dezinformacji (zob. s. 192). Zostanie prowadzony monitoring „polskiej infosfery pod kątem wykrywania działań dezinformacyjnych, przeciwdziałaniu im oraz minimalizacji skutków dezinformacji. Dodatkowo zostanie wskazany organ odpowiedzialny za nadzorowanie i integrowanie działań różnych podmiotów. Opracowane procedury i standardy operacyjne, wspólne dla wszystkich jednostek, oraz udostępnione zaawansowane narzędzia technologiczne wesprą zwalczanie dezinformacji” (s. 192).

Zostanie wzmocniona służba zagraniczna oraz obecność Polaków w organizacjach międzynarodowych (profesjonalizacja dyplomacji). Stanie się to między innymi za sprawą zwiększenia liczby Polaków na wpływowych stanowiskach w UE, NATO i innych organizacjach. Polska będzie bardziej zaangażowana w politykę globalną, rozwinięciem współpracy gospodarczą, a także programy dla młodych liderów z państw rozwijających się. Kolejnym zamierzonym działaniem jest rozwijanie dyplomacji obywatelskiej i wpływu polskich organizacji pozarządowych na arenie międzynarodowej. W planie są też starania o to, aby Igrzyska Olimpijskie w 2040 lub 2044 roku zorganizowano w Warszawie.

W dalszym ciągu będzie się stawiać na rozwój zdolności obronnych i odstraszających, zaś strategicznym wyzwaniem stanie się zapewnienie bezpieczeństwa granic i rejonów przygranicznych w części wschodniej oraz północno-wschodniej kraju. Siły Zbrojne mają korzystać w większym stopniu z nowoczesnych technologii. Nastąpi reforma Systemu Kierowania i Dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP. Wojsko podejmie współpracę z NGO-ami w celu rozbudzania postaw patriotycznych i edukacji historycznej. Zwiększy się również potencjał krajowego przemysłu zbrojeniowego. Chodzi o własną amunicję i serwisowanie sprzętu.

„Szczególny nacisk zostanie położony na wsparcie projektów mających na celu rozwój: sztucznej inteligencji, technologii kwantowych, systemów autonomicznych, zautomatyzowanego przetwarzania i analizy dużych zbiorów danych, technologii satelitarnych oraz rozwiązań zapewniających kompleksowe wsparcie medyczne” (s. 202).

Władza musi odbudować system obrony cywilnej kraju, mając tu również na uwadze niezbędną infrastrukturę. Jest to jedno z pierwszoplanowych wyzwań.

W Strategii zauważono, że infrastruktura Polski jako kraju frontowego, pozostaje silnie narażona na sabotaż czy ataki. W związku z tym zauważono potrzebę doskonalenia skuteczności służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo i współpracę międzynarodową, międzyresortową, itp. Potrzebne są nowoczesne systemy analityczne, wymiana informacji, prewencja, a także przeciwdziałanie występującym i prognozowanym zagrożeniom (zob. s. 214). „Budowane będą zdolności w zakresie identyfikacji dezinformacji, rozpoznawania zagrożeń o charakterze hybrydowym oraz identyfikowania działań zagranicznych agentów (agentów wpływu)” (s. 214). Kwestia walki z dezinformacją została tu mocno wyeksponowana.

Uznaje się, że jesteśmy krajem samowystarczalnym żywnościowo. Z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa należy dążyć do utrzymania tego stanu. Eksportujemy dużo żywności (w 2024 roku wartość eksportowanej żywności od akcesji do UE wzrosła 10-krotnie i osiągnęła poziom około 231 mld zł, co stanowi 15% wartości całego polskiego eksportu). Co istotne, blisko $\frac{3}{4}$ eksportu żywności z Polski trafia na rynek europejski. W związku z umową UE z krajami MERCOSUR i niemożnością znalezienia innych potencjalnych rynków zbytu, nasze rolnictwo może napotkać poważne problemy z zachowaniem zdolności produkcyjnych niezbędnych dla zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego Polski.

Strategia przewiduje modernizację i cyfryzację gospodarstw rolnych oraz rybackich, rozwój przetwórstwa rolno-spożywczego, krótkich

łańcuchów dostaw oraz zwiększenie zdolności magazynowania, a także ograniczenie wpływu rolnictwa na klimat.

Będą promowane działania, które przyczynią się do zmniejszenia skali emisji z rolnictwa (precyzyjne nawożenie, uprawa uproszczona, bezorkowa, itp.), a także nowoczesne metody produkcji zwierzęcej i gospodarowania nawozami. Rząd będzie też promować zrównoważone wzorce konsumpcji i produkcji (zob. s. 286).

Jednocześnie państwo zacznie poszukiwać nowych źródeł dochodów publicznych poprzez systematyczny wzrost opodatkowania używek i niezdrowej żywności. Koszty transformacji energetycznej, które według szacunków wyniosą 1,8 bln zł w latach 2026-2035, zostaną pokryte z krajowych środków publicznych, funduszy unijnych oraz ze środków prywatnych (zob. s. 284).

Z wizji i programów strategicznych przedstawionych przez rządzących widać, że Polska nie zamierza zrezygnować z ekorozwoju cyfrowego. Co więcej, zamierza – mimo braku lub znacznego ograniczenia kluczowych zasobów dla tego typu rozwoju – kontynuować go, narażając obywateli na szereg negatywnych konsekwencji. Po raz kolejny nowe pokolenia Polaków będą mierzyć się z dotkliwą transformacją. A wszystko to w czasie, gdy upada liberalny porządek międzynarodowy i nie wiadomo, jak ostatecznie zostanie ukształtowany nowy ład.

WIELOBIEGUNOWOŚĆ I WOJNA USA PRZECIWKO DEKARBONIZACJI ŚWIATA

Dziś kluczowi gracze, chcąc zapewnić sobie jak najlepszą pozycję na arenie międzynarodowej, sięgają do coraz bardziej bezkompromisowych działań, w tym do naruszania granic i suwerenności innych państw. Nie przejmują się, tak jak Polska, transformacją energetyczną, a w okresie zacieklej rywalizacji uruchamiają potężne złoża paliw kopalnych. Stany Zjednoczone, czyli – jak potwierdzają Strategie – nasz główny sojusznik, idą jeszcze dalej, kwestionując sens prowadzenia polityki klimatycznej. Nie tylko wycofały się z porozumienia paryskiego w sprawie klimatu z 2015 roku, lecz również wypowiedziały

wojnę dekarbonizacji i finansowemu „kartelowi klimatycznemu” narzucającemu firmom zasady raportowania ESG.

Amerykanie, którzy zbudowali liberalny porządek oparty na demokracji, wolnym handlu i instytucjach wielostronnych, zdając sobie sprawę, że obecnie ponoszą z jego powodu raczej szkody, same postanowiły go zakłócić, kwestionując przy tym jego zasady.

Świat staje się wielobiegunowy. Chiny wraz z krajami BRICS usiłują budować „wspólnotę wspólnego losu” (Community of Common Destiny) jako alternatywę dla porządku pod przewodnictwem USA. Niemcy propagują wizję internacjonalistyczną, lansując pojednanie i multilateralizm, który – ze względu na nowe realia geopolityczne i zmieniające się otoczenie – nie angażuje już bytu, jakim jest państwo.

W zmianę ładu światowego włączyły się regionalne mocarstwa, bardziej komplikując sytuację na arenie międzynarodowej, aniżeli ją ułatwiając. A zatem, świat staje się nie tylko wielobiegunowy i znacznie bardziej konkurencyjny, lecz postępuje również osłabienie instytucji, amerykański unilateralizm oraz dążenie do podziału świata na strefy wpływów.

Państwa z niecierpliwością oczekują na opublikowanie najnowszej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA, która jest już ponoć konsultowana z funkcjonariuszami wojskowymi. Z przecieków wynika, iż znacznie więcej uwagi poświęcono w niej zwrotowi USA ku półkuli zachodniej; stanowiłoby to istotną zmianę w stosunku do strategii ostatnich prezydentów, którzy z reguły poświęcali temu regionowi niewiele uwagi, koncentrując się raczej na zagrożeniach ze strony Chin i Rosji.

Po Strategii Bezpieczeństwa Narodowego ma się pojawić strategia obronna i globalny przegląd stanowiska, czyli analiza rozmieszczenia zasobów wojskowych USA. Wszystkie te dokumenty będą miały istotne znaczenie dla naszych krajowych strategii.

Z obecnych działań wynika, że Amerykanie, którzy kładą nacisk na zawieranie nowych porozumień dwustronnych, odchodząc od polityki klimatycznej, a jednocześnie dążąc do zachowania przewagi w przełomowych technologiach, pozostają na kursie kolizyjnym z unijną wizją rozwoju świata. Ta bowiem koncentruje się na eliminacji ubóstwa i osiągnięciu zrównoważonego rozwoju, zgodnie z Agendą ONZ na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030 i jej celami (SDGs).

Pekin dąży do wykorzystania porządku międzynarodowego na swoją korzyść, zwalczając wpływy USA i koncentrując się na wzmacnianiu swojej pozycji w ONZ przy użyciu narzędzi wojskowych i gospodarczych. Rosja dąży z kolei do odbudowy wpływów mocarstwowych i utrzymania specjalnej strefy przywilejów. Jest rewizjonistyczna, toteż wojnę z Ukrainą traktuje jako szansę na transformację porządku międzynarodowego.

Niemcy chciałyby bronić internacjonalizmu, ale nie są odpowiednio przygotowane do przewodzenia lub obrony tego porządku. Francja postrzega siebie jako międzynarodowego lidera, wykorzystując Unię Europejską jako bastion przeciwko hegemonii USA i chińskiemu przymusowi gospodarczemu. Jednocześnie buduje autonomię poprzez partnerstwa z krajami Globalnego Południa. Japonia chce bardziej pragmatycznego porządku międzynarodowego. Swoje ambicje mają także Turcja, Arabia Saudyjska, Katar, Indie, Indonezja, Brazylia, RPA czy Iran.

Wydaje się, że zwycięża wizja powrotu do westfalskiego porządku opartego na prymacie państw narodowych i równowadze sił, przy czym Amerykanie zdecydowali się na powstrzymanie dekarbonizacji na całym świecie. Zdają sobie bowiem sprawę, że jako kraj, który dysponuje ogromnymi rezerwami paliw kopalnych, będących źródłem dobrobytu od dziesięcioleci i popierając tak zwaną zieloną transformację energetyczną, sprzyjałoby hegemonii Chin. One wszakże dominują w dziedzinie „zielonych technologii”.

„Chiny dostarczają większość światowego rafinowanego litu (70%), kobaltu (78%), grafitu (95%), pierwiastków ziem rzadkich (91%) i manganu (91%). Odpowiadają także za 80% produkcji paneli słonecznych, 50-70% rynku turbin wiatrowych i ponad połowę pojazdów elektrycznych. Realizują trzy czwarte światowych projektów z zakresu energii odnawialnej” (cyt. za: M. Blyth i D. Driscoll, „Trump’s Global War on Decarbonization”, 21 sierpnia 2025 r., project-syndicate.org).

Chcąc odwrócić ten niekorzystny trend, administracja Joe Bidena próbowała wejść w konkurencję z Chinami, tworząc potężne zachęty inwestycyjne, na przykład poprzez ustawę o redukcji inflacji. Jednak obecna ekipa Trumpa podjęła działania na rzecz swego rodzaju „odzwyczajania” państwa od odnawialnych źródeł energii, mnożąc przeszkody dla „zielonych technologii” i deregulując sektor paliw kopalnych. Amerykanie nie poprzestają na własnym rynku, ale coraz śmielej ingerują w globalny popyt na chińskie zielone technologie, zmuszając swoich największych partnerów handlowych do importowania paliw kopalnych z USA (w tym np. skroplonego gazu). Nawet UE zobowiązała się do zakupu do 2028 roku amerykańskiej ropy naftowej i gazu o wartości 750 miliardów dolarów. Podobnie Japonia i Tajwan, które zgodziły się zainwestować miliardy dolarów w amerykański LNG. Ma do nich dołączyć Korea Południowa. Sprzyjają temu dwustronne umowy handlowe zawierane przez Amerykanów z wybranymi sojusznikami. Wszystko to osłabia popyt na „zielone technologie” i utrudnia eko-transformację w UE i Azji Wschodniej.

Jak wobec tego zachowa się Polska? Nowy ambasador USA w Polsce, Tome Rose, również podniósł kwestię dekarbonizacji i zaznaczył, że prezydent Trump uważnie obserwuje, co się dzieje z regulacjami dotyczącymi wymuszania raportowania ESG w UE. Ostrzegł, że USA nie pozostaną na to obojętne, lecz podejmą stosowne działania, jeśli regulacje zostaną narzucone na amerykańskie korporacje operujące na terenie UE. Oczekuje nawet, że Polska wraz z innymi krajami zmontuje koalicję, która przeciwstawi się polityce dekarbonizacyjnej wymuszanej przez KE (wpis na platformie X, 13 listopada 2025 roku, dot. unijnego pakietu Omnibus).

W tym kontekście wizja rozwoju naszego kraju oparta na szybkim pozbywaniu się paliw kopalnych (i to w sytuacji, gdy wciąż mamy ogromne złoża węgla i dysponujemy nowymi technologiami, które pozwalają znacznie ograniczyć ich szkodliwy wpływ) byłaby realizowana nie tylko wbrew społeczeństwu, lecz także wbrew głównemu sojusznikowi.

Czy wobec tego nie byłoby dobrze opracować inną strategię rozwoju państwa polskiego, choćby po to, aby opisać rzeczywiste, a nie wyidealizowane, warunki panujące w otoczeniu międzynarodowym, a przy tym wyzwania, jakie w związku z tym czekają nas w przyszłości?

Nasza strategia wymagałaby radykalnie odmiennych działań. Skoro Waszyngton dysponuje programem „America First”, który bynajmniej nie jest wizją jedynie ekipy Trumpa, to wydaje się, że Polska również powinna przygotować scenariusz alternatywny, uwzględniający wojnę wypowiedzianą dekarbonizacji, nastawienie na interesy narodowe, skracanie łańcuchów dostaw i wielobiegunowy świat.

Think tank Stimson Center zgromadził ostatnio naukowców z całego spektrum politycznego i ideologicznego, którzy pochylili się nad kwestią „Amerykańskiej strategii w obliczu świata wielobiegunowego” (Z. Cooper, E. Ashford, N. Joan Lee, „An American Strategy for a Multipolar World”, 15 września 2025, stimson.org). W eseju tym czytamy, że Waszyngton musi pogodzić ambitne cele z ograniczonymi środkami, a do tego proaktywnie zaakceptować nieunikniony świat wielobiegunowy.

Autorzy wskazali, że do tej pory, niemal od stu lat, wielka strategia USA była niezwykle spójna. Obecnie zmieniło się jednak podejście narodu amerykańskiego oraz jego przedstawicieli, którzy odtąd „nie wydają się już skłonni do poświęcania zasobów niezbędnych do utrzymania kluczowych elementów długoletniej polityki zagranicznej USA”. We wspomnianym tekście czytamy też, że „minęły czasy, gdy prezydent John F. Kennedy mógł obiecać, że Stany Zjednoczone poniosą każdy ciężar, sprostają każdemu wyzwaniu, wesprą każdego

przyjaciela, przeciwstawią się każdemu wrogowi, aby zapewnić przetrwanie i sukces wolności”.

Amerykanie mieli przyjąć nową, węższą definicję amerykańskich interesów, a następnie zredefiniowali swoje miejsce w świecie. Zmiany te muszą zostać uwzględnione w nowych strategiach naszego kraju.

Przyjmuje się zatem, że Stany Zjednoczone nie są już wschodzącą potęgą, lecz potęgą u szczytu. A więc możemy się spodziewać zjazdu Paxu Americana po równi pochyłej. Waszyngton będzie próbował odwrócić ten trend, na co wskazywało zresztą motto Trumpa Make America Great Again (Uczyńmy Amerykę znowu wielką).

Obecny sekretarz stanu, Marco Rubio, stwierdził, że „nie jest normalne, aby świat miał po prostu jednobiegunową potęgę... to była anomalia. Był to efekt zakończenia zimnej wojny, ale ostatecznie trzeba wrócić do punktu, w którym istniał świat wielobiegunowy, wiele wielkich mocarstw w różnych częściach planety. Z tym mierzymy się teraz”. Podobnie widzi to większość opinii publicznej. Z tego też powodu zmieniają się również cele narodowe.

Co istotne, Ameryka nie ma już wystarczająco zasobów, aby ograniczyć nowe zagrożenia. Chociaż wydatki na obronę wciąż są gigantyczne w USA (roczny budżet na poziomie około 800 mld USD), to jednak są one, jako procent produktu krajowego brutto, niższe niż były przez większość ubiegłego wieku. Zwiększyło się także zadłużenie Ameryki, a do tego postępuje ubożenie klasy średniej, co przekłada się na sceptycyzm opinii publicznej wobec międzynarodowych zobowiązań Stanów Zjednoczonych.

„Chociaż wielu przedstawicieli społeczności bezpieczeństwa narodowego ma nadzieję odwrócić te trendy i przekonać Amerykanów o słuszności zaangażowania międzynarodowego, ograniczenia te prawdopodobnie utrzymają się w dającej się przewidzieć przyszłości. Istnieją powody, by sądzić, że dynamika ta może się nasilić wraz ze wzrostem zadłużenia USA i zanikaniem pamięci Amerykanów

o skutecznych interwencjach międzynarodowych. Wraz ze zmianą sytuacji w USA, wielu członków amerykańskiej opinii publicznej odczuwa frustrację; uważają oni, że eksperci w Waszyngtonie nie rozumieją poglądów wielu osób w pozostałej części kraju (...). Amerykańscy decydenci muszą dostosować amerykańską strategię do misji i obciążeń, które Amerykanie są dziś gotowi zaakceptować” – wskazują już nie tylko tzw. „trumpiści”.

Autorzy przywołanego esaju sugerują, że „krótko mówiąc, Waszyngton nie może polegać na założeniu, że nieoczekiwany przywódca lub zewnętrzne wydarzenie rozwiąże problem strategicznej niewypłacalności Stanów Zjednoczonych. Zamiast tego, amerykańscy urzędnicy powinni dostosować oczekiwane rezultaty do środków przydzielonych przez Kongres. Uznanie tej rzeczywistości rozczaaruje krytyków, którzy będą utrzymywać, że to społeczność bezpieczeństwa narodowego powinna wyznaczać cele, a następnie zdobywać poparcie niezbędne do ich osiągnięcia, a nie odwrotnie. W świecie idealnym byłoby to prawdą. Rzeczywistość jest jednak taka, że ci, którzy głęboko wierzą w zaangażowanie międzynarodowe i potrzebę dodatkowych nakładów na obronność, nie zdołali przekonać wystarczającej liczby Amerykanów o słuszności tego podejścia. Dlatego Amerykanie powinni postąpić mądrze, kierując się radą często przypisywaną Winstonowi Churchillowi: *Skończyły nam się pieniądze. Musimy zacząć myśleć*”.

Z prognoz wynika, że do 2050 roku wschodzące potęgi będą rosły dwa razy szybciej niż wiele innych, bardziej ugruntowanych gospodarek świata z grupy G-7. Jednakowoż, wiele rozwiniętych gospodarek przemysłowych świata (dotyczy to również Chin) szybko się starzeje. Jak twierdzi ekonomista polityczny, Nick Eberstadt, „przytłaczająca większość światowego PKB [tj. produktu krajowego brutto] jest obecnie generowana przez kraje, które za pokolenie znajdzie się w stanie depopulacji”. Chiny i Indie mają prześcignąć USA pod względem PKB, podczas gdy Brazylia, Indonezja i Meksyk prześcigną Niemcy, Japonię i Wielką Brytanię. Inne wschodzące gospodarki – na czele z Nigerią, Filipinami i Wietnamem – znajdują się w pierwszej dwudziestce gospodarek świata.

Postęp w dziedzinie tak zwanej sztucznej inteligencji i innych technologii mógłby spowolnić lub przyspieszyć wszystkie te zmiany, w zależności od tego, gdzie powstaną innowacje oraz w jaki sposób AI będzie rozpowszechniana i wykorzystywana na całym świecie.

W każdym razie, ogólnoświatowy trend wydaje się jasny. Amerykanie sami przyczynili się do powstania wielobiegunowości, osłabiając równowagę między mocarstwami po II wojnie światowej. W obliczu nierównomiernej wielobiegunowości oraz zwracania się USA do wewnątrz, Waszyngton aktualnie decyduje o optymalnym rozmieszczeniu zasobów i akceptacji ryzyka. Ustalane są pewne priorytety, ograniczane cele w niektórych obszarach. USA chcą oprzeć się na sojuszu z silnymi regionalnymi państwami. W związku z decentralizacją władzy na arenie międzynarodowej, jest to zarówno szansa, jak i ryzyko dla innych podmiotów państwowych.

Mogą więc powstawać sojusze USA z jednym lub kilkoma mocarstwami regionalnymi. Być może budowane będą koalicje ukierunkowane na realizację konkretnych celów, takich jak np. partnerstwo na rzecz bezpieczeństwa surowców krytycznych.

„ZASADY WESTFALSKIE” KONTRA FEDERALIZACJA ŚWIATA („NOWY” MANIFEST Z VENTOTENE)

Nieuwzględnienie wszystkich przedstawionych kwestii w strategiach i wizjach rozwoju kraju, a zatem przyjęcie jako imperatywu tak zwanej zielonej transformacji energetycznej, okaże się poważnym błędem. Może to być również niewykorzystana szansa na to, aby rzeczywiście zawalczyć o interesy narodowe w świecie, w którym następuje powrót do „zasad westfalskich”. To, że nam się to nie podoba, nie zmienia faktu, że taki proces już ma miejsce.

Lewicowe elity UE lansują wizję federalizacji globalnej. W 2022 roku przedstawiły one bowiem „nowy” Manifest z Ventotene. Chodzi o „Proposal of the Manifesto for a Federal Europe: sovereign, social and ecological” [Propozycja Manifestu dla Europy Federalnej: suwerennej, społecznej i ekologicznej], zatwierdzony przez

liczącą ponad 100 europosłów Grupę Spinellego, do której należy kilku polskich polityków (https://thespinelligroup.eu/wp-content/uploads/2022/10/20220912_Proposal-Manifesto-for-a-Federal-Europe-political-social-and-ecological.pdf).

Najnowsza deklaracja Grupy Spinellego, została sporządzona w związku z przypadającą w 2021 roku 80. rocznicą Manifestu z Ventotene. Spinelli stworzył go wraz z innymi komunistami uwięzionymi na wyspie o wspomnianej nazwie. Dokument rozesłano do wszystkich posłów w Parlamencie Europejskim. Autorzy opowiadają się za „demokracją bez granic, aby zapewnić pokój i wspólny dobrobyt”. Na razie nie wspominają o likwidacji państw narodowych, a jedynie o tym, że mają one wejść w skład federacji regionalnych, a ostatecznie federacji globalnej.

W preambule przypomniano, że wyspa Ventotene została uznana 6 kwietnia 2022 roku przez Parlament Europejski za „historyczną, moralną i intelektualną stolicę Europy”. Od 1982 roku odbywają się tam „seminaria ludowe” poświęcone federalizacji Europy i świata, zresztą zgodnie z propozycją Altiero Spinellego, który w 1941 roku, wraz m. in. Ernesto Rossim, wzywali do utworzenia Europy federalnej. Zainspirowali w ten sposób powstanie Unii Europejskich Federalistów (założonej w 1946 roku) i Międzynarodówki Ruchu Europejskiego (1948, Haga) (zob. s. 4).

Zdaniem obecnych federalistów, wizja zawarta w Manifestie z Ventotene i projekcie Traktatu z 1984 roku, ustanawiającego Unię Europejską (tj. „plan Spinellego” zaaprobowany przez Parlament Europejski), jeszcze nie została zrealizowana, a to z powodu istnienia „dogmatu o absolutnej suwerenności państw narodowych”; co zresztą „w epoce współzależności” jest nie do utrzymania. W celu przezwyciężenia „anarchicznego charakteru systemu międzynarodowego opartego na stosunkach władzy”, należy więc stworzyć system zarządzania federacyjnego i wielopoziomowego. Wszystko po to, by zagwarantować powszechną demokrację, prawa człowieka i praworządność, bez

względem na miejsce urodzenia, narodowość, płeć, religię i inne czynniki.

W manifestcie, przedłożonym do dyskusji w roboczych grupach uczestników Konferencji debatujących w sprawie przyszłości Europy, odwołano się do paradygmatu ekocentrycznego oraz potrzeby „ustanowienia nowych relacji z innymi żywymi istotami i przyrodą jako całością”, a także zachowania „różnorodności biologicznej”, odwrócenia trendu „globalnego ocieplenia” i rozprzestrzeniania się broni jądrowej.

Manifest przywołuje, poza wkładem Spinellego, także dokonania Ursuli Hirschmann, Józefa Retingera, Salvadora de Madariagi, Alcide de Gasperi, Konrada Adenauera, François Mitterranda, Paul-Henri Spaaka, Winstona Churchilla, Alberta Camus i Etienne’a Hirscha. Warto nadmienić, że ten ostatni był żydowskim bojownikiem ruchu oporu, który później skłonił Jeana Monneta do sporządzenia projektu Deklaracji Schumana, a następnie, w 1964 roku, został prezydentem Unii Federalistów Europejskich.

Wiekowy już był amerykański sekretarz stanu, Henry Kissinger, przez wiele lat kształtując politykę USA, w roku ukazania się „nowego” Manifestu z Ventotene propagował federalizację świata, a jednocześnie ubolewał, że nie znajduje do tego zadania wystarczająco zdolnych liderów. Dziś uznaje już jednak plan federalizacji za utopię („Henry Kissinger: Nie ma już wielkich przywódców. To może mieć ogromne konsekwencje”, 29 grudnia 2022 r., pch.24.pl).

Kissinger zwrócił kiedyś uwagę, iż brakuje w naszych czasach mężów stanu, którzy intuicyjnie czuliby politykę, rozumieli złożoność świata i zachodzących przemian, a do tego mieliby odwagę i autorytet, by przekonać opinię publiczną do akceptacji zmian w zakresie polityki międzynarodowej i budowania nowego ładu. „Wielcy przywódcy muszą wypełnić lukę między opinią publiczną a kompromisami nierozzerwalnie związanymi z międzynarodową dyplomacją”, sugerował. „Muszą oni widzieć świat wystarczająco jasno, aby pojąć, co jest

możliwe i trwałe. Muszą też być w stanie przekonać współobywateli do zaakceptowania wyników, które często i nieuchronnie okazują się po prostu rozczarowujące”.

Kissinger zauważył przy tym, że przywódcy, których uznaliśmy za niemal idealnych, to osoby o dużych możliwościach intelektualnych, głębokim wykształceniu i intuicyjnym rozumieniu polityki. Jako autor książki *Leadership: Six Studies in World Strategy*, poświęconej losom sześciu przywódców (Konrada Adenauera z Niemiec, Charlesa de Gaulle’a z Francji, Richarda Nixona z Ameryki, Anwara Sadata z Egiptu, Margaret Thatcher z Wielkiej Brytanii i Lee Kuan Yew z Singapuru), wyraził obawę, że nie będziemy już mieli takich liderów. Zmieniają się bowiem „wyjątkowe warunki”, a to właśnie one umożliwiły pojawienie się na arenie dziejów wymienionych przywódców. Chociaż urodzili się oni „poza elitą społeczną”, ponieważ wywodzili się spośród rodzin z klasy średniej, to jednak otrzymali gruntowne wykształcenie. Dobrze rozumieli, jak ich współobywatela postrzegają świat, a solidne i zdyscyplinowane kształcenie przygotowało ich psychicznie, intelektualnie i kulturowo do skutecznego działania na najwyższych szczeblach życia narodowego i międzynarodowego.

Według Kissingera, elitarne instytucje dziś już nie oferują takiego rygoru, dyscypliny czy głębi klasycznego nauczania. Co więcej, „głębia i rygor klasycznej nauki mogą już nie sprostać wyzwaniom związanym z bardziej wizualną kulturą oraz mniejszymi możliwościami utrzymania uwagi”. Zanikanie warunków sprzyjających kształceniu zdyscyplinowanych i dobrze rozumiejących różne idee przywódców światowych, a do tego również pogłębiająca się rywalizacja państw i złożoność architektury międzynarodowej, nie napawają optymizmem. Już sam Kissinger obawiał się nadejścia wielkiego globalnego konfliktu i chaosu. Toteż jeszcze w 2014 roku postulował przywrócenie ładu globalnego, który uwzględniałby interesy silnych państw narodowych. W książce *World Order* apelował wręcz o powrót do zasad kształtujących porządek westfalski z 1648 roku.

Zdaniem doradcy prezydentów Richarda Nixona i Geralda Forda, chodziło o przywrócenie systemu opartego na dwóch elementach. Po pierwsze, na „zbiorze powszechnie przyjętych zasad”, który określiłby „granice dopuszczalnej interwencji”, a po drugie – na „równowadze sił,” która powściągałaby zapędy innych podmiotów politycznych, chcących uzyskać przewagę.

W analizie Kissingera kluczowe dla zachowania porządku na świecie okazują się dwa pojęcia: suwerenność i nieingerencja. Zasada równowagi sił jest natomiast sposobem na zarządzanie systemem międzynarodowym.

W 2022 roku Kissinger, występując jako ekspert ds. bezpieczeństwa narodowego, podkreślał, że to wciąż państwa narodowe, a nie instytucje ponadnarodowe ani podmioty niepaństwowe, pozostają głównymi graczami na arenie międzynarodowej. Najistotniejsza w sferze polityki międzynarodowej pozostaje rywalizacja państw o wpływy. UE, będąc ponadnarodową strukturą bez granic, jawi się jako utopia. Dlatego, zdaniem Kissingera, „byłoby nierozważne i niebezpieczne oczekiwać, że reszta świata pójdzie w ślady Europy”.

Jednocześnie zaznaczył on, że nacisk na zawarcie porozumienia paryskiego w sprawie klimatu w 2015 roku miał posłużyć budowie „nowego systemu światowego”, zupełnie tak jak niegdyś, po drugiej wojnie światowej, utworzono „ład” w oparciu o ONZ i instytucje finansowe z Bretton Woods.

Przed swoją śmiercią, która nastąpiła 29 listopada 2023 roku, Kissinger zamarzył o zwołaniu czegoś w rodzaju „Kongresu Wiedeńskiego XXI wieku” z udziałem najsilniejszych graczy międzynarodowych. Ustaliliby oni zasady równowagi sił w dzisiejszym świecie, uwzględniając przy tym nowe realia geopolityczne. Choć się tego nie doczekał, to możemy już powiedzieć (nawet wtedy, gdy nie darzy się go zbyt dużą sympatią, na przykład z powodu propagowania polityki depopulacyjnej), że miał zdecydowaną rację w kwestii powrotu znaczenia roli państw narodowych i zaciętej walki o wpływy.

Jeśli Polska rzeczywiście chciałaby odgrywać większą rolę w regionie i na świecie, a przede wszystkim miałyby zapewniać warunki godne dla rozwoju całego społeczeństwa (na to wskazano w kluczowych dokumentach strategicznych), to z pewnością musiałyby dokonać istotnych przewartościowań co do swojego miejsca w UE oraz transformacji energetycznej. Wiązałoby się to z koniecznością zmiany konstytucji z 1997 roku. Decyzje musiałyby zostać podjęte szybko, w warunkach niezwykle trudnych, wobec braku jedności narodowej i podsycanej z zewnątrz polaryzacji społeczno-politycznej. W przeciwnym razie, Polska zacznie osłabiać swój potencjał, straci cenny czas, a do tego narazi społeczeństwo na ogromne koszty kolejnej, dotkliwej transformacji, którą wymyślili dla nas inni.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



CZY WCIĄŻ GRZESZYMY TAK SAMO? KSIĄDZ SKARGA WZYWA POLAKÓW DO POKUTY

Ksiądz Piotr Skarga piętnował grzechy Polaków żyjących na przełomie XVI i XVII wieku. Nie dbał o poprawność polityczną i nie hołdował przywarze, o której późniejsze przysłowie głosi: *Największy polski święty? Święty Spokój!* Dla jednych płomienny prorok, dla drugich przenikliwy realista. Jaką duchową spuściznę pozostawił nam Kaznodzieja Narodu i czy w jego kazaniach odnajdziemy obraz naszych współczesnych grzechów, przez które tracimy błogosławieństwo Boże? A może do miary tych grzechów przydajemy nowe, o których nie śniło się naszym przodkom? Na te pytania odpowiada Sławomir Skiba, wiceprezes Stowarzyszenia im. Księdza Piotra Skargi.

Ksiądz Piotr Skarga w trzecim kazaniu sejmowym zawarł słynny opis tego, jakie będą skutki grzechów Rzeczypospolitej. Obrazowi upadku politycznego i wizji utraty państwowości towarzyszą słowa odnoszące się do samej istoty tożsamości narodowej. Kaznodzieja kieruje do rządzących wówczas elit jakże aktualne słowa, zapowiadając iż „w obcy się naród, który Was nienawidzi, obrócicie”. Czy nie ma Pan wrażenia, że żyjemy dziś w czasach spełnionego proroctwa?

Z pewnością tak, ale zwróćmy najpierw uwagę, czym właściwie były te „proroctwa” księdza Skargi. Sam Skarga mówi we *Wzywaniu do pokuty*¹: „Chociem nie Izajasz, ale cień jego i najpodlejszy posłaniec Boży z porządku kapłańskiego, jednak z Izajaszem wołam...”, i nie miał ku temu żadnych szczególnych objawień czy widzeń. My, za sprawą naszych romantyków, mamy przed oczyma Skargę, który ma wizję, jest przez tę wizję porwany i opowiada o tym, co widzi. Ale tak naprawdę Skarga mówi o tym, że opiera się na zdrowym rozsądku i przewiduje

1 Dziełko *Wzywanie do pokuty obywatelów Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego* z 1610 roku streszcza najważniejsze myśli *Kazań sejmowych*.

konsekwencje popełnianych grzechów, które mają nastąpić i z pewnością nastąpią, jeżeli kierujemy się logiką tych wydarzeń i tych grzechów.

Czy jesteśmy dzisiaj w momencie, w którym możemy powiedzieć, że obróciliśmy się w obcy naród? Myślę, że ksiądz Skarga, mówiąc do siebie współczesnych, ma na myśli również tych wszystkich, których udziałem będzie podobne odstępstwo i przewiduje, że w każdym czasie musi ono doprowadzić do upadku Rzeczypospolitej. Skarga zwracał się do Polaków w konkretnym kontekście historycznym, w którym Polska obrastała w dobrobyt i sławę. Mówił do sytego społeczeństwa polskiego, żyjącego w olbrzymim kraju, niemal największym w Europie, o prawie milionie kilometrów kwadratowych powierzchni, bardzo bogatym, jednym z najbardziej wpływowych w Europie; zwracał się do wolnych obywateli mocarstwa i właśnie do nich mówił, że ich kraj obróci się w perzynę, a oni sami w obcy naród, że kto inny przejmie ich spuściznę, a wszystko wokół zostanie spustoszone. Skarga jest w tym podobny do Noego, który budował arkę i groził wszystkim karą za grzechy, podczas gdy ludzie oddawali się zabawom i beztrosko pławili się w rozkoszach.

W naszych czasach to obracanie się w obcy naród nabiera szczególnego znaczenia. Po okresach upadków i wzlotów nasza substancja narodowa jest w stanie ostatecznego rozkładu i przy takiej demografii i kryzysie tożsamości – jeżeli nic się nie zmieni – to pozostanie nam chyba tylko czekać aż obcy, to jest imigranci przejmą pałeczkę w naszym kraju.

Ksiądz Piotr Skarga w swojej wizji upadku Rzeczypospolitej mówi między innymi o tym, że zaginie język słowiański, a przecież dzisiaj wciąż mówimy po polsku, pochodzimy z etnosu polskiego, chociaż spora część naszego narodu, łącznie z politykami, zdaje się nie utożsamiać z tymi tradycjami, cnotami, zasadami, które budowały Polskę. Nie ma Pan wrażenia, że mamy do czynienia z pewnym paradoksem?

Niewątpliwie. Weźmy sam język, który Pan przywołał. Gdybyśmy spojrzeli na tę degradację mowy polskiej, jaka nastąpiła po okresie jego rozwoju od staropolszczyzny do XIX-wieku, to – pomimo kodyfikowania zasad gramatyki, ortografii i tak dalej – nie unikniemy wrażenia, że nasz język stale ubożeje, staje się coraz bardziej prymitywny. Jest to oczywiście odzwierciedleniem pewnej pustki, jaką zioną umysły i serca Polaków, bo przecież język jest niczym innym jak nośnikiem treści, które z siebie wydobywamy. On wyraża to, kim jesteśmy i co gra w naszej duszy. Powstaje pytanie, na ile ten język jest też językiem cywilizowanym i kulturalnym? Na ile okazujemy w nim miłość bliźniego? Jeżeli zaczyna brakować tych znanych przecież ze staropolszczyzny zwrotów grzecznościowych czy formuł wyrażających szacunek do drugiego człowieka, to widzimy, jak nisko stoi nasza kultura.

Kiedy rozmawiamy o kondycji Polski, chciałbym zaprosić Pana do swoistej wycieczki śladami myśli księdza Piotra Skargi, a konkretnie tych grzechów, które zarzucał Rzeczypospolitej ówczesnym Polakom. Proponuję, byśmy omówili po kolei grzechy, które piętnuje Skarga w Kazaniach sejmowych i proszę Pana refleksję, czy te grzechy są wciąż aktualne, czy znajdują swoje odzwierciedlenie w dzisiejszym kontekście. Pierwszym zaś z nich jest nieżyczliwość ku Ojczyźnie, o której Kaznodzieja mówi w kazaniu drugim. Gdy o tym czytam, to mam przed oczyma tych wszystkich polityków, którzy mówią o Polsce, być może nawet prawdziwie nazywając pewne problemy, ale do ich rozwiązania podchodząc w sposób całkowicie pozbawiony tej synowskiej miłości, która z taką siłą przebija z żywota i dzieła Piotra Skargi.

Ach, oni nie tylko nie podchodzą z miłością do Ojczyzny, ale słyszymy w ich wypowiedziach wręcz pogardę dla Ojczyzny, pogardę dla swoich współobywateli, dla narodu. Jak daleko jest ich język od tego skargowskiego języka – że Polska to nasza matka – do którego nota bene nawiązuje Ojciec Święty Jan Paweł II, kiedy mówi w uniesieniu: „To jest moja matka, ta ziemia! To jest moja matka, ta Ojczyzna! To są moi bracia i siostry! I zrozumcie, wy wszyscy, którzy lekkomyślnie podchodzicie do tych spraw...”. Dzisiaj widzimy, że ci politycy,

o których Pan powiedział, nie wymieniając ich z imienia i nazwiska (kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha), to są ludzie, którzy nawet jeśli wypowiadają się o Polsce, to w ich słowach słyszymy fałsz, jakby sami nie wierzyli, że ta Ojczyzna, Polska, ma jakąś dla nich wartość inną niż wartość słupków wyborczych i władzy, jaką chcą utrzymać. I nie chodzi tylko o polityków lewicy. Często nawet u polityków prawicy brakuje autentycznego zachwyty nad Polską, docenienia tego, że mamy swój kraj, że mamy jakieś pozostałości niepodległości i suwerenności, których powinniśmy strzec jak żrenicy oka. A tak wielu chętnie oddaje Rzeczpospolitą nawet nie za judaszowe srebrniki, lecz za jakieś ulotne pochwały, za pogłaskanie po głowie za to, że jest się akuratnym i poprawnym.

Przejdźmy zatem do drugiego wymienionego przez Skargę grzechu, czyli do niezgody domowej. Rzecz wydaje się stara jak świat, a jednak pojawia się na liście tych specyficznych przewin, które doprowadziły do upadku Rzeczypospolitej. Czy uważa Pan, że to coś, w czym my, Polacy szczególnie celujemy wśród narodów?

Tak, jest w nas coś takiego, czego doświadczają nawet Polacy na obczyźnie. Kiedy się rozmawia z przedstawicielami Polonii, to można wyczuć tkwiącą gdzieś w nas zakorzenioną zazdrość, spowodowaną tym, że mój sąsiad ma trochę lepiej ode mnie, a do tego nieprzychylność względem bliźnich, sąsiadów, pobratymców, brak miłości bliźniego, która pozwalałaby cieszyć się szczęściem innych. Wyolbrzymiając, moglibyśmy powiedzieć, że brzmi to w naszej duszy narodowej niemalże jak fałszywa modlitwa: *Panie Boże skoro ja nie mam, to on też niech nie ma, niech ma tak samo trudno, niech cierpi tak jak ja...*

Tę modlitwę znamy przecież z Dnia Świra...

Otóż to. Znamy to nawet z popkultury. A wracając do przykładu Polonii, moja ciotka, która mieszka w Stanach Zjednoczonych, mówi, że czasami nawet nie chce się spotykać z innymi Polakami, bo jak się spotyka, to ma wrażenie, że wszyscy pytają „co u ciebie?” nie żeby się z tego powodu cieszyć, tylko właśnie, żeby pozazdrościć. To jest

paskudna cecha, z której się nie wyleczyliśmy, zaś Skarga z pewnością też tę nieżyczliwość ku sobie nawzajem dostrzegł. Widział niezgody domowe i potrzebę umniejszania nie siebie, lecz innych, także to niebycie dla drugich sługą w sensie ewangelicznym, lecz przeciwnie, żądanie, by inni się przed nami ukorzyli; niech oni najpierw przeproszą, niech pierwsi wyciągną rękę, niech pierwsi okażą nam szacunek.

Nie odniósł się Pan do polityki. Ale myślę, że to dobrze. W ten sposób przypomniał Pan, że to, z czym mamy do czynienia w życiu publicznym, zaczyna się w naszym sercu.

Zgadza się. Nienawiść zaczyna się w naszym sercu. Powiedziałbym, że wszystkie szumowiny z tego kotła, w którym diabli mieszej², wybijają na powierzchnię, a najbardziej wyraźnie w polityce. Mamy tam wykwit najróżniejszych grzechów. Nienawiść i zazdrość posunięte aż do granic jakiejś niemalże pseudo-cnoty, tak że mamy wrażenie bezinteresownej wręcz nienawiści, kiedy widzimy te współczesne komisje sejmowe, tę chęć dopadnięcia przeciwnika politycznego, jakby to był najgorszy wróg na polu bitwy. Nieważne, czy pretekstem będzie tu stan choroby tego drugiego czy inne dolegliwości; nie tu ma żadnych ludzkich względów. Dla wroga nie ma współczucia. To jest tak głęboko antychrześcijańskie, że może równać się tylko z barbarzyństwem Wschodu. Z tymi hordami ze Wschodu, które były gotowe pastwić się i męczyć drugiego człowieka tylko po to, by przyglądać się jak cierpi. To jest barbarzyńska, wroga cywilizacji cecha, stojąca na antypodach ewangelicznego wezwania do miłości bliźniego.

To, co Pan mówi, jest w pewnym sensie prowokacyjne. Wciąż przecież słyszymy, że Polacy są jednym z najbardziej katolickich narodów na świecie. Czy w takim razie cierpimy na jakiś fundamentalny brak? A może nie zostaliśmy do końca zewangelizowani?

2 Chodzi o scenę przygotowania z dramatu *Kordian* Juliusza Słowackiego, gdzie złe moce na pośmiewisko i wypaczenie wszystkiego, co w Polakach szlachetne, mieszej w kotle, tym samym tworząc nowe typy ludzkie; odtąd one mają przeprowadzić społeczeństwo.

Myślę, że to drugie. Proces cywilizowania, chrystianizowania narodów jest długofalowy i wymaga wzoru, z którego możemy czerpać. Ten wzór niosą elity i sądzę, że problem braków w chrystianizacji był mniej widoczny, dopóki te elity mieliśmy – te prawdziwe elity intelektualne, elity krwi, ale i elity ducha – tych, którzy nadawali ton. Dzisiaj tym lepiej widać nasze wady narodowe, że brakuje tych elit, które zostały wymordowane. Naród został spauperyzowany przez komunizm. Oczywiście najpierw zaborcy dokonali pewnego spustoszenia, a później pierwsza i druga wojna światowa, ale najgorszą rzeczą był barbarzyński komunizm, który wszystkich zgłajszachtował i wybił te resztki elit, które posiadaliśmy jeszcze w międzywojniu.

Dlatego dzisiaj widzimy wychodzące na jaw najniższe instynkty, które nie zostały dotąd schrystianizowane. Bo, jak powiedział św. Pius X, cywilizacja *par excellence* to cywilizacja chrześcijańska. Schrystianizowanie równa się ucywilizowaniu. Jeżeli mamy w sobie barbarzyństwo, to znaczy, że nie zostaliśmy do końca schrystianizowani w swojej masie. Ktoś powie, że to, co właśnie mówię, jest mało patriotyczne i że oglądam się na obce wzorce. Lecz gdy przyjrzymy się kulturze dnia codziennego, w tym sposobowi zwracania się do siebie w innych narodach, tych na zachód od nas, to zauważymy, że spadają oni z wyższej góry. Mają zatem więcej do stracenia. Upadek moralny, czy też problemy związane z imigracją, posunęły się tam znacznie dalej, choć degradacja kulturowa w krajach, które nie zostały unicestwione przez komunistyczny walec, postępuje z dużo mniejszą prędkością. Kto nie wierzy, niech spojrzy, jak zachowują się tam dzieci, jak odnoszą się do obcych, do dorosłych. Mówię o takich krajach, jak Francja czy Niemcy, gdzie nawet na ulicy można spotkać dzieci, które mówią „dzień dobry panu”, „dzień dobry pani”. Osobiście tego doświadczyłem. Tymczasem w naszym otoczeniu dzieci często nawet nie pozdrawiają starszych. Aspekty wychowania, które były oczywiste, gdy byli wśród nas bliscy, którzy pamiętali kulturę choćby II Rzeczypospolitej, stają się całkowicie nieobecne, a to musi się przekładać na wszystkie inne dziedziny życia, na brutalizację obyczajów.

W tym momencie przychodzą mi do głowy piękne słowa z Pana Ta-deusza o tym, że „Sędzia w domu dawne obyczaje chował, i nigdy nie dozwalał, by chybiano względu dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu”...

Tak, jako naród o tym wszystkim zapominamy; o tym, że takie względy się po prostu należą. Mało kto zwraca uwagę nawet na ustępowanie miejsca czy inne tego typu gesty, które budują kulturę codzienności.

A propos kulturowej pauperyzacji, o której Pan już wspominał: byłem bardzo miło zaskoczony, gdy kolega Włoch powiedział, że pomimo ich upadku moralnego, w każdym włoskim liceum, w klasach o profilu humanistycznym, standardem jest nauczanie łaciny i greki. W klasach o profilu ścisłym uczy się tylko łaciny.

To oczywiście element klasycznego wykształcenia, które dzisiaj jest u nas z takim zapalem niszczone. Obecna deforma Ministerstwa Edukacji Narodowej zrzuca nas do jeszcze niższych kręgów.

Kolejny grzech Rzeczypospolitej został opisany w kazaniach czwartym i piątym. Ksiądz Skarga mówi w nich o naruszeniu religii katolickiej przez zarazę heretycką i o tym jako katolicka wiara, policyj³ i królestw szczęśliwie dochowywa, a heretyctwo je obala. Czy dziś, gdy państwo szanujące prawo i panowanie Boże nie jest już nawet dalekim wspomnieniem, słowa te nie wydają się abstrakcyjne?

Nasze dzisiejsze położenie jest dalekim odpryskiem skutków rewolucji protestanckiej. Dla księdza Skargi i ojców jezuitów było jasne, że innowiercy są rewolucjonistami, ponieważ niszczyli same podstawy ładu społecznego. To nie tylko poglądy religijne. Niosły one za sobą również konsekwencje polityczne. Skarga w innym miejscu powie, że katolik i heretyk nie mogą mieć tego samego rozumienia sprawiedliwości. Jakim sposobem bluźnierca może być sprawiedliwy, skoro w pierwszej kolejności obraża samego Boga?

3 Gdzie słowo *policyja* autor wywodzi od greckiego *politeia*, czyli w skrócie ład publiczny.

A jak ma się rzecz dzisiaj, kiedy religia katolicka jest w zupełnej defensywie? Gdy tylko ktoś wspomni o potrzebie poszanowania chrześcijańskiej antropologii czy zachowania cywilizacji i spuścizny chrześcijańskiej, to jest oskarżany o postulowanie państwa wyznaniowego i naruszenie neutralności czy też rozdziału Kościoła od państwa i inne bzdury, które pokazują porażającą ignorancję w zakresie tego, co stoi u podstaw Rzeczypospolitej. Religia katolicka ufundowała nasze państwo i dopóki będzie ono wierne swemu dziedzictwu, dopóty będzie zachowywało odniesienia do prawdziwej religii. Wiara katolicka jest wciąż obecna w pewnych symbolach, przy okazji uroczystości państwowych, ale to forma szczątkowa i zanikanie katolickich zasad w codziennych relacjach spycha nas w kierunku barbarzyństwa. Z drugiej strony wracają te same problemy, z którymi zderzało się duchowieństwo w dobie tzw. reformacji – nie tylko bluźnierstwa, ale i otwarte ataki na Najświętszy Sakrament i na osoby duchowne. Dlaczego ksiądz Skarga założył Arcybractwo Najświętszego Sakramentu? To nie była tylko kwestia pobożności. W tamtych czasach, kiedy szerzyły się prądy protestanckie, nierzadkie były ataki na księdza idącego z Najświętszym Sakramentem do chorych i podstawową funkcją Arcybractwa była fizyczna ochrona kapłana przed atakami heretyków. Dzisiaj pod tym względem chyba pobiliśmy już wszelkie rekordy, na co Skarga z pewnością reagowałby ze świętym gniewem i wielkim oburzeniem. Także jesteśmy w sytuacji, kiedy Pan Bóg zwleka z opłatą za te wszystkie bluźnierstwa.

W sukurs przychodzi nam sakrament pokuty, o którym Skarga mówi w kazaniu piątym, wskazując na znaczenie spowiedzi dla jakości moralnej życia publicznego.

Tak, bo żeby była spowiedź, potrzebny jest też rachunek sumienia. Potrzebne jest spojrzenie na siebie w prawdzie, czyli w pokorze i w odniesieniu do Pana Boga, do Jego Miłości. Polityk, który poważnie traktuje spowiedź, ma też obowiązek zadośćuczynienia, gdyby uczynił coś publicznie przeciwko wierze i moralności. Jeżeli któreś z wyznań chrześcijańskich może upatrywać obiektywnej pewności odpuszczenia grzechów, to jedynie katolicyzm. Pozostaje on bowiem

wierny Bożemu objawieniu, sakramentom i całej tej strukturze Kościoła, która nie pochodzi przecież od człowieka, lecz płynie z Boskiego ustanowienia. Odróżnia nas to od protestantów. Zresztą, można to zaobserwować na dużo bardziej przyziemnym przykładzie. Spójrzmy, które tradycje kulinarne są najbardziej bogate i wykwintne? No właśnie kuchnie katolickie. Jest nawet taka anegdota, że gdy katolik pójdzie do spowiedzi i otrzyma rozgrzeszenie, to poczuje w sobie wielką duchową radość, którą chciałby jakoś zamanifestować na zewnątrz. Wróci do domu i w naturalny sposób znajdzie ujście dla tej duchowej radości w zwyczajach czysto materialnych, w dobrej kuchni czy sięgnięciu po dobry trunek. W sumieniu protestantów, którzy ciągle żyją w niepewności i nie wiedzą, czy Pan Bóg im przebaczył i czy żyją w łasce Bożej, może rodzić się – oczywiście bardzo upraszając – pewna frustracja. Myślę, że po trosze mogą – w dobrym tego słowa znaczeniu – zazdrościć katolikom możliwości wyspowiadania się i uzyskania pocucia, że jest się oczyszczonym z grzechów. Ale możliwe to jest tylko w konfesjonale.

Jeżeli jesteśmy zobowiązani do wycofania się z grzechu i do naprawienia go, to jak możemy mówić o politykach w Polsce, którzy nazywają się katolikami, chodzą do kościoła, a potem głosują jakby nigdy nic za liberalizacją dostępu do aborcji albo podpisują ustawę o in vitro?

To są grzechy publiczne, o których wielu z tych polityków nie chce słyszeć – i jest to być może ignorancja zawiniona. Gdy popełniają oni grzechy publiczne, sprzeciwiające się doktrynie Kościoła, to w wielu przypadkach mogą podlegać ekskomunie na mocy samego tego faktu. Za aborcją głosują całkiem jawnie. Podobnie podpisują też ustawę o in vitro, w oczywisty sposób sprzeciwiając się nauce wiary i moralności. W takim przypadku nie wystarczy sama spowiedź. Grzechy publiczne domagają się wszakże publicznego zadośćuczynienia, jest w tym olbrzymia odpowiedzialność. Wielu nie chce się nawet nad tym zastanowić. Sądzą, że nawet jeśli zagłosowali za aborcją, to wciąż mogą, ze spokojnym sumieniem, przystępować do Komunii Świętej. Ale tak nie jest. Jeśli sądzą, że mogą praktykować podwójną moralność i że wolno im przystępować do sakramentów, mimo iż

publicznie się sprzeciwiają się nauczaniu Kościoła poprzez konkretny akt, jakim jest choćby oddanie głosu na prawa godzące w prawo do życia – to są w wielkim błędzie.

Grzech, który wymienia ksiądz Skarga w kazaniu szóstym, to osłabienie królewskiej dostojności i władzy. Dziś wiadomo, że królestwo polskie jest już wspomnieniem, niestety, dość abstrakcyjnym. Pokazały to na przykład tegoroczne obchody tysiąclecia Korony Polskiej. Ale czy żyjemy w państwie, które moglibyśmy traktować poważnie? I czy mamy władzę, która z odpowiednią siłą i sprawiedliwością zadbałaby o dobro wspólne i która potrafiłaby godnie reprezentować ponadczasowy majestat Rzeczypospolitej?

Nie bez powodu straciliśmy szacunek dla władzy. Dziś padają kolejne bastiony, gdy patrzymy, co dzieje się z władzą sądowniczą. Z kolei dowodem upadku władzy wykonawczej był w ostatnim czasie spektakularny najazd na Pałac Prezydencki. To bardzo symboliczne. Nic wielkiego się z tego powodu nie stało, nie było żadnej reakcji. Przy forsowaniu domu Głowy Państwa (tej pozostałości po monarchicznym ustroju) nie padł ani jeden strzał. Do domu prezydenta i naczelnego zwierzchnika Sił Zbrojnych wpadły służby, aby pod jego nieobecność dokonać przeszukania pomieszczeń. Służby mające bronić prezydenta nie zareagowały i pozwoliły innym służbom uderzać w głowę państwa. To rzecz bezprecedensowa. Za mniejsze przewiny przed II wojną światową ludzie dostawali srogie kary. Tymczasem za brak szacunku dla munduru polskiego, a do tego za zniewagę majestatu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, którą przecież reprezentuje Głowa Państwa, nikomu włos z głowy nie spadł.

Dość wspomnieć o nagminnym łamaniu prawa przez rząd oraz uchwalaniu ustaw sprzecznych z ustawą zasadniczą – zjawisku, które nasila się od kilku lat. Co powiedzieć o uznaniowym kwestionowaniu ważności sędziów? Jaki sygnał otrzymują w ten sposób obywatele? Jest to oczywiście sygnał, że w tym państwie nic nie jest stabilne i że żadna władza nie gwarantuje im bezpieczeństwa. Zazwyczaj jest to moment poprzedzający upadek i anarchię.

Tym samym wskazał Pan na kolejny punkt naszej rozmowy, a zarazem jeszcze jeden grzech Rzeczypospolitej wymieniony przez Skargę. Jest nim stanowienie praw niesprawiedliwych. Z jednej strony istnieją prawa ludzkie, a z drugiej – Kaznodzieja wspomina o prawie przyrodzonym, które my nazywamy prawem naturalnym. Pomstuje przy tym na krzywdy wyrządzane na niższych klasach; choćby na fakt, że pan staje przed chłopem jako samowładczy sędzia, który może nawet zabić, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności. Mamy więc do czynienia z podeptaniem praw Boskich, a zarazem z pewną uznaniowością tego ludzkiego prawa. Brzmi to znajomo?

Jak najbardziej, z tym że dziś możemy do tego dodać także dyktat zewnętrzny w postaci Unii Europejskiej. Czy to z własnej inicjatywy, czy pod presją Brukseli, prawodawcy występują przeciwko prawu naturalnemu oraz prawom z niego wynikającym. Gwałcone są prawo do życia i prawo własności. Ochrona wolności w jej najbardziej podstawowych i oczywistych wymiarach nie znajduje dziś miejsca w prawodawstwie. Pod pewnymi względami stoimy na poziomie niższym niż niewolnicy, ponieważ odmawia się nam nawet przyrodzonego prawa do obrony, w tym prawa do posiadania broni. Wszystkie te ataki na własność prywatną oraz na możliwość korzystania ze środków transportu, dokonywane pod pretekstem rozmaitych ideologii, stanowią w istocie zamach na nasze przyrodzone prawa..

Kiedy mówi Pan o współczesnym niewolnictwie, to czy nie ma Pan wrażenia, że pewne mentalne blokady Polaków, które nie pozwalają nam zrozumieć, że powinniśmy być panami na własnej ziemi, są jakąś odległą w czasie konsekwencją szlacheckiej swawoli; tej, którą piętnował ksiądz Skarga?

Być może jest tak, że naród w ogromnej mierze ponosi dziś konsekwencje tej swawoli i anarchii szlacheckiej, schodząc do poziomu dawnego ludu – zdegradowanej grupy społecznej, jaką byli w istocie, nie ma co tego ukrywać, chłopci: często przywiązani do ziemi i pozbawieni wielu praw. Naród doświadcza dziś w swej masie tego, czego niektórzy mogli doświadczać w przeszłości, a być może nawet w stopniu

jeszcze większym. Faktem jest, że sytuacja polskich chłopów w XVII wieku nie była godna pozazdroszczenia. Pisze o tym ksiądz Skarga, upominając się o los włościan i przypominając, że jeszcze sto lat wcześniej chłopci mieli możliwość skarżenia się na złych panów, nawet przed królem. W czasach Skargi staje się to już praktycznie niemożliwe – zanika równość wobec prawa, wywiedziona z prawa rzymskiego i z najlepszych tradycji cywilizowanych stosunków społecznych. Znika także możliwość ojcowskiego traktowania poddanych przez króla oraz ingerowania tam, gdzie było to konieczne, w niesprawiedliwe relacje, a także czuwania nad porządkiem społecznym w tym zakresie.

Na co dzień doświadczamy skutków tego spauperyzowania, niskiej świadomości oraz swoistego znieczulenia na potrzebę wolności. Można odnieść wrażenie, że większość narodu wolności nie potrzebuje albo że oddaje ją za igrzyska, za jakąś namiastkę dóbr materialnych. Że naród stał się zakładnikiem i niewolnikiem – w zamian za ułudę pozornego bezpieczeństwa oraz możliwość korzystania z elektronicznych „zabawek”, które oferują choćby płacenie przez przyłożenie nadgarstka. „Cóż z tego, że będą mnie kontrolować, skoro jest mi wygodniej” – zdaje się brzmieć ta postawa. Słyszałem wręcz takie słowa, że należy poświęcić część wolności dla tego rzekomego bezpieczeństwa i wygody.

W głębszej perspektywie prowadzi to do sprowadzenia człowieka wyłącznie do jego zwierzęcej natury. Proszę zwrócić uwagę, że coraz częściej nie mówi się już o dobrobycie, lecz o dobrostanie. Zauważyłem nawet niedawno w kościele, że to modne słowo pojawiło się w kazaniu. Tymczasem „dobrostan” jest pojęciem, którego tradycyjnie używano w odniesieniu do zwierząt hodowlanych. To one muszą mieć zapewniony dobrostan, aby krowy dawały mleko, a kury znosiły jajka. Wystarczy im w miarę dobre funkcjonowanie: możliwość chodzenia, gdakania, dziobania czegoś w błocie – i niczego więcej nie potrzebują. Lubię posługiwać się metaforą, że utraciliśmy perspektywę orła, a przyjęliśmy perspektywę kury, która dziobie w brudnej ziemi

i jest ukontentowana tym, że znalazła kilka ziaren i mogła się najeść. Nie takie było powołanie naszego narodu.

Wywołał Pan do tablicy kolejny temat, ostatni z listy grzechów. Ksiądz Skarga piętnuje mianowicie grzechy jawne i niekarność ich. Nie skupiałbym się tym razem na samych grzechach, bo to już uczyniliśmy. Jesteśmy narodem moralnie upadającym, o czym świadczy choćby liczba rozwodów. Czymś ważniejszym wydaje się jednak wspomniana bezkarność. Co można powiedzieć o tych, którzy nazywają się katolikami i ludźmi przywiązanymi do tradycyjnych pojęć moralnych, ale wobec otaczającego ich zła, stają się ludźmi, o których Skarga powiedział, że ich siła męska rozkoszami struchlała? Czy polscy katolicy zatracili ducha walki?

Z pewnością tak. Skarga zwraca się do szlachty, która wywodziła się przecież ze stanu rycerskiego i jeszcze do niedawna wiodła surowy, żołnierski żywot, a teraz „z jazdy szlacheckiej stali się wozownicy, podusznicy, pierznicy”, i „z łózkami, z pierzynkami jadą” na wojnę. Jak wówczas utrata męskich obyczajów prowadziła do zniewieszczenia tych, którzy mieli bronić Ojczyzny, tak dziś moglibyśmy bez trudu wskazać niezliczone typy mężczyzn i chłopców przypominających laleczki: wydelikacowanych, skupionych na modnym wyglądzie, a nawet na zapachu. Często oznacza to po prostu zniewieszczenie – wystarczy spojrzeć na męskie perfumy, które coraz częściej mają słodkie, niemal uniseksowe nuty, czy na szerokie, bufiaste spodnie, stające się niemal sukienkami. Wszystko to sprawia, że cnota męstwa przestaje być miarą właściwego postępowania, a sama męskość jako wzorzec osobowy zanika w sposób widoczny i odczuwalny.

Do tego dodałbym daleko idące spacyfikowanie narodu. Tak dalekie, że na ulicach nie widzimy nawet umundurowanych żołnierzy. Poza policją właściwie nie spotykamy już dziś ludzi w mundurach, a ma to przecież swoje znaczenie, ponieważ duch waleczności i duch męstwa nie wyraża się już w sposób symboliczny w przestrzeni publicznej. Wiemy skądinąd, że obowiązuje zakaz poruszania się żołnierzy w mundurach w miejscach publicznych. Tymczasem jeszcze

w II Rzeczypospolitej mundur był obecny na ulicach i stanowił znak dumy z własnego państwa, symbol prestiżu społecznego oraz jawny wyraz tego, że dany mężczyzna należy do elity kraju – do tych, którzy bronią Ojczyzny i którym należy się szczególny szacunek. Dla dopełnienia tego obrazu warto zauważyć, że nawet gdy mundury dziś się pojawiają, nie są to już mundury galowe, lecz wyłącznie polowe, we wzorze „moro”. Mają one służyć wygodzie w działaniach bojowych, lecz nie pełnią funkcji reprezentacyjnej i nie oddają powagi, jaką cieszył się zwłaszcza oficer. Dawniej nawiązywało to do całego systemu symboli – także rycerskich – oraz dystynkcji, które sprawiały, że żołnierz idący ulicą w galowym mundurze wzbudzał respekt i szacunek.

To, o czym Pan mówi, znajduje odzwierciedlenie przede wszystkim w sferze państwowej. Ale prosiłbym jeszcze o dopowiedzenie, jak to ma się do sfery czysto prywatnej, lokalnej albo sąsiedzkiej. Czy wobec zła moralnego i wobec zgorzenia, które nieraz wkracza do szkół i które widzimy u bliskich nam osób, nie ulegamy staropolskiemu „grzechowi tolerancji” i zwykłej bierności?

Myślę, że to kwestia właśnie zaniku cnoty męstwa. A więc w gruncie rzeczy tchórzostwa. Tłumaczymy sobie: „a co ja będę reagował?”. Albo: „to nie moja sprawa”. Brak odwagi wiąże się z zaniedbaniem uczynków miłosiernych, nie tylko co do ciała (o czym może jeszcze czasem pamiętamy), ale przede wszystkim co do duszy. Zapominamy, że powinniśmy napominać tych, którzy grzeszą. A przecież tego wymaga od nas chrześcijańska postawa; tego, byśmy widząc grzech, starali się go wyplenić, a przynajmniej ustawić się do niego w kontrze, czy to będzie grzech publiczny, czy ten, który jest w naszych rodzinach. Żebyśmy nie udawali, że tego grzechu nie widzimy, nie patrzyli obojętnie, jak nasze dzieci czy wnuki staczają się w otchłań grzechu.

Czy oprócz tych sześciu chorób wymieniłby Pan taką, o której Skarga nie wspomina, a która jest typowa dla III Rzeczypospolitej?

Najbardziej doskwiera mi brak tęsknoty za wolnością. Ta rozprzestrzeniająca się mentalność niewolnicza. Trudno nazwać to jakimś

konkretnym grzechem; być może są to raczej skutki grzechu, o czym już wcześniej mówiliśmy. Z pewnością jednak jest to wada, która pociąga za sobą określone konsekwencje: stajemy się zakładnikami we własnym państwie i niechybnie znajdą się panowie, którzy zechcą nami zawładnąć – a z pewnością nie będą to panowie chrześcijańscy.

Proponuję zakończyć naszą rozmowę w sposób otwarty. Nie jesteśmy wszakże w stanie przedstawić spójnego programu. Ale prosiłbym Pana o refleksję nad pierwszym krokiem, który powinniśmy poczynić, aby wyjść z kryzysu. Czy ma to być krok polityczny? Krok aktywizmu? A może powinien być on bardziej... ascetyczny?

Polityka jest tylko pochodną życia codziennego i życia moralnego. Dzisiejsi decydenci chcieliby z tego szydzić, ale taka jest prawda. Chodzi o powrót do praktyki cnót; o to, abyśmy – jak mówił św. Jan Paweł II – wymagali od siebie, choćby inni od nas nie wymagali. W Kościele już tego nie słyszymy, a powinniśmy słyszeć. Mamy prawo i obowiązek domagać się tego od naszych pasterzy. Aby napominali. Z ambon powinno się mówić o grzechach. Powinniśmy widzieć setki naśladowców księdza Piotra Skargi, którzy z troski o zbawienie dusz i jakość moralną życia społecznego, chcieliby napiętnować to wszystko, co prowadzi nasz naród i nasze państwo do zguby.

Wspomniał Pan, kolejny już raz, o cnocie. Ale czy przeciętny Polak ma dziś w ogóle jakiekolwiek pojęcie, czym jest owa cnota? Nie pytam nawet w kontekście nadprzyrodzonym, lecz w odniesieniu do zwykłej, naturalnej sprawności moralnej. Znamy przecież kuriozalne wypowiedzi pewnego profesora, związanego z pewnym ministrem, który mówił o „cnotach niewieścich”, jakby sprawność ludzkiej duszy posiadała płeć...

To prawda. Brakuje nam elementarnego ukształtowania pojęć, zarówno filozoficznych, jak i katechizmowych. Wielu kaznodziejów sili się na abstrakcyjne rozważania, podczas gdy w istocie wystarczyłoby sięgnąć do katechizmu i jasno opowiedzieć, co należy czynić, aby być dobrym człowiekiem. Jak praktykować poszczególne cnoty? Jak walczyć ze swoją wadą główną oraz konkretnymi skłonnościami do

grzechu? Czym jest prawda? Czym jest miłość bliźniego, ta prawdziwa miłość bliźniego, która nie sprowadza się do cnotliwego, sentymentalnego uczucia skłaniającego do nieustannej pobłażliwości, lecz oznacza troskę o rzeczywiste moralne dobro drugiego człowieka. W przeciwnym razie jesteśmy skazani na tzw. „dobroludzizm” oraz przekonanie, że bycie miłym dla wszystkich stanowi definicję bycia dobrym człowiekiem. Tymczasem chodzi przecież nie tylko o „dobrostan”, lecz o to, abyśmy wzajemnie pomagali sobie na drodze do zbawienia duszy..

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Filip Obara


WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

EDUKACJA, ABORCJA, ZWIĄZKI PARTNERSKIE. REWOLUCJA NIE ODPUSĆCI... MY TYM BARDZIEJ!

Jeszcze bitewny pył o zablokowanie edukacji zdrowotnej na dobre nie opadł, a my nie zdążyliśmy się ucieszyć zwycięską batalią w obro- nie dzieci, a Ministerstwo Edukacji Narodowej wytoczyło nowe działa i rozpoczęło kolejną batalię, w której decyduje się to jaki będzie mia- ła kształt polska edukacja i to w jaki sposób kształcony będzie młody człowiek. Finalnie chodzi o to, czy obronimy – jako Polski Naród – swoją tożsamość, czy też staniemy się bezwolną „europapką” odciętą od swo- ich chrześcijańskich korzeni.

Lewica ma „swoją chwilę” u władzy i będzie chciała ją wykorzystać do przepchnięcia Rewolucji na kolejny etap. Deformacja systemu eduka- cji i zmiana sposobu kształcenia młodych pokoleń stały się flagowym elementem toczonej batalii. Opieramy się jej – w wielu aspektach sku- tecznie, ale wciąż otwierają się kolejne fronty walki. Dlatego nie moż- na ustawać, trzeba się mobilizować i przeciwstawiać szkodliwym po- mysłom lewicy.

PORAŻKA EDUKACJI ZDROWOTNEJ

Przeciwnik jest kolosem, to fakt. Ale jako społeczeństwo wciąż do- strzegamy zagrożenia i celnie diagnozujemy sytuację i potrafimy się organizować. Nie chcemy, by nasze dzieci były w szkołach deprawo- wane. Dowodem tego był sukces skoordynowanej akcji informacyj- nej, której celem było dotarcie do jak największej liczby rodziców i ostrzeżenie ich przed prawdziwą twarzą edukacji zdrowotnej. To się udało. MEN w kwestii nowego przedmiotu poniósł już drugą klęskę. Przypomnijmy – pierwsza porażka, to doprowadzenie do rezygnacji z obowiązku uczestniczenia w edukacji zdrowotnej. Druga, to skala wypisów z tego przedmiotu. A sprawa nie była łatwa, bo resort – choć przedmiot był nieobowiązkowy – wymagał od rodziców wypisania

z niego dzieci. Być może liczone, że wiele osób machnie na to ręką i edukacja zdrowotna odtrąbi sukces frekwencyjny, a za rok wprowadzony zostanie obowiązek uczestniczenia w zajęciach.

Jednak dzięki ogromnej mobilizacji wielu środowisk, w tym Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, której Stowarzyszenie im. Ks. Piotra Skargi jest częścią, wypisywanie dzieci z edukacji zdrowotnej stało się czynnością powszechną! Uśredniając wynik, można powiedzieć, że z zajęć wypisanych zostało ponad 70 proc. dzieci i młodzieży! Taki wynik nie byłby możliwy bez wysiłku tysięcy ludzi zatroskanych o przyszłość polskich dzieci. I za to zaangażowanie dziękujemy! Ten sukces może napawać nadzieją, że toczona już teraz kolejna bitwa o polską szkołę nie jest skazana na porażkę. Walka trwa!

„REFORMA26. KOMPAS JUTRA” – CZYLI SZKOŁA PO LEWACKU

Kolejnym polem walki o młode pokolenie i polską szkołę jest forsowana przez MEN „Reforma26. Kompas Jutra”. Eksperci ostrzegają, że jej wdrożenie całkowicie zmieni szkołę. To nie będzie już placówka oświatowa, ale pobytowa placówka psychologiczno-pedagogiczna. Nie będzie tu już miejsca na przekazywanie wiedzy. Nie będzie wymagań, wyzwań potrzebnym do rozwoju młodych ludzi. Zabraknie elementu przygotowania do dorosłego życia.

Dlatego apelujemy o podpisywanie przygotowanej przez Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. Księdza Piotra Skargi petycji do Karola Nawrockiego, Prezydenta RP, z prośbą o zawetowanie reformy, kiedy ta trafi na jego biurko.

Apel można podpisać TUTAJ – >

<https://prezydent.wobroniepolskiejszkoły.pl/?ka=005136>

A uwag jest wiele. To m.in. naruszenie konstytucyjnych praw rodzicielskich poprzez wprowadzenie mechanizmu domyślnej zgody na zajęcia fakultatywne czy braku obowiązku informowania rodziców o charakterze zajęć. O tym z jakimi treściami zetkną się dzieci w szkole rodzice dowiedzą się po fakcie! To już nie otwarcie bocznej

furtki, ale głównych drzwi, dla promowania różnorodnych ideologii, także tych niezgodnych z przekonaniami rodziców.

Ponadto reforma opiera się na dokumencie „Profil absolwenta i absolwentki”, który zyskuje pozycję nadrzędną nad podstawą programową! W praktyce jego zmiany mogą zachodzić właściwie bez żadnej kontroli. A przecież mówimy o kształceniu przyszłych pokoleń! Nie trzeba tłumaczyć co to oznacza w państwie kierowanym przez środowiska liberalno-lewicowe.

Eksperci ostrzegają, że szykowany jest koniec szkoły jaką znamy. To wycięcie ze szkół kodu kulturowego, narodowego na rzecz mgliście definiowanej utylitarności edukacji – bez wychowania, bez przekazywania tradycji i oderwanie od jakichkolwiek wartości, gdzie „dobrostan” ucznia zastąpi wymogi intelektualne, moralne, etyczne...

Walka trwa, eksperci oświatowi, nauczyciele, rodzice stają w szranki z MEN i biorą udział w konsultacjach, starając się zatrzymać „deformę”. My musimy ich wspomóc tworząc nacisk, także na Prezydenta RP, by nie zadrżała mu ręka i zawetował szkodliwe zmiany.

Podpisz apel – >

<https://prezydent.wobroniepolskiejszkoly.pl/?ka=005136>

JEST NAS WIELU!

To, że walka o polskie dzieci i edukację jest ważna, znalazło potwierdzenie podczas XXII Kongresu Konserwatywnego, który w październiku odbył się w Krakowie. To właśnie wówczas docenione zostały wysiłki KROPS, a organizacja została uhonorowana nagrodą im. Ks. Piotra Skargi.

Szerokie relacje z wydarzenia można odnaleźć na PCh24.pl – >

<https://pch24.pl/niech-chrystus-nam-kroluje-w-krakowie-trwa-xxii-kongres-konserwatywny/>

Tegoroczny Kongres odbył się setną rocznicę ogłoszenia encykliki *Quas primas* przez Ojca Świętego Piusa XI, o społecznym królowaniu Chrystusa. – *Myszę, że encyklika jest jeszcze bardziej aktualna niż wtedy, gdy się rodziły totalitaryzmy: bolszewizm, komunizm, nazizm, więc faszyzm. Teraz widzimy, że to są kolejne metamorfozy. Szczególnie widzimy tę wersję bardziej może wysublimowaną, w białych rękawiczkach, w postaci Unii Europejskiej, która coraz bardziej i coraz ściślej próbuje kontrolować każdy aspekt naszego życia* – mówił Sławomir Olejniczak, prezes SKCh.

Dość dodać, że wspomniana „Reforma26. Kompas Jutra” to pokłosie polityki unijnej, która potwierdza jedynie owo dążenie do pełnej kontroli i rugowania Boga i Jego przykazań z życia społecznego. A to tylko jeden z aspektów próby budowania „raju na ziemi” bez Boga. – *Oczywiście wiemy, że to jest utopia. To są obietnice, które zamieniają ten obiecany raj w piekło na ziemi i widzieliśmy ile milionów ofiar już potrafiły te systemy pochłonąć* – dodał prezes Olejniczak. Efekt końcowy, jak mówił, rysuje się dość jasno – tworzenie cywilizacyjnych warunków sprzyjających nie zbawieniu, ale potępieniu. My jednak, mając świadomość swojej ułomności, musimy czynić wysiłki, aby ów porządek społeczny stawał się jednak jak najlepszym odzwierciedleniem Królestwa Niebieskiego. I musimy walczyć o zbawienie dla jak największej liczby dusz.

Kongres Konserwatywny, będąc miejscem spotkania wielu środowisk, z pewnością dał poczucie, że jest jeszcze wielu ludzi dobrej woli, którzy chcą działać i nieść światło Chrystusowej Ewangelii – zarówno w życiu prywatnym, rodzinnym, ale i społecznym... Niech Chrystus nam króluje!

„OBRONA ŻYCIA W POLSCE AD 2025”

W naszej walce nie mogliśmy zapomnieć o rzeczach fundamentalnych – o prawie do życia i ochronie tych najsłabszych – życia poczętego. „Cywilizacja śmierci” od lat dąży do legalizacji tzw. aborcji, która jest niczym innym jak prenatalnym zabójstwem. Jaką drogą pójdą Polacy? Czy staną w obronie najsłabszych? Czy też ulegną piewcom krwawej Rewolucji?

Konferencję, która zgromadziła obrońców życia współorganizował warszawski Klub Stańczyka, a jej uczestnicy zwrócili uwagę na szereg ważnych problemów z jakimi dziś przychodzi nam się zmagać. To przecież cały przemysł aborcyjny i jego nachalna promocja ukrywana pod szyldem „praw kobiet”, „wolności wyboru”. Ale zaraz za nim kroczy w niszczyielskim marszu inny kolos – antykoncepcja – i to stręczona nawet dzieciom, które od najmłodszych lat przekonywane są, że to forma „odpowiedzialności”.

Jak w tej sytuacji w ogóle rozmawiać o wielkim problemie demograficznym, w którym pogrąża się nasz kraj? Kto weźmie na swoje braki obowiązki związane z rodzicielstwem, skoro rodzina i dzieci są przedstawiane jako coś co przeszkadza – rozwojowi, pracy, rozrywce... A przedstawiana oferta jest taka prosta: „weź pigułkę”. Tylko czy jest ona faktycznie rozwiązaniem problemów? Doskonale wiemy, że nie! Podobnie jak mamy świadomość, że jak naród się kurczymy, a naród polski starzeje się i ginie. Co zatem robić? Wygląda na to, że wszystko to, co podpowiada nam świat – tylko na odwrót!

BO WIARA RODZI SIĘ ZE SŁUCHANIA

W szumie życia codziennego, czasem tak trudno się zatrzymać i odnaleźć wartościowe treści, które ubogacą nas jako ludzi, jako katolików. Dlatego PCh24.pl stworzył nowy projekt dla całych rodzin – słuchowisko. Stare powiedzenie mówi, że „wiara rodzi się ze słuchania”. I niejako wychodząc naprzeciw tej myśli w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku oddajemy Państwu pierwsze efekty naszych prac. To piękne i profesjonalnie zrealizowane opowiadanie o życiu Pana Jezusa.

Pierwsza odsłona słuchowiska, zawarta w dwóch odcinkach, które trafią do szerokiej publiczności właśnie w okresie świątecznym, to żywa opowieść pozwalająca na nowo przeżyć jakże ważna dla nas wydarzenia: Zwiastowanie, cud Betlejemskiej Nocy czy Ofiarowanie Pana Jezusa w Świątyni. Więcej szczegółów na stronie: sluchowisko.pch24.tv oraz – jak zawsze – na PCh24.pl.

Zachęcamy do rodzinnego zagłębienia się w Tajemnicę Wcielenia!



JEŚLI PRZEGAPIŁEŚ NA PCH24.PL...

WYBRANE PUBLIKACJE



PIES – ZŁOTY CIELEC LIBERALNEGO SPOŁECZEŃSTWA

Wielu z nas spotkało się zapewne z pojęciem „psiecka”. Psiecko to nic innego jak pies, którego się „uczłowiecza” i traktuje jak prawdziwe dziecko, ażeby załatać nim pustkę wynikającą z nieposiadania potomstwa – często umyślnego. „Psiecko” to koncept zrodzony w liberalnych mediach, który stanowi groteskowy i dość skrajny przykład realnego społecznego zjawiska, które w Polsce wydaje się przybierać szczególne rozmiary – psiej obsesji.

W pierwszej kolejności wskazać należy, iż samo posiadanie psa nie jest niczym złym. Zwierzęta te potrafią być bardzo pożyteczne – nie tylko towarzyszą człowiekowi na co dzień, ale służą również w poszukiwaniach osób zaginionych, w służbach mundurowych, pilnują zwierząt pasterskich, prowadzą niewidomych itp. W porządku natury pies leży jednak niżej od człowieka – jest zwierzęciem. Nie posługuje się rozumem, nie jest stworzeniem o ludzkim poziomie inteligencji, nie umie formułować wypowiedzi. Jego sposób funkcjonowania, jak każdego zwierzęcia, jest dość prosty. Można go wytresować, aby był nam posłuszny, a kieruje się on w stu procentach swoim instynktem. W porządku stworzenia jest on zatem przeznaczony, aby być człowiekowi poddanym, tak jak inne zwierzęta.¹

Problem pojawia się jednak, gdy sympatia człowieka wobec psa traci swe uporządkowanie i podejmuje się próbę zrównania psa z człowiekiem. Z uwagi na różnice naszych natur, jest to tak naprawdę niemożliwe w praktyce – nie da się „wywyższyć” psa, aby zrównać go z człowiekiem, albowiem z uwagi na swe naturalne ograniczenia nie jest on w stanie wznieść się na poziom funkcjonowania w świecie charakterystyczny dla człowieka. Da się to jednak zrobić poprzez poniżenie

1 Rdz 1, 28.

człowieka do poziomu zwierzęcia – tak określić należy traktowanie psów jak dzieci. Jako dehumanizację człowieka i redukcję dziecka do statusu pupila, wyznacznika statusu społecznego i „lifestyle'u”, a jak wiadomo, w liberalizmie każda droga życiowa jest dobra, a swoistą anatimą objęta jest krytyka obranego stylu życia, niezależnie od tego, jak szkodliwy on by nie był.

W liberalizmie jednostka (człowiek) stanowi punkt odniesienia. Skoro liberalizm opiera się na optymizmie antropologicznym, to należy przyjąć, że działania człowieka są z natury dobre. Jeżeli uznajemy, że pies jest zbliżony do nas w porządku stworzenia, to jego działania również będą z natury dobre i nie należy ich osądzać, a psa nie wolno karać. Więcej – pies, w przeciwieństwie do człowieka, nie jest przebiegły, chamski, cyniczny i nie nosi w sobie znamienia grzechu pierworodnego. Obiektywnie natomiast należy stwierdzić, że pies jest z natury neutralny, podczas gdy ludzka natura jest skażona grzechem pierworodnym.

W sferze społecznej można spotkać się niejednokrotnie z poglądem, iż zwierzęta, w szczególności psy, są „lepsze” od ludzi. Że „nigdy nas nie opuszczą”, „kochają bezwarunkowo”, są „bardziej czułe” itp. Oczywiście, jest to podejście błędne, albowiem *a priori* zakłada, że zwierzęta zdolne są do odczuwania emocji i zachowywania się w tożsamy sposób jak człowiek. Warto przypomnieć burzę medialną związaną ze słowami prof. Bralczyka, który stwierdził, że zwierzę zdycha, a nie umiera, albowiem umierają tylko ludzie.² Słowa te zostały uznane za „kontrowersyjne” i wywołały lawinę oburzenia.

W odniesieniu do powyższego warto wspomnieć, iż zwierzę owszem nie chce opuszczać swojego właściciela, albowiem jest do niego przywiązane przede wszystkim z tego względu, że daje on mu jedzenie, zapewnia dach nad głową, „zwalnia je” z obowiązku polowania celem zapewnienia pożywienia itp. Jeśli mamy kota wypuszczanego na

2 <https://www.tvp.info/79358144/prof-jerzy-bralczyk-w-tvp-info-pies-zdycha-a-nie-umiera-lawina-komentarzy>

podwórko i przestaniemy go karmić, opuści on prędzej czy później nasz teren za pożywieniem. Z psem sprawa ma się nieco inaczej – pies, faktycznie, nie jest w stanie samodzielnie zapewnić sobie pożywienia poprzez polowanie, a przynajmniej nie jest w tym aż tak skuteczny, jak koty.

Stąd, w mojej ocenie, wynika większa skłonność w społeczeństwie do traktowania psa jako zastępczego dziecka, niż kota. Kot kojarzy się po-
niekąd zwyczajowo ze „starymi pannami” jako zwierzę do towarzy-
stwa. Pies natomiast obecnie stanowi „dziecko zastępcze” dla par, al-
bowiem pies wymaga więcej opieki niż kot. Kot jest zwierzęciem dość
samowystarczalnym, często skłonny do odrzucania nadmiernej
bliskości ze strony człowieka. Pies jest z natury bardziej towarzyski.
Psa trzeba wyprowadzać, myć, wymaga on obiektywnie więcej uwagi.
Łatwiej zaspokoić, posiadając psa, zagłuszany instynkt rodzicielski.

Analizowane zjawisko nosi też aspekt statusowy. Warto dodać, że dla
co bogatszych, pies to wyznacznik statusu. Prawdziwym znamięm
bogactwa dla młodego, wielkomiejskiego liberała jest pies za kilka
tysięcy złotych, czystej krwi rasowej, na którego leczenie wydaje się
kilkę tysięcy złotych rocznie – co najmniej. Jakże łatwo wymówić się
wtedy rodzinie, że nie stać nas na dzieci! Przecież trzeba opłacić le-
czenie psa, którego życie to nieustanne cierpienie. A na dodatek moż-
na wybielić się moralnie, że jest się „dobrym człowiekiem”, bo kocha
się zwierzęta. Takie osoby nie usypiają tych psów do samego końca,
bo są dla nich bardzo ważną częścią życia. Niczym dziecko, które
podświadomie pies ma zastąpić, choć nigdy do końca tego nie zrobi.
Pies wymaga znacznie mniej, pies się nie zbuntuje na lata, w przecią-
gu całego życia przyniesie mimo wszystko znacznie mniejsze kosz-
ty. A samo jego życie potrwa raczej maksymalnie 10-15 lat – dziecko
natomiast co do zasady zostaje z nami już do końca naszego życia,
żegnając nas na starość i organizując nasz pogrzeb. I tu dochodzimy
to istotnej konkluzji – „psiecko” to znamie temporalności, tymczaso-
wości życia ludzi w XXI w. Podejście bardzo wielu osób zakłada życie
chwilą, niemyślenie o śmierci, której perspektywa jest dla nich kata-
strofą, albowiem wszystko, co posiadają, to życie tu – na ziemi.

Konkludując – w swej galopującej apostazji, wielu ludzi nie tylko zastąpiło psami swoje dzieci. To już dość powszechne w pokoleniu urodzonym w latach 90. Te zwierzęta to nie tylko zastępcze potomstwo – to metafizyka. Godność człowieka dla wielu osób wyznacza to, czy dbają o zwierzęta. Zbiórki na schroniska i organizacje pomocowe dla zwierząt regularnie cieszą się ogromnymi wpłatami, znacznie wyższymi niż, przykładowo, zbiórki na bezdomnych czy hospicja. Wielu ludzi bardziej razi krzywda zwierzęcia niż człowieka. Ba, widok leżącego w łachmanach bezdomnego u niejednego liberała może wywołać myśl o brzmieniu „pewnie chlał, zasłużył sobie!”. No bo przecież pies, co jest prawdą, nie „zasłużył sobie” na krzywdę. Oczywiście, krzywdzenie zwierząt również jest grzechem. Niemniej jednak skrajnym nieuporządkowaniem jest pomaganie w pierwszej kolejności zwierzętom niż ludziom!

Do powyższego należy dodać groteskową praktykę wożenia psa w wózku dla dziecka. Kaganiec? Utożsamia się go z przemocą wobec zwierząt. Smycz? Na wielu polskich osiedlach, a w lasach tym bardziej (pomimo prawnego zakazu!) jest to standardowe wyposażenie kieszeni spodni właściciela psa. I tu należy pochylić się nad realnym problemem, który w ostatnich tygodniach „wybił” na powierzchnię – bezradność państwa wobec agresji psów, które w październiku zabiły dwóch mężczyzn. 46-letni kierowca zagryziony w lesie przez psy wypuszczone z pobliskiej posesji w woj. lubuskim³, co do których to psów zgłaszano już uprzednio, że są niebezpieczne i agresywne, oraz że wałęsają się bez właściciela po okolicy, a nawet okaleczyły wcześniej innego mężczyznę, odgryzając mu uszy.⁴ W woj. łódzkim pod bramą posesji (!) znaleziono zwłoki 76-latka zagryzionego przez psy z teje.⁵ Państwo polskie wydaje się wobec zgłoszeń o agresywnych

3 <https://www.pap.pl/aktualnosci/zielona-gora-zmarl-46-latek-pogryziony-przez-psy-jest-prokuratorskie-sledztwo>

4 <https://www.fakt.pl/wydarzenia/polska/zglosila-sie-kolejna-ofiara-psow-spod-zielonej-gory-odgryzly-mu-uszy/hfynvcr>

5 <https://lodz.se.pl/straszna-smierc-w-poddebicach-psy-zagryzly-mezczyzne-sledztwo-prokuratury-aa-72ZL-Joy9-7Jaq.html>

psach bezradne. Odebrać agresywnego psa wcale nie jest łatwo, jeżeli właściciel się nad nim nie znęca. Bardzo łatwo jest uzyskać własność nad psem rasy uznawanej za agresywne. Polskie prawo nie przewiduje również obowiązku noszenia kagańca w miejscach publicznych, a nawet nakładania smyczy. Przepisy mówią wyłącznie o obowiązku nadzoru nad psem lub zachowaniu środków ostrożności, nie precyzując ich jednak. Warto przy tym wspomnieć, iż w Polsce dochodzi do niemal 100 pogryzień przez psy dziennie (!), a eksperci biją na alarm co do nieskuteczności przepisów w tym zakresie.⁶ Większość ofiar stanowią natomiast dzieci w wieku 5-9 lat.⁷ Ilość psów w Polsce wynosi ok. 8,4 miliona, a cztery na dziesięć gospodarstw domowych posiadają psa. Ilość psów wzrosła między 2019 a 2024 rokiem o 700 tysięcy (!), plasując nasz kraj na 4 miejscu w Unii Europejskiej pod kątem liczby tych zwierząt⁸.

Jeśli dołożymy do tego wskazywaną przeze mnie „obsesję”, niechęć właścicieli do zakładania psom kagańców, legendarne cytaty „mój pies nie gryzie”, czy też „ludzie są bardziej niebezpieczni od psów”, albo, co chyba najbardziej odrażające, „to вина dziecka, że pies je pogryzł!”, obrazuje nam się w sposób jednoznaczny, iż pies w istocie stał się „złotym cielcem”. Zwierzęciem metafizycznym, które społeczeństwo liberalne rozeznało jako idealnego towarzysza życia. Wydaje się, iż batalię tę zdecydowanie przegrał kot domowy. Dostrzegalna jest też niechęć społeczeństwa do usypiania psów niebezpiecznych, które już kogoś zaatakowały. Kary orzekane wobec właścicieli są również zdecydowanie za niskie. Warto w tym miejscu wspomnieć o sytuacji z USA, w której właściciele psów które zagryzły na ulicy starszego

6 <https://prawo.gazetaprawna.pl/artykuly/9898018,pogryzienia-przez-psy-100-dzienne-350-tys-rocznie-prawo-wymaga-zmian.html>

7 Tamże.

8 <https://www.infor.pl/prawo/novosci-prawne/6736091,polacy-sa-wielkimi-milosnikami-kotow-zajmujemy-drugie-miejsce-w-europ.html#:~:text=ps%C3%B3w%20i%20kot%C3%B3w-,A%C5%BC%2049%25%20polskich%20gospodarstw%20domowych%20ma%20przynajmniej%20jednego%20psa%2C%20co,po%20Niemczech%2C%20Hiszpanii%20i%20W%C5%82oszech.>

mężczyznę zostali skazani na kary 18 i 15 lat pozbawienia wolności przez sąd w San Antonio, co w Polsce stanowi karę niewyobrażalnie wysoką w stosunku do skali czynu.⁹ Wydaje się jednak, iż wobec oczywistej beczelności właścicieli niebezpiecznych czworonogów, lekkomyślnie otwierających na cały dzień bramy swoich posesji, czy to na wsiach, czy w miastach, kary za takie postępowanie powinny być zastrzone. Również dla dobra samych czworonogów – te bowiem mogą wybiec na ulicę i wpaść pod koła samochodu.

Lekkomyślność – jest to pojęcie cechujące zachowanie osób odpowiedzialnych za przytoczone powyżej śmiertelne przypadki ugryzień. Podobnie lekkomyślnością jest lekceważenie zjawisk społecznych polegających na uczłowieczaniu zwierząt – te każdorazowo wiążą się bowiem z poniżeniem człowieka. Tezę o złotym cielcu potwierdza również agresja środowisk poddanych krytyce w niniejszym artykule, których przedstawiciele wobec argumentów świadczących o obsesji na punkcie psów i lekkomyślności w ich chowaniu, w odpowiedzi twierdzą, że strona „konserwatywna” to zwolennicy co najmniej trzymania psa na półmetrowym łańcuchu i katowania go, czy też uboju. Po stokroć nie – jak wskazałem wyżej, znęcanie się nad zwierzęciem jest grzechem i czynem po prostu nieuzasadnionym. Niemniej jednak, w obecnym dyskursie ludzie są skłonni traktować kaganiec jako formę przemocy nad zwierzęciem.¹⁰ Co będzie dalej?

Jest w tym również sporo pychy. Jak wskazuje ekspert, trenerka psów Aneta Awtoniuk w wywiadzie z Tok FM: *„ostatnio modna stała się znów samodzielna praca z psem w kierunku obrony. Ludzie, którzy mają jakieś obrażenia na własny temat, kupują sobie psy na ogół duże, z pełną sekwencją łowiecką. To ostatnie oznacza, że każdy atak kończy się pogryzieniem, zabiciem i ewentualnie zjedzeniem ofiary”*.¹¹

9 <https://www.youtube.com/watch?v=Zs39brpX3tc>

10 <https://rzeszow.wyborcza.pl/rzeszow/7,34962,24329949,dlaczego-wlasciwie-dreczymy-zwierzeta-bo-przeciez-psy-trzeba.html>

11 <https://www.tokfm.pl/ludzie/psy-jak-bomby-z-opoznionym-zaplonem-narasta-frustracja-i-w-koncu-wybucha>

Niczego nieświadome zwierzęta stały się elementem „wojny kulturowej”, a stosunek do nich jest kolejną z osi podziału w społeczeństwie. Kiedyś sprowadzało się to do, w zasadzie nieco śmiesznych, apeli o „niestrzelanie w Sylwestra”. Dziś jest gorzej, albowiem dochodzi do relatywizacji ataków psów na ludzi. Jak przytoczono – psy, które zagryzły 46-latkę, uprzednio atakowały już ludzi. Czy naprawdę da się wytłumaczyć zaniechania w tym zakresie w inny sposób niż w ten, że w Polsce psom po prostu wolno więcej, a ludzie mają wobec nich nieuzasadnioną słabość i tolerancję? Przykładem jest też wpuszczanie psów do restauracji, z którym praktycznie nigdy nie wiąże się obowiązek założenia kagańca. Wydaje się, że ostatnią ostoją „normalności” w tym względzie jest komunikacja zbiorowa, gdzie regulaminy nakładają na właścicieli obowiązek trzymania psa na smyczy i w kagańcu.

Konkludując należy zwrócić uwagę na powiązanie psiej obsesji z kryzysem demograficznym oraz kryzysem relacji społecznych w ogólności. Zrównując posiadanie dziecka z posiadaniem psa, kierując się liberalnym paradygmatem unikania wyrzeczeń i trudności, ludzie znacznie częściej wybierać będą posiadanie psa. Jeśli znormalizujemy używanie wobec zwierząt słów charakterystycznych dla ludzi, jak „wychowanie” zamiast „tresury”, „umiera” zamiast „zdycha” czy „adopcja” zamiast „przygarnięcie”, to wyłącznie pogłębi się ten problem – zacierania, wbrew porządkowi stworzenia, różnic między naturą człowieka a naturą zwierzęta, w tym przypadku w szczególności psa.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/pies-zloty-cielec-liberalnego-spoleczenstwa>

PRAWDA O „PSIECKU” BUDZI WŚCIEKŁOŚĆ. BARDZO DOBRZE!

Dym z zakazanych rac opadł, nieprawomyślne okrzyki ucichły, ale baner nawołujący do zakładania (bądź powiększania) rodzin nadal irytuje. „Kotki i psiecka nie zastąpią ci dziecka” – hasło, które zawisło nad trasą tegorocznego Marszu Niepodległości wzbudziło gorącą dyskusję, którą – nieco upraszczając – można by podzielić na spór tych, którzy widzą potrzebę poważnej debaty o katastrofie demograficznej, z tymi, którzy bardzo starają się nie zrozumieć prostego przekazu. Tymczasem ten, choć nieco ironiczny, jest niezwykle prawdziwy – i wbrew pozorom wskazuje na kluczowe przyczyny pikującej diety.

Przyciągający uwagę baner idealnie wpisał się w nasiloną od pewnego czasu dyskusję o tym, że mamy w Polsce poważny problem z demografią. Zbiegł się także z publikacją nowych danych GUS, podsumowujących dietność w pierwszych trzech kwartałach 2025 roku. W tej kwestii nie ma niestety zaskoczenia.

W okresie od stycznia do września tego roku GUS odnotował ok. 181 tys. urodzeń żywych, czyli o ok. 11 tys. mniej niż w tym samym okresie 2024 roku. Jeżeli ta tendencja się utrzyma, to w 2025 roku liczba urodzeń w Polsce spadnie poniżej 245 tys.; dla porównania: w ubiegłym roku urodziło się blisko 282 tys. dzieci. To znaczący ubytek, a trend spadkowy trwa, z niewielkimi odstępstwami, już od ponad 30 lat.

I wydawałoby się, że to, w jak katastrofalnym położeniu się znaleźliśmy, jest już jasne dla każdego, a na pewno powinno być jasne dla osób, które mają tak ogromny wpływ na opinię publiczną jak politycy czy dziennikarze. Tymczasem po tym, jak słynny już baner o psieckach stał się głośny w mediach, okazało się, że niewiedza (choć czy na pewno to tylko niewiedza?) w tej kwestii jest całkiem powszechna.

„PSIECKO” OBURZA

Pozytywnie o prodietyncyjnym hasle wyrazil sie w mediach spolecnosciowych Krzysztof Bosak.

Na Marszu Niepodleglosci nie brakuje trafego przekazu. Bez mlodego pokolenia nie ma przyszlosci, a rodzina to fundament silnego narodu – napisal marszalek na portalu X, zalaczajac zdjecie banneru.

I choc to jeden z niewielu popierajacych ten przekaz komentarzy, to dyskusja po stornie przeciwnej trwa do tej pory.

Juz pod wpisem marszalka swoje zdanie zamiescily poslanki Katarzyna Kotula czy Anna Maria Zukowska. Do hasla odniosla sie takze lewicowa aktywistka Maja Stasko, zaznaczajac, ze baner „obsmiawal kobiety”, a jego autorzy traktuja je jedynie jako narzeczcie polityczne. Dzialacz Lewicy Lukas Litewka na swoich mediach spolecnosciowych przerobil nawet transparent, zmieniajac haslo na „Kotki i psiecka nic nie maja do dziecka”. Jego zdaniem baner „drwil z ludzi posiadajacych zwierzeta, a same czworonogi uznal, za jedna z przyczyn tego, ze Polki nie chca miec dzieci” [pisownia oryginalna].

Tematem zajela sie takze dziennikarka Polsatu Agnieszka Gozdyra, a Tomasz Terlikowski baner potraktowal jako punkt wyjscia w rozmowie z Kazimiera Szczuka. Wnioski? Wszedzie podobne.

Haslo o psieckach to drwiny z kobiet, w ten sposob nie poprawimy dietnosci, a badania wskazuja, ze w gospodarstwach domowych z dziecmi jest wiecej zwierzat, niz w tych bez dzieci. Do poprawy dietnosci zas potrzebne sa nam przede wszystkim prawa kobiet – oczywiscie na czele z aborcja.

Tymczasem banner w nieco humorystycznej formie, slusnie jednak zwraca uwage na kluczowe w procesie spadajacej dietnosci zjawiska: indywidualizm, wdrukowany nam przez wspolczesna kulture pęd do rozwoju osobistego, ucieczke przed odpowiedzialnoscia i niechec do zobowiazan.

I choć psy ani koty nie są w żaden sposób winne spadającej dzietności, to ich posiadanie i traktowanie jako swoich dzieci bywa sposobem na kompensację instynktu rodzicielskiego dla osób, które – często z przyczyn ideologicznych – unikają potomstwa.

W Polsce trend „psich mamuś” nie jest jeszcze tak rozpowszechniony (choć jest już zauważalny), ale dane choćby z USA pokazują, że nie należy go bagatelizować. W Stanach decyzję o zastąpieniu dziecka zwierzęciem podejmuje aż 7 na 10 dorosłych z pokolenia Z (czyli urodzonych po 1995 roku). Niewiele lepiej jest też w pokoleniu wcześniejszym, bo wśród tzw. milenialsów (to urodzeni między 1980 a 1995 rokiem) pupila zamiast dziecka wybiera 58% badanych.

Pies czy kot stają się wygodniejszym substytutem prawdziwej relacji rodzicielskiej dla osób, które wciąż odczuwają instynkt rodzicielski, ale chcą uniknąć obciążenia związanego z posiadaniem dzieci. W świecie, gdzie kultura ukazuje dzieci jako trud, uciążliwość i nadmierną odpowiedzialność, do tego zamykającą nam możliwości samorealizacji, dobrym wyjściem z sytuacji staje się „adopcja” psa czy kota. Zwierzęta wywołują bowiem podobną reakcję na poziomie biologicznym, opieka nad nimi może więc przynosić podobną satysfakcję, co opieka nad dzieckiem. Jednocześnie są po prostu mniej wymagające. Nie ograniczają swobody życiowej właścicieli w takim stopniu, w jakim robi to dziecko. Do tego ukochany kotek ani piesek nigdy nie wejdą w okres buntu dwulatka czy nastolatka i nie pokłócą się z rodzicielstwem o spadek.

Baner z Marszu Niepodległości pokazał więc prawdę – jednak najwyraźniej taką, która bardzo kole w oczy część polskiej klasy politycznej i komentariatu.

„NIE STAĆ NAS NA DZIECI”?

W debacie o demografii niestety zbyt często nadmierną wagę przywiązuje się do kwestii gospodarczych, jako przyczyny niskiej dzietności wskazując niedostępność mieszkań, niskie płace, popularność tzw. umów śmieciowych itp. Takie postrzeganie problemu jest w pewien

sposób wygodne. Wygodne dla nas samych – bo przyczyny materialne są rozsądnym i właściwie trudnym do podważenia uzasadnieniem, czemu nie decydujemy się na dzieci. Wygodnym także dla polityków – bo sprowadzenie problemu do tego poziomu pozwala na proponowanie co prawda mało skutecznych, ale chwytliwych rozwiązań, które mogą spodobać się wyborcom.

Tymczasem finanse i logistyka związana z posiadaniem dzieci mogą stanowić ważne aspekty – ale dla ludzi, którzy już myślą o założeniu rodziny.

Współcześnie problem dzietności sięga znacznie głębiej. Zanim bowiem przychodzi czas na decyzję o dziecku, istotne są dwa inne czynniki: możliwość wejścia w związek i podstawy kulturowe zachęcające lub zniechęcające do zakładania rodzin. To czynniki o tyle kluczowe, że bez nich nigdy nie dojdziemy nawet do etapu, na którym młodzi ludzie mogliby rozważać, czy urodzenie dziecka byłoby w ich aktualnym położeniu życiowym dobrą decyzją.

W raporcie CBOS z 2010 roku badacze wskazują, że zależność między sytuacją finansową a postawami prokreacyjnymi jest złożona. Sytuacja materialna nie stanowi bynajmniej decydującego czynnika, jeśli chodzi o przyczyny bezdzietności. Decyzja o zostaniu rodzicem w znacznie większej mierze ma swoje źródło w „fundamentalnych wartościach” respondentów, a co więcej – sytuacja ekonomiczna właściwie nie wpływa na postawy osób bezdzietnych, a jedynie może oddziaływać na decyzję o posiadaniu większej liczby potomstwa.

Czynniki kulturowe i społeczne mają natomiast szczególnie duże znaczenie w przypadku osób deklarujących bezdzietność z wyboru. Za taką decyzją stoją często nasze wyobrażenia ciąży, macierzyństwa i wychowaniu dziecka, obawy kobiet o utratę atrakcyjności czy zdrowia, ale także o utratę niezależności i możliwości dalszego prowadzenia dotychczasowego stylu życia czy rozwijania kariery.

Psiecko jest tu oczywiście pewnym symbolem (który nota bene nie wziął się znikąd, bo to określenie wprowadziła do powszechnej świadomości m.in. sama Gazeta Wyborcza dzięki poruszaniu tematu „rodzin międzygatunkowych”). Teraz jednak, gdy określenie „psiecko” spopularyzowało się na tyle, że staje się pewną figurą reprezentującą właśnie dobrowolną bezdzietność i wszelkie związane z nią motywacje, wybucha oburzenie, że to „wyśmiewanie kobiet” i traktowanie ich jedynie w kategorii politycznego narzędzia.

Wręcz przeciwnie! To dostrzeżenie ważnej dla samych kobiet grupy motywacji, których politycy często nie dostrzegają, bo łatwiej jest im skupić się na budowie żłobków i przedszkoli albo przyznawaniu kolejnych zachęt ekonomicznych.

Psiecko to symbol współczesnej kultury odciągania kobiet od macierzyństwa. Bo na rzeczonym banerze, oprócz widocznego na pierwszy rzut oka psa w dziecięcym wózku, są i inne ważne znaki. Symbolu pioruna na policzku pchającej wózek kobiety nie trzeba nikomu tłumaczyć – wystarczy przywołać w pamięci Strajk kobiet sprzed 5 lat. To znak ideologii feminizmu, ruchów proaborcyjnych i wynoszenia na piedestał praw kobiet. I tak, promowanie wizerunku kobiety silnej, niezależnej, decydującej o własnym życiu wyłącznie samodzielnie wpływa na upowszechnianie postawy bezdzietności z wyboru. Podobnie jak straszenie kobiet niebezpieczeństwami i uciążliwościami ciąży, porodu i macierzyństwa, w czym celują aktualnie mainstreamowe media.

Czy więc można zrozumieć kontrowersyjny baner jako wyraz czego innego niż seksizmu, wyśmiewania kobiet i maczystowskiego podejścia do problemu demografii? Owszem, a właściwie próba umieszczania go na siłę właśnie w takich kategoriach świadczy chyba tylko o jednym: twórcy baneru poruszyli pewną istotną prawdę, której wielu komentatorów (nie bez przyczyny głównie tych z umownej lewej strony) bardzo się boi, próbuje więc zakrzyczeć ją tymi samymi co zwykle argumentami.

DZIETNOŚĆ A PRAWA KOBIET

Sugestia, że za niską dietność odpowiedzialność mogą w jakimś stopniu ponosić kobiety, które decydują się na bezdzietność z wyboru, poruszyła chyba najwięcej czułych strun u komentatorów.

Czy wszyscy mężczyźni biorący dziś udział w marszu, spełnili swój prodemograficzny obowiązek? Dlaczego oni nie są rozliczani z ilości posiadanych dzieci? – pyta na X minister Katarzyna Kotula.

Cóż, Pani minister, być może to dlatego, że od lat przekonujecie, że decyzja o urodzeniu dziecka to wyłączny wybór kobiety, a mężczyźni nie mają w tej kwestii prawa głosu...?

Podobne zarzuty wobec baneru z psiekiem stawia zresztą redaktor Tomasz Terlikowski.

Akurat ten, z bardzo wielu powodów, tweet mi się nie podoba. (...) Po pierwsze dlatego, że (...) to jest tweet, który całą odpowiedzialność za posiadanie dzieci lub nie składa na kobiety. Na tym obrazku nie ma mężczyzny. Tak się składa, że w naszym gatunku, tak jak u wszystkich ssaków, żeby było dziecko, potrzebny jest mężczyzna i kobieta. (...) Tutaj jest zestygmatyzowana tylko kobieta – tłumaczy Terlikowski we wspomnianej rozmowie z Kazimierą Szczuką, krytyczką literacką i działaczką feministyczną.

Co ciekawe, badania prowadzone w Polsce wykazują, że w przypadku naszego kraju to rzeczywiście kobiety mają decydujący wpływ na strategię reprodukcyjną w związkach, niekiedy nawet przekonując do bezdzietności mężczyzn, którzy początkowo skłaniali się raczej ku posiadaniu potomstwa.

W dyskusji wznieconej przez kontrowersyjny baner dominują jednak takie właśnie reakcje komentatorów oburzonych, że o brak dzieci obwiniamy kobiety, a nie mężczyzn – zwłaszcza tych maszerujących w Marszu Niepodległości.

Jak na dłoni widać, że wzburzonej dziś liberalnej stronie komentarzu bardzo zależałoby, aby zamknąć dyskusję o przyczynach dziełności w racjonalnych ramach, oferujących uzasadnienia z zakresu ekonomii, mieszkalnictwa, a także praw kobiet, zwłaszcza zaś praw reprodukcyjnych. Wyjście poza tę strefę ujawnia bowiem prawdziwe przyczyny i jest aktem oskarżenia wobec tychże środowisk i mediów, manipulacyjnie formatujących kobiety na postępową, antynatalistyczną modłę.

Czy więc aby na pewno reakcja polityków, działaczy i dziennikarzy to rzeczywiście troska o katastrofalną sytuację demograficzną Polski, czy może raczej próba realizacji interesu swoich ideologiczno-politycznych środowisk? Czy nawet tak kluczową dla przetrwania Polski kwestią muszą rządzić bieżące podziały i wojenki plemienne?

W tej wojnie przegranymi będziemy wszyscy, niezależnie od politycznych afiliacji. Sądząc jednak po wścieklej reakcji na „psiecka” i obrazoburczy baner wydaje się, że w imię ideologii lewica jest gotowa nawet ostatnia zgasić światło.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/aleksandra-gajek-prawda-o-psiecku-budzi-wscieklosc-bardzo-dobrze>



DUCHOWY ANALFABETYZM MŁODYCH – JAK MÓWIĆ O WIERZE, GDY UTRACILIŚMY JEJ JĘZYK?

Jestem nauczycielką języka polskiego i zapytałam uczniów, czym jest Dekalog. „Chyba jakieś Zdrowaś Maryjo” – padła odpowiedź. To nie anegdota, ale objaw duchowego analfabetyzmu. W Polsce dorasta pokolenie, które nie zna podstawowych pojęć wiary.

CZYM JEST DUCHOWY ANALFABETYZM?

Jak mają iść za Prawdą ci, którzy nie znają słów, by o niej mówić? Kto nie umie wyjaśnić słowa „grzech”, ten nie potrafi nazwać zła. A czego nie potrafi nazwać – tego nie potrafi unikać. O tym, że język buduje otaczającą nas rzeczywistość i myślenie o niej, przypomina uczniom Orwell, ukazując nowomowę Oceanii w „Roku 1984”. Jeśli pozwolimy usuwać z języka słowa „niepożądane”, oddamy innym możliwość kształtowania naszego sposobu myślenia. W kulturze masowej eliminuje się wyrazy określające to, co konserwatywne albo budzące dyskomfort. Dzięki temu możemy łudzić się, że nie ma w nas zła. **Grzech, śmierć, sąd – to nie są pojęcia, nad którymi młody człowiek, stymulowany lekkim i przyjemnym TikTokiem, chce się zastanawiać.** Ostatecznie jego słownik wiary drastycznie ubożeje.

UTRATA KODU KULTUROWEGO

Nieraz rozpoczynając zajęcia języka polskiego, których tematem była Biblia, słyszałam: „Co to, jesteście na religii?”. Wielu z nich ma do tych tematów sceptyczny stosunek. Tymczasem znajomość biblijnego kodu to warunek rozumienia europejskiej kultury. To Biblia stworzyła słownik znaczeń, na których wyrosła sztuka, literatura i moralność naszej cywilizacji. Bez tego klucza patrzy się na dzieła, ale nie rozumie ich sensu.

Ostatnio omawiałam z licealistami trzecią część „Dziadów”. Rozmawialiśmy o widzeniu Księdza Piotra. Stawiałam pytania, które miały pokazać analogię między męką Chrystusa a cierpieniem polskiego narodu pod zaborami. Nikt w ponad trzydziestoosobowej klasie nie umiał odtworzyć ostatnich godzin życia Jezusa. Nie usłyszałam, że Jego bok został przeбит ani że stojąca pod krzyżem mickiewiczowska Wolność musi być Matką Boską. Pojawia się problem, bo Biblii nie spotyka się między rolkami w social mediach. **Młodzi nie znają religijnego słownika, bo żyją w kulturze, która nie używa go już nawet w symbolicznej formie.** Kim jest Chrystus w ich oczach? Dla wielu pozostaje mglistą postacią historyczną. Kimś, o kim nie myślą i kogo nie próbują zrozumieć, a przecież od tej refleksji zależy ich zdolność do odczytania sensu wiary i kultury.

PRZYCZYNY

„Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie” (Mk 10, 14). Czy współcześnie młodzi ludzie są prowadzeni do Chrystusa? To rodzice pokazali mi drogę wiary. Gdyby nie oni, mogłabym być jedną z uczennic, która Biblię nazwała ostatnio „bajką o smokach”. Jeśli w domu nie mówi się o wierze, rodzina nie uczęszcza na Mszę Świętą, jak uczeń ma rozpoznać na lekcji fragment *Psalmu* lub odpowiedzieć na pytanie, czego symbolem jest Baranek? **Młodzi są odcięci od Źródła, które powinni odnaleźć przede wszystkim w domu rodzinnym.**

Ostatnio opublikowano statystyki, które wskazują, że **w Łodzi zaledwie 39,5% uczniów ze wszystkich typów szkół bierze udział w zajęciach religii.** W tamtejszych liceach wynik ten spada do 7,5%. Wielu dorosłych odbiera dzieciom szansę poznania Boga, a nieprzychylna chrześcijańskim wartościom kultura masowa tylko potęguje obserwowaną niechęć. Stąd nieznamość tematu. Często nikt nie pokazuje młodemu Prawdy. Nie dostają klucza do kodu wiary.

REGRES REFLEKSYJNOŚCI

Jak zatem mówić o wierze, gdy utraciliśmy jej język? Uprościć przekaz? To tylko zinfantyлізуje pojęcie wiary do poziomu „kościółka i paciorka przed snem”. Tak bywało przez lata. Dziś sytuacja jest

jeszcze poważniejsza: często brakuje nawet tego. Postępem nazywa się wielogodzinne przewijanie krótkich filmików w mediach społecznościowych. Zajęcie, które zagłusza potrzebę głębszej refleksji. Zamiast myślenia o życiu, śmierci i sensie – powierzchowny obraz. Bo za trudne, bo za poważne, bo za przygnębiające. Rodzice bez oporów dają licealistom pieniądze na seans horroru w kinie, ale już tekst o Sądzie Ostatecznym wydaje się zbyt stresujący. Nierzadko prowadzone są dyskusje na temat izolowania dzieci od stresujących zagadnień związanych ze śmiercią. Mogą ją widzieć w grach komputerowych, ale gdy umrze dziadek, najlepiej, żeby nie uczestniczyły w pogrzebie. Uważa się, że należy dzieciom tego oszczędzić. Jakie jednak podejście do życia i przemijania będzie miał taki młody człowiek? Czy postawi sobie pytanie, co jest po tym życiu?

KIEDY SŁOWO PRZEGRYWA Z OBRAZEM

Krótkie filmiki, rolki i inne formy mediów społecznościowych dominują w codzienności młodych ludzi, ograniczając zdolność głębokiej koncentracji. Obraz wypiera słowo, a refleksja ustępuje natychmiastowej konsumpcji bodźców. Nauczyciele obserwują sytuacje, kiedy uczeń pozostawiony bez telefonu czy słuchawek wpada w stan ogromnej dezorientacji. Nie potrafi wytrwać w ciszy, skupieniu na własnych myślach. Młodzi wciąż potrzebują ekranu, muzyki, ciągłej stymulacji. Jeśli jednak dziś budują swoją codzienność na przekazie płynącym z ekranu, wyłączając krytyczne i kreatywne myślenie, kim będą w przyszłości? **Czy mają szansę stać się świadomymi katolikami, którzy zastanawiają się nad wiarą i sensem życia?**

JAKA GROZI NAM PRZYSZŁOŚĆ?

Analfabetyzm w zakresie języka wiary to nie tylko kwestia nieznamości pojęć. Problem sięga głębiej. **Jeżeli nie rozróżniamy pojęć, wpadamy w moralny relatywizm.** Czym jest dobro i zło? Jak je rozróżnić? Duchowy analfabetyzm prowadzi do moralnego chaosu: **jeśli nie umiem nazwać grzechu, wszystko staje się względne.** Bez znajomości języka nie sposób dokonać właściwego rozeznania moralnego. Jeśli brakuje słów pozwalających nazwać dobro i zło, trudno zrozumieć ich prawdziwe znaczenie, a tym samym świadomie

kierować swoim postępowaniem. **Benedykt XVI trafnie zauważył: „Gdy człowiek przestaje mówić o Bogu, traci zdolność mówienia o sobie samym”.** Bez Prawdy brakuje w życiu światła, które wskaże drogę i rozproszy ciemność. W efekcie czujemy się zagubieni i przytłoczeni. Jeżeli młodzi nie mówią o grzechu, bo to temat niewygodny, otwierają się na to, co powie im o nim kultura masowa. A raczej czego nie powie. Przemiesza pojęcia. Nazwie ciemność jasnością. Hałasem z social mediów zagłuszy sumienie, które nie miało szansy w pełni się wykształcić. **W efekcie – wiara nie jest odrzucona, ale niezrozumiana.**

ISKRA NADZIEI

Każdy z nas w głębi duszy pragnie światła i nie chce chodzić w ciemności. Ostatecznie intuicyjnie szuka i zadaje pytania. Święty Augustyn nazywa to niespokojnym sercem, które nie spocznie, dopóki nie znajdzie Boga. Dziś młodzi nie tylko nie znają Prawdy – oni nie mają już językowych narzędzi, by ją rozpoznać, nawet jeśli przypadkiem na nią trafią. Jak więc wskazać młodym drogę do poznania Prawdy? **Kto ma tym duchowo zaniedbanym wyjaśnić kod wiary?** Ksiądz? Nie chodzą już na religię ani na Mszę Świętą. Nauczyciel? Trudno wymagać od matematyka, żeby pomiędzy logarytmy wplatał katechezę. Rodzic? Często on sam ma już braki lub negatywny stosunek, który przekazuje dziecku. Brakuje autorytetów i źródeł. Co jest więc odpowiedzią na problem duchowego analfabetyzmu?

To my, którzy wciąż posługujemy się językiem wiary, mamy być dla młodych żywym słownikiem – często jedynymi świadkami, od których mogą jeszcze usłyszeć ten język. Nie chodzi o spektakularne świadectwa, ale o komunikat dawany w codzienności. Czasem tym „pierwszym słowem” jest znak krzyża zrobiony w tramwaju. Napomnienie nauczycielki, by „Przypowieść o Miłosiernym Samarytaninie” czytać z należnym szacunkiem. Medalik na szyi kolegi, który budzi pytanie. Pamiętam, jak budującym przykładem był dla mnie jeden z wykładowców na uczelni, którego po zajęciach widziałam wchodzącego do kościoła na adorację. To impulsy, które budzą z duchowej ignorancji. Nie są rozwiązaniem całego kryzysu – raczej

iskrami w ciemności, które możemy zapalać, aby budzić świadomość i refleksję. Dlatego celem dorosłych wobec młodych nie jest „nawrócić ich natychmiast” ani zalewać religijnymi frazesami. **Celem jest jedno: obudzić świadomość, że wiara potrzebuje języka, a język potrzebuje świadków.** Bo jeśli młodzi nie słyszą już języka wiary, to my mamy być tym językiem – widocznym w codziennych gestach, wyraźnym w postawie i obecnym tam, gdzie mogą go jeszcze odkryć. Bez tego nie będziemy mieli ani katechezy, ani kultury, ani młodych zdolnych odróżnić dobro od zła.

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/duchowy-analfabetyzm-młodych-jak-mowic-o-wierze-gdy-utracilismy-jej-jezyk>



O KARZE ŚMIERCI I ABORCJI. JAKA JEST PRAWDA?

BYĆ PRO – LIFE TO WOŁAĆ O SPRAWIEDLIWOŚĆ

Kiedy zobaczyłem papieża Leona XIV po raz pierwszy, zwróciłem uwagę na jego szczere wzruszenie i powściągliwość trzymająca go daleko od robienia z siebie showmana. Myślałem przez chwilę, że skończy się również era popularnych „wywiadów z papieżami”, które są świetną pożywką dla wszystkich mediów zwalczających prawo Boże na tej ziemi. Myliłem się. Wyszedł pierwszy wywiad i zostały wypowiedziane pierwsze dwuznaczne słowa. W żaden sposób nie zamierzam i nie śmiałybym oskarżać papieża, gdyż natura rozmowy, a więc i wywiadów, jest taka, że człowiek nie zawsze fortunnie i precyzyjnie wyraża swoje myśli. Być może wierni potrzebują słyszeć głos pasterza w mniej formalnej formie, ale na pewno wywiady z papieżami są niebezpieczne. Prostym wiernym nie zawsze jest łatwo zrozumieć różnicę między publicznym nauczaniem papieża, a jego prywatnymi opiniami. I na tym żeruje diabeł, nieprzyjaciel duszy ludzkiej, za pomocą swoich sług pracujących w ośrodkach masowego przekazu, aby wprowadzać zamieszanie w duszach ludzkich. Diabeł, który próbował kusić Pana Jezusa manipulując słowami Pisma Świętego, z tym większą łatwością będzie wykorzystywał słowa bądź co bądź ludzkie, nawet jeśli papieskie.

I padły niefortunne słowa: Oto papież miał sugerować, że aborcja jest takim samym przestępstwem jak kara śmierci albo złe traktowanie migrantów. Zacytujmy słowa, które obieły świat: „Ktoś, kto mówi: „Jestem przeciw aborcji”, a jednocześnie mówi, że „opowiada się za karą śmierci”, w istocie nie jest naprawdę pro-life. A więc ktoś, kto mówi, że „jestem przeciw aborcji”, ale zgadza się na nieludzkie traktowanie imigrantów, którzy są w Stanach Zjednoczonych – nie wiem, czy to jest postawa pro-life. To są więc bardzo złożone kwestie. Nie

wiem, czy ktokolwiek ma w nich całą prawdę, ale prosiłbym przede wszystkim o większy wzajemny szacunek”.

Właśnie z jak największym szacunkiem pragnę przypomnieć nauczanie Kościoła, że aborcja i eutanazja stanowią przestępstwo z którym katolik ma zakaz w jakikolwiek sposób współpracować formalnie, a tym bardziej je propagować lub publicznie popierać. W moralności rozróżniamy czyny wewnętrznie złe od czynów niewewnętrznie złych. Są czyny złe takie jak morderstwo niewinnego czy zdrada małżeńska, które w żadnym kontekście społecznym, sytuacji, czy też osobistej wizji i opinii, nie mogą być usprawiedliwione. Są inne czyny złe, które już zależą od okoliczności, intencji czy skutków. Dlatego nie można wstawiać na tym samym poziomie zabójstwa dokonanego na niewinnym dziecku z przesadną karą dla przestępcy.

Warto w kontekście rosnącego zamieszania przypomnieć słynny list kard. Josepha Ratzingera, wtedy jeszcze prefekta Kongregacji Nauki Wiary, do kard. Theodore E. McCarrick’a na temat zakazu udzielania komunii politykowi F. Kerry’emu, który publicznie wspierał aborcję. Głos dwóch biskupów: Raymonda L. Burke’a (wtedy jeszcze ordynariusza Saint Louis) oraz Michaela J. Sheridana (ordynariusza diecezji Colorado Springs), nawołujący do zakazu udzielania Komunii Świętej politykowi, który wspierał prawo aborcyjne, sprowokował dyskusję wewnątrz episkopatu amerykańskiego. Niektórzy sugerowali, że należy patrzeć na całokształt polityka, a nie „fiksować się” na jednym punkcie jego programu politycznego. Na tego rodzaju pomysły bardzo jasno zareagowała Siedziba Apostolska. W liście prefekta Kongregacji Nauki Wiary w sposób precyzyjny jest napisane, że:

„Nie wszystkie kwestie moralne mają taką samą wagę jak aborcja i eutanazja. Na przykład, gdyby katolik miał się spierać z Ojcem Świętym w sprawie stosowania kary śmierci lub decyzji o rozpoczęciu wojny, nie zostałby z tego powodu uznany za niegodnego przyjęcia Komunii Świętej. Chociaż Kościół nawołuje władze cywilne, aby szukały pokoju, a nie wojny, oraz aby stosowały dyskrekcję i miłosierdzie w wymierzaniu kar przestępcom, nadal można chwycić za broń w celu

odparcia agresora lub zastosować karę śmierci. Nawet wśród katolików może istnieć uzasadniona różnorodność opinii na temat prowadzenia wojny i stosowania kary śmierci, ale nie w odniesieniu do aborcji i eutanazji.¹²

Dzisiaj ktoś mógłby twierdzić, że przecież papież Franciszek zmienił nauczanie w katechizmie dotyczące kary śmierci. Otóż ta zmiana nie powinna popaść w milczące przyzwolenie i powinna dalej budzić kontrowersje. Przede wszystkim ze względu na fakt, że papież Franciszek sugerował zmianę nauczania Kościoła – czego sam nie ukrywał – powołując się na zmianę świadomości ludu chrześcijańskiego jak i na brak dogłębnego zrozumienia nauczania Ewangelii w Stolicy Apostolskiej w przeszłości.¹³ Otóż jeżeli nastąpiła zmiana świadomości, to tym samym stwierdzamy, że kara śmierci nie może być czynem wewnętrznie złym – gdyż czyn wewnętrznie zły musiałby być niemoralny w każdym czasie i w każdej okoliczności. Jeżeli coś kiedyś nie było postrzegane jako niemoralne w nauczaniu Kościoła, oznacza, że niemoralność tego czynu może być co najwyżej oparta na zmianach okoliczności. Co jest oczywiste: jeżeli można złoczyńcę ukarać w bardziej adekwatny sposób, byłoby niemoralne dobrowolnie ukarać go w sposób mniej adekwatny.

Oskarżenie rzucone przez papieża Franciszka do swoich poprzedników na tronie Piotrowym, że stosowali karę śmierci albo nauczali o niej ze względu na troskę o władzę i bogactwa, powinno wzbudzić kontrowersje. Jeżeli jest to prawda, na pewno wśród wielkich świętych

12 Ratzinger, *Worthiness to Receive Holy Communion. General Principles*, Prefect of the Congregation for the Doctrine of the Faith, July 01, 2004.

13 „Bierzemy odpowiedzialność za przeszłość i przyznajemy, że środki te były podyktowane bardziej legalistycznym niż chrześcijańskim sposobem myślenia. Troska o zachowanie władzy i bogactw materialnych doprowadziła do przecenienia wartości prawa, uniemożliwiając głębsze zrozumienie Ewangelii.“ LETTERA DEL SANTO PADRE FRANCESCO AL PRESIDENTE DELLA COMMISSIONE INTERNAZIONALE CONTRO LA PENA DI MORTE https://www.vatican.va/content/francesco/it/letters/2015/documents/papa-francesco_20150320_lettera-pena-morte.html.

teologów wieków minionych powinien się znaleźć jakiś głos sprzeciwu wobec praktyki stosowania kary śmierci, gdyż wiemy, że w momentach zamieszania doktrynalnego Opatrzność Boska w swoim miłosierdziu zawsze raczyła zsyłać proroków jak np. św. Atanazy, św. Hieronim, czy św. Piotr Damiani, którzy nie bali się w imię Boże nazywać rzeczy po imieniu, a często nawet naśladować św. Pawła, zwracać uwagę samemu Piotrowi. Jako katolik zatem oczekuję, że skoro mówimy o zmianie doktryny w stosunku do kary śmierci, otrzymam źródła teologiczne – to znaczy cytaty Pisma Świętego, Ojców i Doktorów Kościoła, którzy by zwalczali w historii karę śmierci. Papież Franciszek sam zauważa, że jego decyzja o wprowadzeniu do Katechizmu słów sugerujących, że kara śmierci jest złem niedopuszczalnym, jest innowacją w nauczaniu Kościoła. Jedyny autorytet, jaki przywołuje na potwierdzenie swojego nauczania, to cytat z Fiodora Dostojewskiego. Z całym szacunkiem do twórczości rosyjskiego pisarza, ale uzależniony od hazardu człowiek nie może być dla nas autorytetem w kwestiach nauczania moralnego...

Nie chcę, aby czytelnik pomyślał, że szydę z dokumentu papieża Franciszka. Jednakże jeżeli walka o zniesienie kary śmierci ma być częścią misji nauczycielskiej Kościoła katolickiego, my katolicy mamy prawo oczekiwać, że zostanie nam podana solidna podstawa teologiczna, gdyż jak mamy przekonywać innych do tego, do czego sami nie zostaliśmy przekonani?

Innym argumentem, który podaje papież Franciszek, są słowa Pana Jezusa do św. Piotra: „schowaj swój miecz do pochwy“. Tyle, że właśnie te słowa ukazują, że apostołowie podążając za Panem Jezusem nosili z sobą miecz – to znaczy Pan Jezus pozwalał, aby mieli przy sobie narzędzie służące do obrony. Często właśnie nakaz Jezusa do apostoła, aby schował miecz, jest interpretowany jako przykazanie skierowane do duchownych, aby rezygnowali z obrony naśladować ofiarę Chrystusa. Mówi św. Jan Paweł II: Bo choć prawdą jest, jak mówi św. Paweł, że ten, kto sprawuje władzę, dzierży miecz (por. Rz 13, 4), z którego [my duchowni] wyrzekamy się zgodnie z jasnym zaleceniem Chrystusa skierowanym do Piotra w Ogrodzie Getsemani

(por. Mt 26, 52), właśnie dlatego, że jesteśmy bezbronni, mamy szczególne prawo i obowiązek wywierania wpływu na tych, którzy dzierżą miecz władzy”.¹⁴ Słowa Apostoła w kwestii prawa i obowiązku karania przewinień przez autorytet świecki są bardzo jasne: „Albowiem rządzący nie są postrachem dla uczynku dobrego, ale dla złego. A chcesz nie bać się władzy? Czyń dobrze, a otrzymasz od niej pochwałę. Jest ona bowiem dla ciebie narzędziem Boga, [prowadzącym] ku dobremu. Jeżeli jednak czynisz źle, lękaj się, bo nie na próżno носи miecz. Jest bowiem narzędziem Boga do wymierzenia sprawiedliwej kary temu, który czyni źle”. (Rz 13,2-4)

Słynny jest przypadek wymierzenia kary śmierci bezpośrednio z woli papieża Leona XII na dwóch karbonariuszach: Angelo Targhinim oraz Leonidzie Montanarim, po tym jak w 1825 dokonali nieudanego zabójstwa Giuseppe Pontiniego pod bazyliką św. Andrzeja della Valle. Otóż karbonariusz Pontini zdradził władzy rzymskiej plany przygotowywanego zamachu na papieża i rzezi duchownych przez karbonariuszy i za to członkowie tejże sekty nakazali zamordowanie G. Pontiniego za zdradę. Cios nożem pod bazyliką św. Andrzeja della Valle okazał się nie być śmiertelny, a straż pojmowała dwóch sekciarzy. Do głosu publicznego doszły wtedy idee karbonariuszy, którzy nie widzieli sprzeczności między głoszonymi przez nich ideałami demokracji, obrony zwierząt i właśnie zniesienia kary śmierci, a dokonywaniem samosądów oraz przygotowaniem wymordowania wszystkich księży i seminarzystów na terenie Państwa Kościelnego¹⁵ (które w czasach papieża Leona XII rozciągało się między Bolonią na północy, a za Frosinone na południu).

Do tej pory w Rzymie, na Piazza del popolo, widnieje tablica ku pamięci A. Targhiniego oraz L. Montanariego, czczonych jako męczennicy wolności i demokracji. I taka to właśnie idea oświeceniowej

¹⁴ Jan Paweł II, ADDRESS OF THE HOLY FATHER JOHN PAUL II TO THE BISHOPS OF IRELAND Dublin, 30 September 1979.

¹⁵ La Civiltà Cattolica, rok 26, voll. VII, Florencja 1875, str. 85-86.

wolności, gdzie zwalczanie kary śmierci idzie w parze z morderczym samosądem dokonanym na ulicy.

Bardzo łatwo jest omijać temat kary śmierci albo „nieskończoną godnością człowieka” argumentować jej zakaz, kiedy my sami czujemy się bezpiecznie w spokojnym społeczeństwie w którym żyjemy. Jednakże gdybyśmy zamieszkali w miejscach, gdzie prawo stanowią bandy, mafie czy kartele, może potrzeba by było zmienić sposób myślenia. Jak wspomniałem, sposób wymierzania sprawiedliwości jest tematem politycznym, dlatego katolik ma prawo do różnych opinii, o czym pisał J. Ratzinger w wyżej cytowanym liście. Nie moim zadaniem jest tworzenie rozwiązań wykonywania wymiaru sprawiedliwości, ale to, czego jestem pewien, to fakt, że obecny wymiar sprawiedliwości we Włoszech jak i wielu innych miejscach świata nie radzi sobie z problemem mafijnym. „Grubych ryb” spośród członków mafii nie wystarczy uwięzić we więzieniu, gdyż ci są w stanie zarządzać swoimi szajkami również zza krat więzienia. Ciężko jest mi uwierzyć w romantyczne historie o ucieczkach gangsterów z więzienia, o których często się słyszy we Włoszech. Raczej bardziej prawdopodobne jest, że za pomocą korupcji czy innych machlojek załatwiają sobie wolność. Część włoskiej prawicy opiewa mafię jako spadkobierców brygantów walczących z reżimem Garibaldiego, ale łatwo jest opiewać to, co jest daleko od nas. W praktyce w południowych Włoszech jakakolwiek samoobrona przed napaścią może się skończyć srogą wendettą.

Jedna z licznych historii, które słyszałem od włoskich znajomych: znajomy lekarz wracał w nocy i kiedy na samoobsługowej stacji benzynowej chłystek za pomocą noża chciał od niego wyłudzić pieniądze, lekarz ten powalił go na ziemię i przykładając pistolet do głowy, zadzwonił na policję. Kilka miesięcy później koledzy tego złodzieja namierzyli auto tego lekarza i je ostrzelali. Akurat ktoś inny prowadził samochód...

Moje pytanie brzmi: jak można zachować spokój w społeczeństwie, jeżeli morderca ma możliwość pomsty na tych, których nie zdołał zabić? „Jeśli jakiś człowiek jest niebezpieczny dla całej społeczności

i swoim grzechem psuje drugich, jest rzeczą chwalebną i zdrową zabić go celem zachowania dobra wspólnego”¹⁶ pisze św. Tomasz; „zły człowiek bowiem jest gorszy od zwierzęcia i bardziej szkodliwy”, dodaje¹⁷. Z ustanowienia Bożego tylko władzy państwowej jest przyzwolone stosować tę najwyższą karę: „Otóż troskę o dobro ogółu powierzono tym, którzy sprawują władzę państwową. A więc tylko im wolno zabijać złoczyńców, osobom zaś prywatnym tego czynić nie wolno”, uczy Doktor Anielski.¹⁸

Widzimy na przykładzie karbonariuszy trzy tendencję, które łączą się w zniszczenie jednego porządku Bożego: ochrona zwierząt, jakby człowiek miał służyć zwierzętom, a nie zwierzęta ludziom; zakaz kary śmierci, jakby złoczyńca miał być chroniony przed społeczeństwem, a nie społeczeństwo przed złoczyńcą; a na koniec samosąd, jakby osoba prywatna miała chronić władzę państwową, a nie władza państwowa osobę prywatną.¹⁹

Kościół katolicki na przełomie XX i XXI wieku miał zaszczyt być ostatnim głosem na ziemi wołającym o sprawiedliwość w obronie nienarodzonych dzieci. Za kilka pokoleń nasze obecne pokolenia będą nazwane pokoleniem morderców za to, że większość ludzkości przyzwalała i promowała masowe dzieciobójstwo.

Nasz umiłowany papież Leon XIV, słodki Chrystus na tej ziemi²⁰, jest w sytuacji, w której zbójcy i rozpustnicy wtargnęli do świątyni Bożej, pragnąc, aby głos Kościoła Oblubienicy Baranka został zagłuszony. Otaczajmy modlitwą i życzliwością Naszego Pasterza, aby on miał siłę i odwagę, naśladowując Naszego Nauczyciela, pochwycić za bicz i oczyścić świątynię.

¹⁶ ST II^a-IIae q. 64 a. 2 co.

¹⁷ ST II^a-IIae q. 64 a. 2 ad 3.

¹⁸ ST II^a-IIae q. 64 a. 3 co.

¹⁹ por. ST II^a-IIae q. 64 a. 3 co.

²⁰ św. Katarzyna ze Sieny, list 185.

„Jeżeli jesteś uczniem Chrystusa, niech zapłonie twoja gorliwość, niech podniesie się Twój autorytet przeciwko bezwstydnosci powszechnej zarazy”²¹, pisał św. Bernard do papieża Eugeniusza.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/o-atanazy-wojtal-o-karze-smierci-i-aborcji-jaka-jest-prawda>



²¹ św. Bernard z Clairvaux, De consideratione ad Eugenium papam, PL 182,741B.

TSUE I ORDYNARNE PRZEPYCHANIE KOLANEM REWOLUCJI

Kiedy wchodziliśmy do Unii Europejskiej zapewniano nas, że w sprawach światopoglądowych żadne prawo unijne nie wyprze polskiego ustawodawstwa, nie wspominając już o Konstytucji RP. To był główny argument zwolenników akcesji! Polskich katolików uspokajano właśnie takimi słowami! Dziś jednak organy sądownicze UE próbują dokonać czegoś zgoła przeciwnego – nakazują nam respektowanie kuriozalnych przepisów z innych państw, według których dwóch mężczyzn może zawrzeć ze sobą ślub.

Jak powszechnie wiadomo 25 listopada 2025 r. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że każde państwo członkowskie musi uznać małżeństwo jedнопłciowe zawarte legalnie w innym kraju UE, jeśli małżonkowie korzystali tam ze swobody przemieszczania się i pobytu gwarantowanej przez prawo unijne. TSUE wskazał, że skoro w polskim systemie prawnym transkrypcja aktu małżeństwa jest jedynym sposobem zapewniającym jego rzeczywiste uznanie przez organy administracyjne, to Polska ma obowiązek stosować tę procedurę zarówno wobec małżeństw par tej samej płci, jak i małżeństw heteroseksualnych, bez jakiegokolwiek różnicowania.

Wiadomość ta wywołała falę entuzjazmu środowisk homoseksualnych, w tym politycznej lewicy, a była kandydatka na prezydenta, Magdalena Biejał ośmieliła się nawet powiedzieć, że „nie potrzebujemy już w tej sprawie żadnych polskich ustaw”. Nastroje nieco chłodził sam premier Tusk prosząc szefa MSZ Radosława Sikorskiego o przygotowanie informacji o konsekwencjach orzeczenia TSUE. Dodał, że temat ten „nie tylko w Polsce wywołuje wiele emocji, więc chce uspokoić, że nikt niczego nie będzie nam w tej sprawie narzucał”. Zaraz dodał jednak: „Będziemy oczywiście respektować werdykty i wyroki trybunałów europejskich także w tej kwestii. Powtarzam, one dotyczą

tych wszystkich, którzy mieszkają w innych państwach europejskich i kiedy przybędą do Polski, będziemy musieli i będziemy chcieli traktować ich z pełnym respektem, ale też zgodnie z przepisami polskimi. My będziemy stali na straży tego, aby pozycja Polski w Europie była silna, a to oznacza także respektowanie trybunałów, ale równocześnie wszędzie tam, gdzie rozstrzygać o sprawach musi państwo narodowe i prawo krajowe, będziemy się trzymać tej zasady”.

ORDYNARNE PRZEKROCZENIE UPRAWNIENÍ

Wyrok TSUE w sposób oczywisty, by nie powiedzieć wręcz ordynarny, stanowi ingerencję w suwerenność państw członkowskich, wkraczając w obszary, które pozostawały i miały pozostawać wyłącznie w ich gestii. Napiszę to raz jeszcze, bo to szczególnie istotne – obiecano nam to gdy wchodziliśmy do Unii Europejskiej. To poszczególne państwa – a nie żadne unijne organy sądownicze – miały określać, jak definiują małżeństwo i jak kształtują swoje regulacje prawne.

Teraz, w krajach takich jak Polska, gdzie konstytucja jasno określa małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, wyrok TSUE jest niczym innym jak próbą obejścia najwyższego aktu prawnego państwa. My oczywiście nie możemy akceptować sytuacji, w której instytucje unijne wymuszają rozwiązania sprzeczne z ustrojowymi podstawami danego państwa. To przecież skrajnie niebezpieczny precedens, bo jeśli dziś można podważyć konstytucję kraju członkowskiego w tak fundamentalnej kwestii (wg polskiej konstytucji małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny), jutro można będzie to zrobić we wszystkich innych sprawach!

Spójrzmy tylko co dzieje się na Słowacji – również w listopadzie 2025 roku Komisja Europejska wszczęła tzw. postępowanie o naruszenie prawa UE („infringement procedure”) przeciwko Słowacji w związku z... nowelizacją konstytucji. KE wskazała, że zmiana ustawy zasadniczej „może naruszać zasadę pierwszeństwa prawa UE”. W szczególności Komisja kwestionuje postanowienia nowych przepisów dotyczących tego, że w „kwestiach tożsamości, kultury, etyki i rodziny” prawo krajowe ma mieć pierwszeństwo przed prawem UE.

Wszystko to dzieje się mimo, że jeszcze nie tak dawno niemiecki odpowiednik Trybunału Konstytucyjnego uznał swoją konstytucyjną władzę do weryfikacji i zezwolił – w wyjątkowych przypadkach – na odmówienie uznania wiążącego charakteru konkretnego orzeczenia TSUE. To oznacza, że w Niemczech – przy szczególnych okolicznościach – prawo krajowe (a zwłaszcza konstytucja) może działać „po-nad” jakimś aktem unijnym. Co wydawałoby się nadzwyczaj oczywiste. Co więcej orzeczenie w tej sprawie niemiecki sąd konstytucyjny wydał w kontekście sporu o... program skupu obligacji przez Europejski Bank Centralny, co stanowi rzecz ważną, jednak o niebo mniej fundamentalną niż to, kto w danym kraju stanowi rodzinę!

No ale nie od dziś wiadomo, że duży może więcej...

PRZEPLÝW OSÓB A PRZEPLÝW ELEKTORATÓW

Wracając do anty-polskiego wyroku TSUE – warto zwrócić uwagę, że organ ten, powołując się na swobodę przepływu osób, nadaje jej znaczenie, którego nigdy nie przewidywano. Swobody unijne miały służyć mobilności pracowników i integracji gospodarczej, a nie redefiniowaniu podstawowych instytucji prawa rodzinnego. Rozciąganie tych przepisów na kwestie małżeństwa to prawnicza kreatywność, która wykracza daleko poza traktatowe upoważnienie. Wyrok TSUE to nic ponad próbę dokonywania głębokich zmian społecznych w sposób niejawni i pozbawiony jakiejkolwiek demokratycznej legitymacji.

Ktoś, na przykład zdeklarowany fan rządów ludu, mógłby zatem napisać, że zamiast otwartej debaty i decyzji parlamentów, obywatele otrzymują gotowy nakaz sądowy, który zmusza państwa do przyjęcia kontrowersyjnych rozwiązań. To niedopuszczalna forma aktywizmu sędziowskiego, który pozwala elicie prawników przeprowadzać rewolucję społeczną bez udziału obywateli. Ale, a propos „otwartej debaty”, przecież Polscy obywatele wielokrotnie wypowiedzieli się w tej sprawie w sposób, w który mają do dyspozycji – poprzez wybory.

Otóż nigdy nie wybrano w Polsce większości, która byłaby w stanie przegłosować wprowadzenie w naszym kraju „małżeństw

jednopłciowych”. NIGDY – mimo ćwierćwiecza nachalnej propagandy na którą wydano miliardy dolarów, mimo wielkiego zaangażowania dyplomatów z całego świata, mimo stałego infekowania polskich dusz przez pełne tęczyowych bohaterów seriale Netflixa i innych platform streamingowych. Co więcej – nawet, gdy Polacy wybrali lewicowo-liberalny rząd wybrali go w taki sposób, by musiał w nim brać udział czynnik bliższy ludowi a więc PSL, blokujący dotąd te zmiany. A gdy PSL zaczął ulegać szantażowi koalicyjnych ugrupowań... Polacy – mimo zmasowanej krytyce i hejtowi wobec kandydata prawicy – wybrali na prezydenta człowieka deklarującego, że nigdy się na taki układ nie zgodzi.

Krnąbrna Polska musiała więc dostać cios wymierzony właśnie przez TSUE. Luminarze rewolucji zdają się bowiem zaczynać zdawać sobie sprawę, że inaczej tej sprawy załatwić się nad Wisłą nie da. Bo przecież próbują już tak wiele lat.

DLACZEGO JESTEŚMY PRZECIW?

Przy sprawie gorszącego – i de facto wzbudzającego w Polsce antyujnyjne nastroje, nad czym akurat ubolewać nie trzeba – wyroku TSUE warto przypomnieć wszystkie mity dotyczące „zwyczajnych pragnień dwojga kochających się osób”, jak milutko i ciepłutko zwykli o sobie mówić przedstawiciele środowisk homoseksualnych.

To jeden z najczęściej podnoszonych argumentów – zapewne wielokrotnie słyszeli Państwo, że „osoby LGBT” pragną jedynie móc żyć razem, odwiedzać się w szpitalu, dziedziczyć po sobie czy wspólnie zaciągać kredyt. Rzadko jednak zauważa się odpowiedzi zwracające uwagę, że już obecnie osoby żyjące w nieformalnych związkach, także jednopłciowych, mają możliwość uzyskania dostępu do informacji o stanie zdrowia partnera czy wglądu w jego dokumentację medyczną (każdy z nas choć raz wskazywał „osobę do kontaktu” przy wizycie lekarskiej). Partnerzy nieformalni mogą również przejąć umowę najmu po zmarłej osobie, sporządzić testament i powołać się nawzajem do dziedziczenia, odbierać za siebie przesyłki i wynagrodzenie, prowadzić wspólne konto czy brać kredyt jako współkredytobiorcy. Tak

funkcjonują od lat setki, jeśli nie tysiące par. Mają także prawo odmówić zeznań przeciwko partnerowi oraz – dzięki pełnomocnictwom – reprezentować się w urzędach, bankach, ZUS czy NFZ. W przypadku śmierci jednej z osób, druga może otrzymać zasiłek pogrzebowy, o ile zostanie to wcześniej odpowiednio udokumentowane. Hasła o tym, że „chodzi wyłącznie o możliwość kochania się i spokojnego życia”, pełnią więc raczej funkcję emocjonalnej narracji, która – w opinii krytyków – przesłania rzeczywisty cel działań na rzecz dalszych zmian prawnych.

„RÓWNOŚĆ MAŁŻEŃSKA”?

Za każdym razem, gdy ktoś sprzeciwiający się legalizacji związków jedнопłciowych zwraca uwagę na wynikające z tego uprzywilejowanie, natychmiast pojawia się oburzony głos, że przecież „nie chodzi o żadne przywileje”, lecz jedynie o „równe prawa”. Dziś dochodzi jeszcze wołanie o „równość małżeńską” – sprytne haselko, bo gdy ktoś je usłyszy, trudno mu powiedzieć: jestem przeciw równości. Ale nie chodzi tu wcale o równość w małżeństwie lecz o równą możliwość zawarcia związku małżeńskiego dla par mieszanych i jedнопłciowych. Ale to – dla jedнопłciowych – są właśnie przywileje. Dlaczego?

Domagając się zrównania ich relacji z instytucją małżeństwa, środowiska LGBTip de facto potwierdzają, że małżeństwo wiąże się ze szczególnymi uprawnieniami. I rzeczywiście – małżeństwa są świadomie i z rozmysłem traktowane w sposób preferencyjny. Współcześnie, gdy tematyka rodziny często schodzi na dalszy plan debaty publicznej, łatwo o tym zapomnieć. A przecież było to zamierzonym działaniem twórców III RP, podobnie jak ustawodawców w innych państwach, którzy wprowadzali rozwiązania takie jak wspólne rozliczanie podatkowe, ulgi prorodzinne, prawo do renty rodzinnej czy możliwość objęcia współmałżonka ubezpieczeniem zdrowotnym.

Konstytucja RP nie bez powodu kilkakrotnie akcentuje konieczność ochrony małżeństwa i rodziny. Wynika to z przekonania, że stabilny związek kobiety i mężczyzny – nakierowany na posiadanie potomstwa, zapewnianie dziecku naturalnego środowiska rozwoju oraz

przekazywanie dziedzictwa kulturowego – ma fundamentalne znaczenie dla trwania państwa i jego społeczeństwa. Odpowiedzialne państwo, myślące długofalowo, musi wzmacniać tę instytucję, bo od jej stabilności zależy siła i ciągłość całej wspólnoty narodowej.

ATAK NA RODZINĘ?

Kiedy osoby o poglądach konserwatywnych podkreślają, że rodzina wymaga ochrony przed postulatami ruchów LGBT, często spotykają się z kpinami. Padają wtedy ironiczne pytania w stylu: „jak para jedнопłciowa miałaby zagrozić Twojej rodzinie?”. A odpowiedź jest dość oczywista – jeśli małżeństwo utraci swój szczególny, wyróżniony status, jego znaczenie społeczne zacznie słabnąć, a liczba zawieranych małżeństw będzie stopniowo maleć. A bez stabilnych małżeństw trudno mówić o zachowaniu ciągłości pokoleniowej. Polska, podobnie jak wiele państw europejskich, mierzy się obecnie z poważnym kryzysem demograficznym. Statystyki wyraźnie pokazują, że około 70 procent dzieci rodzi się w rodzinach małżeńskich. Owszem, pozostałe 30 procent przychodzi na świat w związkach nieformalnych, lecz są to związki kobiety i mężczyzny, które – jeśli partnerzy tego chcą – mogą zostać zalegalizowane poprzez ślub. W relacjach jedнопłciowych naturalna możliwość posiadania potomstwa nie występuje, co czyni ich sytuację diametralnie inną.

Jeżeli więc państwo tworzy nową instytucję – np. tzw. związki partnerskie – wyposażoną w szereg przywilejów zbliżonych do tych, które przysługują małżeństwom, to w praktyce osłabia rolę tradycyjnej rodziny.

„OBSESJA NA PUNKCIE SEKSU”

Nie mogę sobie darować by nie wspomnieć o jeszcze jednym, szczególnie perfidnym – a w istocie swego powstania i przewrotności wręcz diabelskim – sposobem argumentacji stosowanym przez ruchy LGBT. Chodzi o oskarżanie ich przeciwników o „obsesję”. Gdy ktoś wyraża sprzeciw wobec takich postulatów, często słyszy: „dajcie im żyć”, „ciągle mówicie o jednym”, „co was obchodzi, co oni robią prywatnie?”. Tymczasem zwykłych ludzi, również przeciwników formalizowania

związków jednopłciowych, zupełnie nie interesuje życie intymne innych osób, lecz reagują na nachalną propagandę. To podobne do sytuacji, w której obcokrajowiec przyjeżdża do społeczności o odmiennej kulturze, krytykuje jej tradycje, nazywa je zacofanymi i nakłania mieszkańców, by porzucili dotychczasowe zwyczaje. A gdy ci reagują sprzeciwem, zarzuca im „sztywność” lub „fiksację” i oczekuje, że to oni dostosują się do przybyszy. Podobny mechanizm stosuje środowisko LGBT – od lat konsekwentnie zwiększa ono swoją obecność w mediach, kulturze i debacie publicznej. Przygotowują akcje typu „Niech nas zobaczą”, werbują młodych ludzi do swego stylu życia, promują go nachalnie, a kiedy ktoś wypowiada się krytycznie, pojawia się argument, że to on nieustannie „żyje tym tematem”. To klasyczne odwracanie uwagi.

ANTYUNIJNY TSUE

Model rodziny oparty na małżeństwie kobiety i mężczyzny od wieków stanowi podstawę ładu społecznego, przekazywania norm kulturowych oraz odpowiedzialnego wychowania kolejnych pokoleń. Każde działanie prowadzące do osłabienia tej instytucji podcina fundament, na którym opiera się europejska cywilizacja. Orzeczenia TSUE trudno nie postrzegać jako element szerszego procesu kwestionowania tradycyjnego porządku społecznego oraz relatywizowania wartości, które kształtowały europejskie społeczeństwa przez stulecia.

Ale warto zauważyć, że tak radykalna ingerencja TSUE w porządek konstytucyjny państw członkowskich może przynieść skutki odwrotne od zamierzonych. Polacy – naród, który w zdecydowanej większości popiera członkostwo w Unii – zaczynają coraz wyraźniej dostrzegać, że instytucje europejskie przekraczają granice, których w czasie akcesji obiecywano nie naruszać. I choć przez lata nawet umiarkowani wyborcy traktowali członkostwo w UE jako naturalny kierunek rozwoju, to tak otwarte podważanie polskiej konstytucji może wywołać reakcję alergiczną także w tych środowiskach, które dotąd były najbardziej ugodowe. Czy tak się stanie? Oby.

Do tego dochodzi jeszcze jeden czynnik – słabe notowania rządu Donalda Tuska. Jeśli jego gabinet zdecyduje się na pełne wdrożenie wyroku TSUE, zignoruje konstytucję i wbrew tradycji i społeczeństwu zacznie forsować rozwiązania, których Polacy nigdy demokratycznie nie przyjęli, to również może doprowadzić do gwałtownego wzrostu nastrojów antyunijnych. I to nie tylko wśród tradycyjnych krytyków Brukseli, lecz również wśród umiarkowanych Polaków, którzy dotąd widzieli w UE przede wszystkim projekt gospodarczy i turystyczny, a nie narzędzie ideologicznej presji.

Tego w Brukseli raczej nie przewidzieli. A może odwrotnie? Może właśnie przewidzieli, ale uznali, że projekt ideologiczny jakim są „homo-mażeństwa” jest dla nich tak istotny, że już czas zrealizować go w Polsce mimo tak masowego, wieloletniego sprzeciwu narodu? Kto wie.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/krystian-kратиuk-tsue-i-ordynarne-przepychanie-kolanem-rewolucji>



KWESTIONARIUSZ OSOBOWY

AGNIESZKA STELMACH – redaktor i publicysta PCh24.pl

FILIP OBARA – redaktor i publicysta PCh24.pl

GRZEGORZ GÓRNY – reportażysta, eseista, publicysta, reżyser dokumentalista, producent filmowy i telewizyjny

GRZEGORZ SZTOK – projektant wizualny, brand stylist

JACEK BARTYZEL – publicysta, naukowiec i działacz społeczno-polityczny, profesor nauk społecznych, specjalizujący się w filozofii polityki oraz historii myśli politycznej

JERZY KWAŚNIEWSKI – adwokat, prezes Instytutu Ordo Iuris

KRYSTIAN KRATIUK – redaktor naczelny PCh24.pl, watykanista, pisarz

KRZYSZTOF GĘDŁEK – dziennikarz PCh24.pl

ŁUKASZ KARPIEL – zastępca redaktora naczelnego PCh24.pl, redaktor naczelny Kwartalnika PCh24.pl

MARCIN AUSTYN – redaktor i publicysta PCh24.pl, sekretarz redakcji PCh24.pl

MARCIN JENDRZEJCZAK – doktor nauk ekonomicznych, doktor nauk humanistycznych. Dziennikarz i publicysta

MARCIN PALADE – politolog, autor opracowań i analiz z zakresu preferencji społeczno-politycznych i geografii wyborczej w Polsce

MAREK KORNAT – historyk, sowietolog i profesor nauk humanistycznych, specjalizujący się w historii dyplomacji, totalitaryzmów i polityki Polski XX wieku

PAWEŁ CHMIELEWSKI – autor książek, publicysta, watykanista. Redaktor PCh24.pl

PAWEŁ OZDOBA – publicysta, politolog. Dyrektor „Klubu Stańczyka”

PAWEŁ SKRZYDLEWSKI – dr hab. filozofii, rektor Akademii Zamojskiej, filozof

RAFAŁ ZIEMKIEWICZ – pisarz, dziennikarz i publicysta

ROMAN MOTOŁA – redaktor i publicysta PCh24.pl

RYSZARD LEGUTKO – profesor nauk humanistycznych, filozof, publicysta, tłumacz

SŁAWOMIR SKIBA – dziennikarz, działacz katolicki, wiceprezes Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. Ks. Piotra Skargi


**WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI**



PCh24.pl
POLONIA CHRISTIANA